

ZBIGNIEW ZIOBRO DLA „DO RZECZY”:

„»Kamienie milowe« Komisji Europejskiej to raczej kamienie u szyi”



TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

NR 32/488 8-15 SIERPNIA 2022

CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Dwugłos: Czy Polska ma szanse na reparacje od Niemiec?



**SEKRETY
ŻYCIA
MIKOŁAJA
KOPERNIKA**

Lato spekulantów
- dlaczego tak gwałtownie
rosną ceny cukru

REWOLUCJA SEKSUALNA POŻERA WŁASNE DZIECI



ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288 829
9 772299 850000
Nakład: 54 000 egzemplarzy
3 2 >

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski

DO
RZECZY

HISTORIA
DO
RZECZY

FUNDACJA  STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI **2022**

**JUBILEUSZOWA X EDYCJA
WYJĄTKOWYCH NAGRÓD
W KATEGORIACH:**

MECENAS | INSTYTUCJA | TWÓRCA

W LISTOPADZIE 2022

WIĘCEJ INFORMACJI: [DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI](https://dorzeczy.pl/straznik-pamieci)

PARTNERZY GŁÓWNI



PARTNER



Fundacja



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Kronika zapowiedzianej katastrofy

Różnych rzeczy mogłem się spodziewać, ale nie tego, że do grona krytyków europejskiej polityki rządu dołączą najbardziej rozpoznawalni posłowie PiS do Parlamentu Europejskiego. Tymczasem w zeszłym tygodniu co najmniej kilka wypowiedzi musiało zaskakiwać. Profesor Zdzisław Krasnodębski np. najpierw powiedział, że nie rozumie działań rządu, a potem zasugerował, że polskim władzom brakuje odwagi i stanowczości. Proszę bardzo, oto jego wypowiedzi. „Żeby skutecznie negocjować, to trzeba mieć środki nacisku i trzeba być jednak odważnym. [...] Jeśli chodzi o oświadczenia, to jesteśmy bardzo zdecydowani, a jak przychodzi do negocjacji, to stajemy się ustępliwi” – mówił profesor. Nie mniej jasno wypowiada się Ryszard Czarnecki. Dostrzegł on, że rząd popełnił fundamentalny błąd, chwalać się zdobyciem pieniędzy półtora roku temu. „Rząd polski chwalił się zdobytymi środkami, nawet na billboardach. Przelicytował wręcz Marcinkiewicza i Tuska [...]”. Nic dodać, nic ująć. Profesor Ryszard Legutko był może najbardziej ogłędny. Chociaż czy słowa, że „pan premier i państwo ministrowie, negocjując, mają pewne podstawy, żeby mówić to, co mówią”, to wyraz poparcia?

Zastanawiam się, co się stało. Sytuacja, w której europosłowie partii rządzącej tak wyraźnie krytykują premiera, to rzecz niecodzienna. Przede wszystkim może od początku dostrzegali niebezpieczeństwo polityki premiera, ale nie chcieli szkodzić? Tyle że czas mija, pieniądze z KPO jak nie było, tak nie ma, a żądania Komisji Europejskiej

rosną. Z ostatniego wywiadu z Ursulą von der Leyen wynika, że warunkiem uruchomienia pieniędzy ma być teraz zgoda na chaos i paraliż wymiaru sprawiedliwości w Polsce. Szefowa KE domagała się bowiem w wywiadzie dla „DGP”, by jedni sędziowie mogli podważać status innych sędziów, a państwo polskie to akceptowało.

Cóż, patrzę na te głosy europosłów z pewną nadzieją. To, że Polska popełniła dramatyczny błąd, podpisując się w 2020 r. pod zasadą „pieniądze za praworządność” i pod europejskim Zielonym Ładem, było jasne od początku. Niestety, cała polska polityka europejska stała się zakładnikiem rozgrywki wewnętrznej. Nowo powołany premier Mateusz Morawiecki musiał pokazać swoją skuteczność. Z jednej strony chciał udowodnić, że osiągnie to, czego nie udało się jego poprzedniczce, Beacie Szydło. Z drugiej postanowił wykorzystać negocjacje z Unią do zbudowania własnej pozycji politycznej i pogiębienia Zbigniewa Ziobry. Osiągnięcie porozumienia z Brukselą stało się dla niego koniecznością. Dlatego nie skorzystał z prawa weta i przyjął niekorzystne dla Polski rozwiązania. Wierzył, że Krajowy Plan Odbudowy zostanie szybko zaakceptowany i do Polski popłynie strumień pieniędzy. Mówił o nowym planie Marshalla i chwalił się wielkimi inwestycjami w oparciu o wypłaty z Brukseli. Nie przewidział jednak, że, najkrócej mówiąc, zostanie wystrychnięty na dudka. Bruksela woli, żeby jej namiestnikiem w Polsce był Donald Tusk. Dlatego Komisja Europejska najpierw w nieskończoność KPO badała, a następnie, kiedy go przyjęła, to

opatrzyła taką liczbą warunków, że ich spełnienie jest praktycznie niemożliwe. Wreszcie, co skądinąd zabawne, do tych warunków zaczęła dokładać nowe.

Towarzysz tu kabaretowe występy premiera i jego współpracowników, które mają zatrzeć niepowodzenie. Nic nie pokazuje tego lepiej niż wypowiedź ministra Waldemara Budy, który komentując wywiad szefowej KE dla „DGP”, powiedział: „Tam wkraść się lapsus w tłumaczeniu. Myślę, że powinniśmy mieć lada moment jakieś sprostowanie ze strony rzecznika”. Cóż, postawa taka nazywa się wypieraniem rzeczywistości i zwykle podlega terapii. Trzeba przyznać, że jak na partię, która obiecywała powstanie z kolan, obecne popiskiwanie „czekamy na sprostowanie rzecznika” brzmią żałośnie. A może to jest główny powód tłumaczący krytykę europosłów PiS? W końcu są jakieś granice żenady.

Nie ulega wątpliwości, że z każdym miesiącem sytuacja premiera jest trudniejsza. Z jednej strony nie bardzo może zdecydować się na ostre posunięcia, np. zawieszenie składki do budżetu Unii. Przeczyłyby to całej jego dotychczasowej polityce. Taki zwrot jest możliwy, ale raczej nie z tym premierem. Wydaje się dlatego, że bardziej prawdopodobne są gra na przeczekanie oraz coraz bardziej dramatyczne zabieganie o choćby ochłapy z unijnej kasy, byle tylko można było coś pokazać elektoratowi. Na razie się to nie udaje. A jak pokazuje przykład europosłów z PiS, cierpliwość nawet największych sympatyków rządu jest na wyczerpaniu. Zegar tyka. ©

NASTĘPNE WYDANIE „DO RZECZY” UKAŻE SIĘ WE WTOREK 16 SIERPNIA

TEMAT TYGODNIA

12 TOMASZ ROWIŃSKI
**ZAGUBIONE SIEROTY
REWOLUCJI SEKSUALNEJ**
Rozkład więzi zaufania

14 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
PONURY RECHOT REWOLUCJI

18 DARIUSZ WIEROMIEJCZYK
PROSTYTUCJA NASZA ZWYCZAJNA?



KRAJ

22 ROZMOWA ZE ZBIGNIEWEM ZIOBRĄ
**UNIA ZMIENIA SIĘ
W UPIORNĄ KARYKATURĘ**
Polityka ustępstw będzie prowadzić
do upokorzeń Polski

26 KAMILA BARANOWSKA
KONIEC OBJAZDU?

28 PIOTR SEMKA
**SIERPNIOWE
PRZECIĄGANIE LINY**

30 ŁUKASZ ZBORALSKI
DZIECI W RUCH

KULTURA

32 WIESŁAW CHEŁMINIAK
PÓŁ WIEKU Z ZESPOŁEM ABBA
Renesans popularności szwedzkiego kwartetu

36 PIOTR GOCIEK
KIEDYŚ, CZYLI TERAZ

NIE PRZEGAP

38 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

44 ROZMOWA Z DR. WOLFGANGIEM WODARGIEM
JEDNI UMIERAJĄ, DRUDZY ZARABIAJĄ
Pandemia okazją do zysków

47 ROZMOWA Z PROF. WALDEMAREM GONTARSKIM
Z NIEMCAMI TRZEBA ROZMAWIAĆ TWARDO

50 ŁUKASZ WARZECHA
UCIEKAJĄCE REPARACJE

52 PAWEŁ CHMIELEWSKI
**POKUTNA PIELGRZYMKA CZY HUCZNY
TRIUMF LIBERAŁÓW**

HISTORIA

54 MACIEJ ROSALAK
1920. JAZDA NA KARKU BOLSZEWIKA
Jak gromiliśmy najeźdźców ze Wschodu

58 ROZMOWA Z PIOTREM ŁOPUSZAŃSKIM
**URODZONY
POD SZCZĘŚLIWĄ GWIAZDĄ**

ŚWIAT

62 DOMINIKA ĆOŚIĆ
KOSOVO NIEZGODY
Bałkańska beczka prochu

64 MACIEJ PIECZYŃSKI
**WILNO SIĘ MOSKWIE
NIE KŁANIA**

66 WITOLD REPETOWICZ
NOWA SZWECJA

70 JOANNA BOJAŃCZYK
JAK POŚLUBIĆ MILIONERA

EKONOMIA

72 JACEK PRZYBYLSKI
LATO SPEKULANTÓW
Jest drogo.
Ma być jeszcze drożej



FELIETONY: SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ZYCHOWICZ, KOPER (61), PRZYBYLSKI (69), GABRYEL, WARZECHA (74), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JĄSTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (80), NOWAK (81), CEJROWSKI (82)

DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Goćek, Krzysztof Masłowski, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemieliński

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Ćosić (Bruksela),
Tomasz Cukiermistrz, Krzysztof Czabanski, Wojciech Golonka,
Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis,
Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Toraniński, Szwach Weiss, Piotr Włoczyński, Marcin Wolski,
Małgorzata Wólczyńska, Jakub Wozniński, Tomasz Wróblewski,
Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska**
(także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Kamila Frach, Marcin Bugaj,**
Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sienkowski,
Łukasz Żygadło

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziółko** (kierownik studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład), **Jacek Nadratowski** (obrobka zdjęć)
Fotoredykcja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magdalena Zubrycka-Wernerowska,**
Agata Błaszczak-Stefaniak

RYSONOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Adobe Stock**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, Agnieszka Jabłońska, Jolanta Kloc

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek**, tel.: 508 040 664,
pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500

Nr indeksu 288 829, Nakład 54 000 egzemplarzy



DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydanie można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Eventualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy,

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Piłowanie korzeni”, Piotr Semka, „DRz” 30/2022

W artykule (ciekawym, ciekawym!) Piotra Semki o „Tygodniku Powszechnym” („Piłowanie korzeni”) znalazły się nieścisłości, które – jak sądzę – warto wyjaśnić. Autor pisze: „Krakowski tygodnik wydawany jest od 1945 r. bez przerwy. Jego specyficzny status jedyne pisma ogólnopolskiego wydawanego bez bezpośredniej kontroli komunistycznych władz przyniósł mu w epoce PRL niezwykłą popularność”.

A jednak przerwa była, i to ponad trzyletnia. Kiedy w marcu 1953 r., po śmierci Stalina, redakcja nie zgodziła się na zamieszczenie odredakcyjnych żalów po zgonie wielkiego językoznawcy, pismo zostało zawieszone. Co prawda, kilka miesięcy później, w lipcu 1953 r., pismo o nazwie „Tygodnik Powszechny” ponownie pojawiło się w sprzedaży, ale była to – mówiąc kolokwialnie – podróbka. Komuniści tytuł oddali PAX i odtąd, w przeciagu blisko trzech lat, tytuł ten nie miał nic wspólnego z prawdziwym „Tygodnikiem...”. Ukazywał się on do maja 1956 r. Potem, przez ponad pół roku, nie było nawet fałszywego „Tygodnika...”. Pod koniec tego roku, po tzw. odwilży i objęciu władzy przez Gomułkę, cenzura zgodziła się na ponowne wydawanie pisma przez prawowitą redakcję. Decyzja o zwrocie tytułu nastąpiła pod wpływem – przyznawał Turowicz – deklaracji redaktorów i publicystów gazety opublikowanej w „Życiu Warszawy”. Z całą mocą poparto nowego I sekretarza partii Władysława („Wszystkie postępowe i żywe siły katolickie witają z zapałem wielki przełom dokonany w naszym życiu i mają szczerą wolę, aby wspólnym wysiłkiem i trudem współdziałać w dziele budowy w Polsce prawdziwej sprawiedliwości społecznej”).



Wznowiony „Tygodnik Powszechny” ukazał się na Boże Narodzenie 1956 r. i od tamtej pory (jeśli nie liczyć przymusowej przerwy po ogłoszeniu stanu wojennego w 1981 r.) ukazuje się nieprzerwanie aż do dzisiaj.

Trudno się zgodzić ze stwierdzeniem, że tygodnik był – jak pisze autor – „wydawany bez bezpośredniej kontroli komunistycznych władz”. Ależ oczywiście, że ta kontrola była! Przez cały okres Polski komunistycznej funkcjonowała cenzura i „Tygodnik...” jak każde inne pismo musiał jej podlegać i podlegać „Tygodnik...” miał tyle swobody, ile przyznali mu komunistyczni cenzorzy. Warto może przy tej okazji wspomnieć, że legenda jedynej niepokornej gazety wzięła się stąd – ot, paradoks! – że komuniści zgodzili się na jego reaktywację po dojściu Gomułki do władzy, co pozwoliło przez cały pozostały czas istnienia PRL wydawać pismo o charakterze (wtedy) katolickim. Bo do 1953 r. „TP” nie był jedyny. W latach 1952–1953 komuniści zamknęli takie pisma katolickie jak np. „Rycerz Niepokalanej”, „Niedziela”, „Ład Boży” czy gorzowski „Tygodnik Katolicki” i zgodzili się na ich reaktywację dopiero po sierpniu 1980 r. (z wyjątkiem tego ostatniego tytułu, którego nigdy nie udało się reaktywować). Przy okazji warto wspomnieć, że „Ład Boży” odmówił cenzurze w lutym 1953 r. potępienia pracowników krakowskiej kurii metropolitalnej, na co przystał „Tygodnik Powszechny”. Proces tamten był typową bolszewicką farsą procesu, w którym krakowskich księży oskarżono o szpiegostwo, spekulację, defraudację i gromadzenie broni. TP oświadczenie potępiające kurie opublikował po tym, jak w rzeczonym procesie wydano trzy wyroki śmierci (nie zostały jednakże wykonane). Zatem prawda o jedynie niepokornej gazecie, którą czasem się powtarza, jest mocno nieoczywista.

Z poważaniem,
Tomasz Kornaś, Kraków

Od autora

Oczywiście nie sposób nie przyznać racji autorowi listu. Mój tekst na temat „Tygodnika Powszechnego” skupiał się na obecnej kondycji tego pisma, więc siłą rzeczy, opisując powojenną historię tygodnika, musiałem używać skrótów myślowych. Dokładne analizowanie powojennych kolei losu pisma Jerzego Turowicza wymagałoby dłuższych dygresji, które ciążyłyby przy pisaniu tekstu o aktualnym stanie pisma polskich „katolików otwartych”.

Piotr Semka

NA PIERWSZY OGIEŃ

Kurtuazja przeciwskutečna



PIOTR SEMKA

Rada Języka Polskiego zaapelowała, aby – szczególnie w tekstach oficjalnych – używać wyrażen „do Ukrainy” i „w Ukrainie”. Zamiast „na Ukrainę” i „na Ukrainie”. Jak wskazują członkowie Rady, „biorąc pod uwagę szczególną sytuację i szczególne odczucia naszych ukraińskich przyjaciół, którzy wyrażenia »na Ukrainie«, »na Ukrainę« często odbierają jako przejaw ich państwa jako niesuwerennego, Rada Języka Polskiego zachęca do stosowania składni »w Ukrainie« i »do Ukrainy«”. To nie koniec. Jak pisze Rada, „jednocześnie prosimy naszych ukraińskich przyjaciół oraz wszystkich zwolenników rewolucyjnych zmian, by uszanowali zwyczaje językowe tych Polaków, którzy będą mówić »na Ukrainie«. Nie wyrażają w ten sposób lekceważenia. Poza tym słyszymy »na Ukrainie« od wielu uchodźców wojennych, można znaleźć takie konteksty w ukraińskich gazetach i na portalach, choć w tekstach oficjalnych zdecydowanie przeważa »w«”.

Oświadczenie jest wymieszane jak bigos hultajski. Z jednej strony zaleca zmianę obyczajów językowych, z drugiej strony powołuje się

na wrażliwość (ilu?) Ukraińców, a w końcu przyznaje, że formuła „na Ukrainie” używana jest także przez wielu przybyszów z naszej wschodniej granicy. W oczy rzuca się znana z innych poprawnościowych dyskursów teza: jeśli innym grupom jakieś określenie wydaje się obraźliwe, to nie jest ważne, czy jest to obiektywnie objaw lekceważenia czy nie, ale należy posłusznie się dostosować. Całość okraszona świętoszkowatym westchnieniem, że nie wszyscy jeszcze są zdolni do takich postępowych zmian.

Jak pokazują rozmaite przykłady z Zachodu, wszelkie rewolucyjne zmiany podyktowane troską o to, aby ktoś inny nie poczuł się urażony, niczego dobrego nie przynoszą. Nie tylko nie poprawiają relacji między różnymi społecznościami, lecz także budzą znacznie bardziej toksyczne emocje, tyle że ukrywane. A w dialogu polsko-ukraińskim równoprawność jest niezbędna.

Parę miesięcy temu w wielu mediach przeczytać można było informację, że ta sama Rada Języka Polskiego rekomenduje, by unikać słowa „Murzyn”, bo w jej opinii ma ono negatywne konotacje. Wywiadowana w tej kwestii przez jedną

z gazet psycholog „międzykulturowa” Dorota Cieślukowska mówiła w imieniu przybyszów z Afryki mieszkających w Polsce: „Ci, którzy tu dopiero przyjechali, czasem nie wyczuwają głębokich znaczeń i nie wiedzą, jakie »Murzyn« ma konotacje, nawet sami używają tego słowa, potem się to zmienia. Mamy w końcu w polszczyźnie sporo zwrotów i przysłów typu »Murzyn zrobił swoje«, które nasuwają skojarzenia z niewolnictwem”. Pani Cieślukowska zaleciła, aby w miejsce słowa „Murzyn” używać określenia „czarny” i „czarna”. I dodaje: „Sądzę, że określenie »czarny« tak jak »biały« jest dziś neutralne. Akceptują je przedstawiciele społeczności migranckich w Polsce”.

Tyle pani psycholog, a mnie cały wywiad wprawia w osłupienie. Przecież określenie „czarny” i „czarna” definiuje człowieka przez kolor skóry, a nie przez jego pochodzenie kulturowe czy obywatelstwo. Na tym tle słowo „Murzyn”, nawet jeżeli występuje w niektórych staropolskich przysłowiach sięgających epoki kolonialnej, jest – jak by się zdawało na zdrowy rozum – o wiele godniejsze niż „czarny”.

I szukaj tu logiki. ©©

ROŚNIE NAPIĘCIE WOKÓŁ TAJWANU

Chińska armia wystrzeliła w ubiegłym tygodniu rakiety w stronę wód otaczających Tajwan, które władze w Pekinie traktują jako zbuntowaną prowincję. Chiny rozpoczęły jednocześnie wielkie manewry wojskowe z udziałem okrętów wojennych i samolotów. Pekin jako pretekst wykorzystuje wizytę na Tajwanie spikerki Izby Reprezentantów USA Nancy Pelosi. – Działania Chin wokół Tajwanu to próba ustanowienia nowego status quo, ale USA na to nie pozwolą – oznajmił w czwartek rzecznik Rady Bezpieczeństwa Narodowego John Kirby. (jap) ©©



FOT. HECTOR RETINAL/AP/EAST NEWS

dwaj panowie g

Nastał sierpień, niebezpieczna dla Polaków pora. Zatem były szeregowy wicepremier Jarosław Kaczyński udał się na urlop, by dumać nad losem Polski, rządu i partii. Co ważne, będzie też dumał nad losem premiera.

Z jednej strony sprawa jest prosta – dopóki sondaże są OK, premier jest bezpieczny. Ale jak tępna, to będzie trzeba coś zmienić. Słyszeliście zapewne o kandydaturach na nowego premiera. W tej kwestii mamy kilka ważnych informacji. W grze znajdują się Mariusz Błaszczak, Achim Brudziński oraz marszałek Elżbieta Witek. A także jeden kandydat nieoczywisty. I jeszcze jeden – nieznan.

Zacznijmy od Witek. Jest problem. Otóż swego czasu, gdy wybierano nowego rzecznika praw obywatelskich, Jarosław Kaczyński wydał pani marszałek wyraźne polecenie: „Każdy, byle nie prof. Marcin Wiącek”. Głupia sprawa, okazało się, że przeszedł Wiącek. Więc ten tego, sami rozumiecie.

Teraz kandydat nieoczywisty. Kluczem do zwycięstwa A.D. 2023 ma być ponoć mobilizacja elektoratu i zaostrożenie linii, więc naczelnik poważnie rozważa kandydaturę obecnego szefa resortu edukacji i nauki, czyli Przemysława Czarnka. O kandydata nieznanego nie pytajcie, chwilowo go nie znamy. Ale wiemy, że istnieje. I pracujemy nad tym.

Odymisji szefa Agencji Wywiadu. Opowieści o tym, że Piotr Krawczyk polecał za respiratory, są tylko częścią prawdy. Choć Krawczyk i krwawy Mario Kamiński znają się od czasów Ligi Republikańskiej, to chemii między nimi nie było od dawna. Był i inny problem: odwieczna wojna między Legią a Gwardią. Tak określano dawniej konflikt między tajnymi służbami wojskowymi a cywilnymi. Stosunki Krawczyka z byłym szefem Służby Wywiadu Wojskowego Andrzejem Kowalskim nie były łatwe, ale jeszcze gorsze okazały się z obecnym – Markiem Łapińskim. Na pewno to Krawczykowi nie pomogło.

Na wszystko nałożył się pradawny spór o korzeniach jeszcze z PRL. W języku służb mówi się „konflikt na linii Rakowiecka – Miłobędzka”.

Miłobędzka była siedzibą komunistycznego wywiadu znanego jako Departament I – obecnie jest tam Agencja Wywiadu. Przy Rakowieckiej mieściła się SB, a obecnie ABW. Tajemnicą poliszynela było to, że Krawczyk oraz szef służby popularnie zwanej Abwehrą – Krzysztof Waćławek – łagodnie mówiąc, nie darzą się sympatią.

W wyjaśniamy, co dalej. Dojdzie do tego, co nazywa się inwazją Rakowieckiej na Miłobędzką. Funkcję nowego szefa Agencji Wywiadu obejmie dobry znajomy Waćławka – Bartosz Jarmuszkiewicz. Zastanowi go zapewne pusta szklana gablota tuż obok jego nowego gabinetu. Uspokajamy. Oryginalna maszyna szyfrująca Enigma, która była dumą dotychczasowego szefa AW i była prezentowana w tej gablocie, nie została przez niego zagarnięta. Wypożyczono ją tylko na wystawę do muzeum w Poznaniu.

Piotrowi Krawczykowi na pocieszenie. Ma chłop rekord. Nikt w III RP nie stał dłużej na czele tajnej służby niż on. Znaczący służby cywilnej, bo Kuja-wa w SWW był rok dłużej. Gratki.

Teraz o innym Kamińskim. Kiedy sprawa jest słuszna, nie mamy problemu z pochwaleniem osobników, których zwykle ganimy. Więc dziś ciepłe

słowa o Misiu Kamińskim, a nawet – bo sprawa poważna – Michale Kamińskim. Jego zaangażowanie w pomoc dla Ukrainy nie jest powszechnie znane, a imponuje. Ostatnio zorganizował np. wielką zrzutkę na Florydzie. Ze znakomitą efektem. Podróżuje w tej sprawie także w innych kierunkach, ale więcej powiedzieć nie możemy, bo to sekret.

Ciekawa rzecz, jak opowiadają wiewiórki – na Florydzie w zbiorce na pomoc dla Ukrainy szczególnie aktywna była tamtejsza mniejszość kubańska. Co nas nie dziwi, akurat uciekinierzy z komunistycznej Kuby doskonale wiedzą, do czego zdolni są spadkobiercy gułagu dla niepoznaki przemianowanego na Federację Rosyjską. Viva Cuba Libre, viva Ukraina Libre, a raszytom – muerte!

Ponieważ jesteśmy strasznie wścibscy i zaglądamy ludziom nawet do talerza, chcieliśmy ogłosić, że prof. Andrzej Zybertowicz od ładnych kilku miesięcy nie je mięsa. To już prawdziwa epidemia. Przykład idzie z dołu: uczeń Zybertowicza, obiecujący i wyedukowany ekspert Maciej Gurtowski zaczął się wegetarianić, a nawet weganic, dużo wcześniej. W efekcie mamy dziś na wizji ledwie pół eksperta. Czego nie życzymy Zybertowiczowi, gdyż cenimy sobie wielce jego nauki i chcielibyśmy je pobierać w całości, a nie w połowie.

Uwaga, krytykujemy warszawskich radnych KoŁo (Koalicji Łobywatełskiej). Uważamy, że niedostatecznie docenili wybitną mężynię stanu, którą jest Hanka Gronkiewicz-Waltz. Czymże jest jakieś tam honorowe obywatelstwo stolicy wobec jej licznych zasług? Trzeba jej było do tytułu dorzucić przynajmniej jakąś kamienicę. A nie, przepraszamy najmocniej, kamienicę już sobie sama wcześniej zorganizowała.

Organ Grzegorza Hajdabombera twierdzi, że Państwowa Inspekcja Pracy badająca mobbing w „Newsweeku” ustaliła, że wszystko jest OK. Skoro jest OK, to czemu kazała wdrażać program naprawczy? Ale to kwestia uboczna. Bo jeśli nie mobbing, to co takie go zobaczył zarząd RASP w zeznaniach na temat Lisa, że postanowił się go natychmiast pozbyć? Prawda nas wyzwoli, mówią wiewiórki, a nic tak nie wyzwala jak prawda koleżanek z pracy. ©©

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Siła samostanowienia

Oprócz uzależnienia od tanich, rosyjskich surowców, zwłaszcza energetycznych, jest jeszcze jeden powód, dla którego bandycka polityka Putina spotyka się w głównych krajach Unii Europejskiej z tak miękką odpowiedzią i dla którego, jak ujął to litewski eurodeputowany, „nie są one gotowe na przegraną Rosji”. Tym powodem jest odrzucenie wartości, o które Ukraińcy walczą.

Unia Europejska, w założeniach jej twórców, kierować się miała zasadą samostanowienia narodów. Tą samą, która dyktowała prezydentowi Wilsonowi warunki pokoju kończącego wojnę światową (wtedy jeszcze nienazywaną pierwszą) i w imię której budowano powojenny ład. Jeszcze w latach 80. dla

wszystkich oczywiste było, że to państwa narodowe są podmiotem światowej polityki, a kluczem do pokoju i ładu na świecie jest sprawiedliwe wyważenie ich aspiracji, tak by żaden naród nie starał się niewolić ani wykorzystywać drugiego.

Te zasady, dla nas wciąż oczywiste, zostały nagle w ostatnich latach odrzucone. Pod wpływem ideologii zapomnianych włoskich komunistów elity UE uznały, że narody są źródłem zła, a warunkiem lepszego świata jest ich zniszczenie i poddanie kurateli „światłej elity” na poziomie europejskiego oberpaństwa.

Tym samym Zachód przestał rozumieć, co dzieje się z Rosją, w której chciał mieć strategicznego partnera. A dzieje się to samo, co sto lat temu stało się z innym

mocarstwem, cesarstwem austro-węgierskim. Żyjące w niej narody po prostu mają dość poddaństwa i chcą o swoim losie decydować same. Tyle. Nie jest to wina „ekspansji” NATO, jak twierdzą imperialiści z Kremla i ich pożyteczni idioci w typie Kissingera, nie jest to żaden spisek, tylko naturalne dążenie narodów, w tej chwili zwłaszcza ukraińskiego i białoruskiego, do wolności. Dążenie przyjmowane w elitach Unii Europejskiej z niezrozumieniem i wrogością, bo przeczące przyjętej tam doktrynie, że „narody to anachronizm”.

Ale historia uczy, że narodowych aspiracji do samostanowienia okiełznać się skutecznie nie da. Im szybciej Zachód zrozumie, że jest na błędnej drodze, tym dla niego lepiej. ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Metoda Szułdrzyńskiego

Kilka lat temu napisałem artykuł o potrzebie zachowania waluty narodowej, więc również konieczności przeciwstawienia się unijnej presji, domagającej się likwidacji złotego. Po tamtym moim tekście Michał Szułdrzyński opublikował bardziej komentarz niż polemikę na temat podjazdowej gry PiS przeciwko wprowadzeniu euro. Według Szułdrzyńskiego miałem być w tej partyzanckiej kampanii PiS-owskim zagończykiem. Owszem, było to w czasie, gdy Prawica Rzeczypospolitej (którą wówczas kierowałem) współpracowała z PiS, ale moje stanowisko nie tylko nie było „uzgadniane”, lecz także wyraźnie odrębne; domagałem się większej jednoznaczności

w sprawie zachowania złotego, zarówno na forum narodowym, jak i europejskim, i przekonywałem do konieczności takiej strategii.

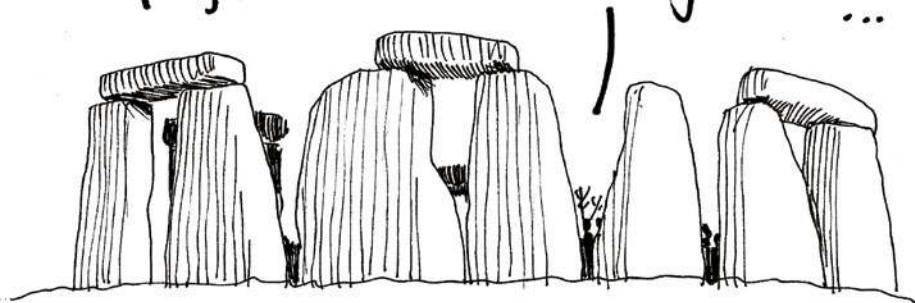
Przypominałem sobie tamtą wymianę zdań, gdy przeczytałem komentarz Szułdrzyńskiego do prostego stwierdzenia Roberta Bąkiewicza, że „ingerowanie w polską suwerenność i arogancja eurokratów zaowocują wyjściem Polski z Unii”. Tę po trosze prognozę, po trosze przestrożę Szułdrzyński nie tylko ogłosił „hasłem polexitu”, lecz także zdemaskował jako element „swego rodzaju podziału ról w obozie władzy”. Nie jestem specjalistą od „rodzajów podziałów ról”. Z pewnością „podział ról” w obozie lojalistów Komisji Europejskiej, w ramach

którego Michał Szułdrzyński publikuje swoje demaskacyjne analizy, jest innego „rodzaju” niż „podział ról w obozie władzy”. No bo w końcu chyba wie, o czym pisze, instruując naiwną publiczność na temat prawdziwej natury relacji między władzą, społeczeństwem obywatelskim i opinią publiczną.

Dla mnie jednak to nadzwyczaj smutne, że największy promotorzy „społeczeństwa pluralistycznego” i „wolności przekonani” mają tak niskie mniemanie o przekonaniach tych uczestników życia publicznego, z którymi się „pluralistycznie” nie zgadzają. Liberalna demokracja psuje się od środka, dokładnie biorąc – od samego środka. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

Wielkim wysiłkiem wznieśliśmy nasze
kamienie milowe... I to było dobre...
Niestety bóstwa uznały, że tu jest nieco
zadrapany, a tamten w niewłaściwym odcieniu
...



c e z a r y k r y s t o p a



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

0 znieczulicy

27 lipca, leniwe popołudnie w centrum Civitanova Marche nad Adriatykiem. Parę, która wybrała się na zakupy do centrum handlowego miasta, zaczął się znany i lubiany w okolicy nigeryjski żebrak, 39-letni Alik. Chodził o kuli, bo niedawno wpadł pod samochód. Poprosił o wsparcie, komplementując przy okazji urodę kobiety. Położył dłoń na jej ręce. Rozeszli się w pokoju. Kobieta weszła do sklepu, a jej partner został na ulicy. Po chwili refleksji uznał, że Nigeryjczyk zachował się w sposób uwłaczający godności jego partnerki. Wrócił, wyrwaną z ręki kulą powalił go na ziemię, zaczął okładać pięściami, a w końcu zadusił. Wstał i niezaczepiany przez nikogo spokojnie

odszedł. Horror trwał 40 sekund. Kilkadziesiąt minut później mordercę wytropiła policja.

Alik, który przybył do Włoch 16 lat temu, pozostawił żonę i dwoje dzieci. Okazało się, że morderca to 32-letni robotnik, mieszkaniec miasta. Ma problemy psychiatryczne (zaburzenie afektywne dwubiegunowe), z powodu których uznano, że jest 100-procentowym inwalidą. Leczył się. Używał też narkotyków.

W Italii toczy się teraz brutalna kampania wyborcza (25 września Włosi pójdą do urn). Lewica, jak wskazują sondaże, skazana na klęskę, postanowiła wykorzystać tragedię do swoich politycznych celów. Jej przywódcy i służąca jej ogromna większość mediów już znaleźli prawdziwych win-

nych: Matteo Salvini i Giorgię Meloni, szefów partii prawicowych, którzy rzekomo rozpętały faszystowsko-rasistowską histerię, więc mają śmierć Alik na sumieniu. Centroprawica niewiele lepiej. Wykorzystała tragedię, by wesprzeć jeden z filarów swojej kampanii wyborczej: obietnicę wprowadzenia ładu i porządku na włoskich ulicach w ramach zasady „zero tolerancji”. Słowem – obrzydliwy polityczny taniec na grobie Alik.

Można gorzej? Można. Do tragedii doszło w centrum handlowym miasta. Było pełno ludzi, ale nikt nie stanął w obronie Alik. Wszyscy nagrywali makabryczną scenę telefonami, by potem pochwalić się filmikiem w sieci. ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

KAMILA
BARANOWSKA

NA PRÓŻNO



FOT. ADRIE STOCK

INWESTORKA
CELEBRYTKA

Modelka i celebrytka Joanna Krupa, zwana też w Polsce Dżoaną Krupą, na co dzień mieszkająca w USA, postanowiła ponarzekać trochę na inflację i wzrost cen i opowiada, jak ona osobiście uczy się oszczędzać i na czym. – W Stanach też inflacja jest masakryczna. Benzyna też jest bardzo droga. Odkąd jeżdżę autem, nie była taka droga. Jak przyjeżdżam ze Stanów, to tutaj i tak jest taniej. Nieruchomości też poszły w górę. Nie wydaję pieniędzy na markowe ciuchy. Dla mnie, żeby wydać 20 tys. na sukienkę, którą ubiorę raz, to miałabym wyrzuty sumienia. Inwestuję w torebki i buty. W nich przez lata mogę chodzić – wyznaje Krupa, która zdradziła też, że rozważa inwestycje w dom w jakimś egzotycznym miejscu. – Jest taki moment, że chcesz coś kupić, ale nie chcesz przepłacić, i mieć miejsce na wakacje. Why not! Byliśmy z mężem na wakacjach i też myśleliśmy sobie, czy mieć taki domek. Poziom życia za te pieniądze co tutaj lub w Stanach to bardzo luksusowo można byłoby żyć w Tajlandii – stwierdziła. No tak, przecież nieważne gdzie, ważne, by było luksusowo!

NIEPOWAŻNA

Celebrytka młodego pokolenia Julia Wieniawa, nieustannie aspirująca do roli aktorki i piosenkarki, lubi ubolewać nad

tym, jak jest niesprawiedliwie postrzegana. W najnowszym wywiadzie dla magazynu „Viva!” znów wraca do tego tematu. – W Polsce ładna dziewczyna, która fajnie się ubiera, a na dodatek ma „drogą torebkę”, z definicji jest po prostu głupia. Nie może być jednocześnie artystką, która ma coś do powiedzenia, bo to się wzajemnie wyklucza. A ja dobrze wiem, co chcę przekazać swoją twórczością, natomiast lubię też dobrze wyglądać. Nie rozumiem, dlaczego muszę wyzbierać się swojej zmysłowości i kobiecości, żeby być poważnie traktowana? – mówi. Powagę zyskałaby, gdyby przestała udzielać takich wywiadów. Ale to jej raczej nie grozi.

ZNUDZONA
CELEBRYCTWEM

To nie koniec mądrości Wieniawy Julii. W tym samym wywiadzie wyznaje bowiem, że osiągnęła w życiu już prawie wszystko: popularność i sukces finansowy, więc teraz „celebrytowo” już ją męczy. Przede wszystkim dlatego, że jest ciągle porównywana do influencerów, które nie mają wiele do zaoferowania. W przeciwieństwie do niej oczywiście. – To przyćmiewa moje zawodowe sukcesy – mówi. – Nie lubię być wrzucana do jednego worka z ludźmi, którzy nie robią nic innego poza „byciem” na Instagramie. Wiadomości typu: z kim wypiliśmy kawę, jaką mam fryzurę albo jakie auto kupiłam, często stają się ważniejsze niż

moje zawodowe osiągnięcia – narzeka celebrytka. Wystarczy przecież, by przestała pisać o tych kawach, fryzurach i autach, i problem z głowy. Tylko o czym by wtedy pisała?

JESZCZE LEPIEJ

Celebrytka Anna Wendzikowska, która od kilkunastu lat w „Dzień dobry TVN” przeprowadzała wywiady z gwiazdami Hollywood, poinformowała, że żegna się z programem. Wendzikowska najbardziej znana była ze swoich licznych wpadek i pomyłek. Portal Pudelek uczcił nawet jej odejście tekstem pt. „Przypominamy największe wpadki w jej 15-letniej karierze”. „Czasami życie pisze dla nas scenariusz niespójny z naszymi planami i nie warto się z życiem przepychać, bo ono zawsze wie lepiej...” – napisała Wendzikowska w mediach społecznościowych, po czym zaczęła wspominać swoje początki i pracę w TVN. – Rozmawiałam chyba z każdym możliwym hollywoodzkim aktorem, każda rozmowa była dla mnie cenna – wyliczała. Dodała też, że odejście ze stacji było jej decyzją, i poprosiła o wsparcie „na kolejnych etapach jej wędrówki”. – Wezmę wszystko, czego się nauczyłam, i zrobię z tego coś jeszcze lepszego! – zapowiedziała. Strach się bać, normalnie. ©©



FOT. TRICOLORS/EAST NEWS



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, żebyście wy nie musieli, obejrzelismy pierwsze kilka minut tego słynnego skeczu kabaretowego, o którym wszyscy ostatnio tyle mówią. Wiecie, gdzie została obnażona cała prawda o rządach PiS, której wcześniej nikt nigdy nikomu nie opowiedział, iż wszystko to jest tajne, a rząd tuszuje pewne sprawy i zsyła za mówienie o nich do, he he, Niska na Podkarpaciu.

No i jak dla nas to serio nie ma o czym mówić – typowe dzieło polskiej myśli kabaretowej, w pierwszych 10 minutach padły żarty na temat picia wódki, jeszcze większego picia wódki, była baka z osób grawitacyjnie uposażonych, przypomniano widzowi, iż Kaczafi jest niski, a Polacy są zawistni.

Jednak największe wrażenie zrobił na nas żartobliwy dialog: „Stolec był?”, „Był, rentę przyniósł”. Publiczność bardzo się śmiała.

Wedle badań naukowych populacja ludzka z pokolenia na pokolenie ma coraz mniejsze IQ. Niektórzy by się z tego powodu martwili, narzekali, że to przez ten Internet, i opowiadali inne boomerskie smuty, ale przeciesh w gruncie rzeczy to się w ogóle nie ma czym martwić, prawda?

Otóż naszym zdaniem ludzkości spada to całe IQ, iż stajemy się coraz

bardziej wyspecjalizowani. Kiedyś właśnie nie było Internetu i każdy starał się znać na wszystkim, iżby sprawiać wrażenie mądrzejszego, imponować waginoosobom, dostawać Nagrody Nobla od kapituły starszych, białych, heteroseksualnych mężczyzn. Nic innego jak prymitywna rywalizacja, wyścig odcytanych, ale ciągle szczurów.

że „kiedyś to było” to może mówić wstawiony wujek na imieninach, a nie porządny osobonaukowiec.

Wogóle jaka to w chooy dyskryminacja po PiS-owsku, znów dzielenie ludzi na lepszych i gorszych, w dodatku według neoliberalnych kryteriów

dotyczących pieniędzy.

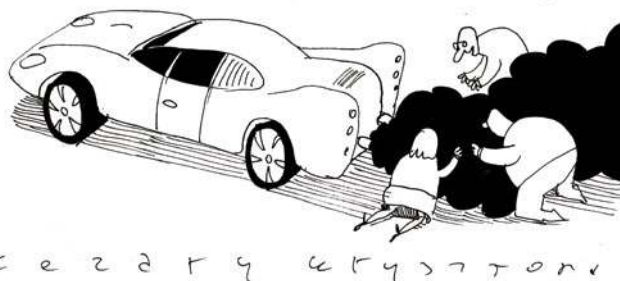
Otóż wyobraźcie sobie, iż nasz bank odmówił nam wakacji kredytowych!!! Jesteśmy tak wściekli, iż chyba pójdziemy na skargę do Morawieckiego.

Otóż słyszeliśmy, iż wakacje kredytowe pozwolą zaoszczędzić sporo pieniędzy – a więc tylko głupi by z tego nie skorzystał. Poszliśmy więc do banku, powiedzieliśmy, co i jak, iż w necie piszą, żeby z tych wakacji korzystać, a niemiła waginoosoba

w banku powiedziała, że nie ma dla nas takiej możliwości i że mamy sobie pójść albo wezwie ochronę.

To jest skandal, nierówne traktowanie. Skoro niektórzy mogą na tym zyskać nawet po kilka tysięcy złotych, to dlaczego nie my? Czy to naprawdę wystarczający powód, iż nie mamy kredytu?! ©©

Rok 2035. Dobry brukselski maharadza pozwala państwu wchodzić spaliny swojego ferrari...



A teraz? Luzik, specjalizacje są wąskie, ale konkretne. Na przykład u nas w korpo jedna osoba umie otworzyć Excela, druga umie sformatować komórki tak, aby Excel nie myślał, iż to data, a trzecia potrafi do tego Excela wprowadzić dane. I każdy osiąga wysoki poziom w swojej dziedzinie, nie ma zawiści, geje tańczą poloneza, można spokojnie żyć.

Dlatego też, kochani, nie przejmujcie się wszystkim, co mówią naukowcy, zwłaszcza jeśli chodzi o porównanie z tym, co było kiedyś, iż wiadomo,

PODSŁUCHANE

Włosy na twarzy

Adam, musisz jakoś przyspieszyć tę epidemię.

Ale jak, Mati? Robię, co mogę przecież.

No to za mało robisz.

Widzisz przecież, co się dzieje. Zaraz mnie ten węgiel zasypie. Chyba raczej nie, bo go nie ma.

Oj dobra, w przenośni mówię. W każdym razie Chłopik twierdzi, że jak szybko nie będzie znowu jazdy z maseczkami, szczepionkami i testami, to może mi już nic nie pomóc.

Problem w tym, że ludzie już mają na to wywalone.

Ale jak to? Nie boją się? No nie.

Ojejku, to wymyśl coś. Na przykład, że teraz jednym z objawów jest, bo ja wiem... że rosną włosy na twarzy. Ale... włosy na twarzy przecież rosną i tak. Popatrz na mnie.

No to, że kobietom rosną. Ja mam ci podpowiadać? Chłopik do ciebie zadzwoni. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Od lat walczę z przemocą i niesprawiedliwością. Teraz czas na walkę w nowej formie: w oktagonie!”

MAJA STAŚKO, lewicowa celebrytka, tłumacząc się w podcaście „Wprost Przeciwnie”, dlaczego za pieniądze wystąpi na gali freak fight MMA

Zagubione sieroty rewolucji seksualnej



FOT. ANDRZEJ STOK



Tomasz Rowiński

Konsekwencje kolejnych fal rewolucji seksualnej są często zaskakujące. Jedną prawdziwością jednak się nie zmienia – jak każda rewolucja także ta zaczyna zjadać swoje dzieci, również w Polsce

Temat skutków rewolucji seksualnej wraca w doniesieniach medialnych w ostatnich latach częściej, niż byśmy sobie tego życzyli. Wiąże się to z wejściem tejże rewolucji w kolejną fazę, która z dużą siłą ujawniła toczącą ją sprzeczność. Z jednej strony narasta presja – szczególnie biznesu rozrywkowego, a także różnych agend politycznych czy edukacyjnych – na coraz szerszą seksualizację życia ludzkiego. Postuluje się seksualizację dzieci, która zresztą dokonuje się dzięki nasyceniu mediów rozrywkowych treściami coraz trudniej odróżnialnymi od pornografii. Ideologie mniejszości seksualnych wciąż wyznaczają kierunki myślenia o seksualności w kulturze masowej, również w Polsce.

Mówiąc krótko – rozwija się, przełamując kolejne linie obyczaju i rozsądku, proces zapoczątkowany podczas rewolucji roku 1968, wzmocniony rok później podczas homoseksualnych zamieszek pod barem Stonewall.

Z drugiej strony, koniec stabilności obyczajowej, spowodowany rozwijającym się od lat 70. panseksualizmem, sprowokował neopurytańską reakcję w takich akcjach jak #MeToo czy pomysłach na wprowadzenie „kontraktów seksualnych”, które miałyby podpisywać osoby chętne do współżycia. W konsekwencji wielu idoli „wolności seksualnej” w ostatnich czasach z hukiem spadło z piedestałów – szczęście miał ten, którego spotkał tylko ostracyzm, ponieważ byli też tacy, którzy trafiali do więzień. Zresztą niejedną zupełnie słuszną.

Nie ma powodu, by idealizować dawniejsze obyczaje, były one jednak wyrazem praktycznej mądrości społeczeństw. Ideologie z kolei mają to do siebie, że za nic uważają doświadczenie. Tak jak u początku rewolucji obyczajowej bezpodstawnie uznano, że każda aktywność seksualna musi być dobra, tak dziś wystarczy rzucone w eter oskarżenie o przekroczenie norm, żeby zniszczyć człowieka. W czasach rewolucyjnych normy są jednak czymś arbitralnym, a czyjaśkolwiek

wina lub niewinność ma drugorzędne znaczenie. Ważna jest „prawda etapu”, za którą podążają emocje „stada”.

PRZYPADEK LISA

Zagubienie porewolucyjnych sierot widać także i w polskich, aspirujących do miana elit środowiskach. Mianem wzruszającego braku samoświadomości – lub cynizmu – można by określić niedawny wpis Tomasza Lisa w mediach społecznościowych we własnej sprawie. Po tym, jak został on usunięty ze stanowiska redaktora naczelnego tygodnika „Newsweek”, kontrolę w redakcji przeprowadziła Państwowa Inspekcja Pracy, która nie potwierdziła pojawiających się w mediach informacji o tym, że Lis stosował mobbing wobec dziennikarzy. Tomasz Lis uznał opinię PIP za swego rodzaju uniewinnienie.

„Na wiele tygodni zamieniono moje życie i życie moich najbliższych w koszmar. Nie oszczędzono mi żadnego epitetu. Niczego. Nie oczekuję przeprosin ani nawet refleksji. Jako chrześcijanin mam tylko jedno wyjście – wybaczam. Ale nie wiem, czy kiedykolwiek będę umiał zapomnieć” – napisał Lis na Twitterze. Problem polega na tym, że to nie mobbing był sednem dziennikarskich oskarżeń wobec byłego redaktora naczelnego „Newsweeka”,

a działania o podtekście seksualnym. Lis jakby tego nie zauważył.

„Sytuacja z newsroomu. Naczelny zagląda w dekolt jednej z redakterek i komentuje kolor jej stanika. Były też okropne kawały o gejach, koledzy geje z redakcji fatalnie to znosili” – mówił dziennikarzom Wirtualnej Polski jeden z byłych redaktorów „Newsweeka”.

„Z rozmów na RASP-owych korytarzach można odnieść wrażenie, że bezpośrednim powodem nagłego rozstania z Tomaszem Lisem były wysyłane przez niego wiadomości SMS-owe, których ujawnienie byłoby dużym problemem dla wydawnictwa” – można przeczytać w tekście Marcina Dobskiego na portalu Salon24.pl.

Sprawą zajmowali się dziennikarze od prawa do lewa. Piotr Głuchowski z „Gazety Wyborczej” napisał, że chodziło o SMS lub SMS-y wysyłane do jednej z młodych pracownic koncernu.

Rzecz jasna, nie wiadomo, co Tomasz Lis napisał (jeśli napisał) w SMS-ach, o których tyle mówiono. Istotniejsze jest to, że tygodnik, którym kierował, od lat przyczyniał się do tworzenia specyficznej atmosfery, w której z jednej strony nieustannie pochwała się podważaniem zasad przyzwoitości seksualnej, a z drugiej nawołuje się do społecznych sankcji wobec tych, którzy możliwości obyczajowej swobody biorą poważnie. Nie trzeba wracać do starej okładki z pochwałą poliamorii, wystarczy zerknąć na zupełnie nowe teksty z „Newsweeka”: „Wakacyjna niewierność Polaków. Zgadza się z teorią, że »seks 800 km od domu to nie zdrada«, „Euforia wchodzi po kilku minutach. Seks na narkotykowym turbodoładowaniu”.

Albo weźmy fragment pewnego wstępu, z którego od razu wynika linia obyczajowa tygodnika, którym kierował Tomasz Lis: „Szwecja przeszła rewolucję seksualną, a poziom tolerancji i akceptacji społecznej, dotyczący seksualności człowieka, skrajnie odbiega od naszej polskiej rzeczywistości. O różnicach między otwartą Szwecją a ograniczoną chrześcijańskimi wartościami i tak zwanymi tradycyjnymi wartościami Polską rozmawiają goście podcastu Katarzyny Janowskiej »Awantura o kulturę«. Z drugiej strony „Newsweek” śpiewał w chórze #MeToo, bo to podobno się jego publiczności, libleftowemu mieszczaństwu.

Tomasz Lis napisał, że nie liczy na refleksję swoich krytyków. Można odbić piłeczkę i zapytać, czy środowiska lewicowe i liberalne – jest on ich częścią – zdają sobie

sprawę, że to dzięki rewolucji obyczajowej, której nowe fazy wciąż nam fundują, „seks stał się tak skomplikowany, że wiele osób wybiera celibat” (jak pisał w lutym 2020 r. na łamach „Newsweeka” Piotr Milewski). To pisma liberalnego mainstreamu takie jak „Newsweek” wmówiły ludziom, że w sferze seksualności można wszystko, a jednocześnie, gdy klimat rewolucji się odmienił, dały przestrzeń mechanizmom nowego „polowania na czarownicę”.

SIDŁA REWOLUCJI

Zostawmy jednak Tomasza Lisa – skoro wszystkim wybaczył – i spójrzmy, jak w sidła rewolucji seksualnej wpadali inni miłośnicy postępu. I znów – jedni wpadają, ponieważ dali się, tak czy inaczej, uwieść narracji o „otwartości” i przełamaniu tzw. tradycyjnych wartości. Inni zaś, ponieważ nie załapali się na nowy – purytański – etap rewolucji. Cóż, nie ma rewolucji bez ofiar, ale to przecież nie osobistego. Tak musi być.

Wiosną 2021 r. dość głośna była sprawa Marcina Kozaka, dziennikarza portalu OKO.press, doktoranta UW z wydziału Artes Liberales, który został oskarżony publicznie o wielokrotny gwałt na „swojej studentce” z użyciem środków odurzających. Cudzość podaje, ponieważ, jak się z czasem okazało, Kozaka i Darii Kondraciuk nie łączyła zależność akademicka. Sprawę nakręciła organizacja o nazwie Studencki Komitet Antyfaszystowski. W miejscu zamieszkania Kozaka pojawił się wymalowany czarnym sprayem napis: „Marcin Kozak gwałcił”. Cóż z tego, że w ciągu kolejnych miesięcy dziennikarz na założonej przez siebie stronie Callout.pl konsekwentnie podważał skierowane przeciw niemu zarzuty. Z powodu ideologicznego, a może po prostu cynicznego wykorzystania reguł, jakimi rządzi się seksualność po rewolucji obyczajowej, zapewne przez wiele lat będzie zmagał się z opinią gwałciiciela. Sprawy by jednak nie było, gdyby nie gotowość „osób dramatu” na – w gruncie rzeczy przypadkową – relację seksualną, która oczywiście wystąpiła.

„To kolejny raz, gdy część radykalnego środowiska lewicy tożsamościowej przejawia brak odpowiedzialności za słowa. [...] To samo środowisko oskarżyło dziennikarza Jakuba Dymka o przemoc seksualną, przedtem mu grożąc. Dymek wygrał z fałszywymi oskarżeniami. Ja – czekając na sprawiedliwość – piszę callout na callout” – pisał Kozak w oświadczeniu. Problem polega jednak na tym, że Kozak

– na co wskazywał upubliczniony sposób postępowania w sprawach intymnych – sam wykazywał się rewolucyjnym brakiem odpowiedzialności. Był po prostu częścią rewolucji, której dał się uwieść i która go, w swojej nowej fazie, pożarła.

Sprawie Jakuba Dymka także warto poświęcić kilka słów. Był już publicysta i dziennikarz „Krytyki Politycznej” został oskarżony w listopadzie 2017 r. w tekście opublikowanym na portalu Codziennik-Feministyczny.pl o „gwałt i molestowanie seksualne”. Tekst miał osiem autorek i dotyczył także pracownika „Gazety Wyborczej” Michała Wybieralskiego. Oskarżycielska akcja wyraźnie była inspirowana przez entuzjazm bezkrytycznej fazy akcji #MeToo. Po latach trzeba jednak powiedzieć, że dziś to „Codziennik” i jego autorki mają problem, przynajmniej wizerunkowy. Oskarżenia wobec Dymka oddalono, a jedna z autorek listu zdecydowała się go przeprosić. Dymek poniósł jednak bolesne konsekwencje zawodowe, pomimo tego, że – jak się zdaje – po prostu padł ofiarą ideologicznego wzmożenia. Znow jednak nie da się pominąć faktu, że przez lata współtworzył kolektyw „Krytyki Politycznej”, czyli sam był częścią – jak pisał Marcin Kozak – „radykalnego środowiska lewicy tożsamościowej”, idącego w forpoczcie rewolucyjnego szaleństwa.

Wspomniany Michał Wybieralski, który zareagował na oskarżenia inaczej niż Dymek – od razu przeprosił i odszedł z Agory – miał też moment gorzkiej, choć tylko częściowej refleksji: „To zniekształcona opowieść o relacjach wyłącznie towarzyskich. Nie ma we mnie zgody na to, by trwający publiczny osąd prywatnego życia przekreślił mój dorobek zawodowy. Publikacja wspomnianego listu zmieniła zasady debaty publicznej – uchyliła obyczaj wysłuchania głosu wszystkich stron przed zajęciem stanowiska, uniemożliwiła obronę i wyjaśnienia, a nawet dyskusję”.

Pomijając kwestię, że higieny moralnej życia towarzyskiego nigdy nie da się tak całkowicie oddzielić od innych sfer życia (to kolejne złudzenie wtłoczone nam przez rewolucję obyczajową), chętnie zapytałbym bohaterów tego tekstu, czy sami nie mają poczucia, że przyczynili się do zaistniałego chaosu. Czy rewolucja seksualna uczyniła świat w jakikolwiek sposób lepszym? Można mieć uzasadnione wątpliwości. Z pewnością jednak przyczyniła się do rozkładu całkowicie podstawowych międzyludzkich więzi zaufania.

Ponury rechoł rewolucji



Rafał A. Ziemkiewicz

Rewolucja seksualna miała wyzwolić ludzi z gorsetów moralności. Zamiast tego wpełchnęła ich w liczne problemy i dodatkowe ograniczenia

Miało być lekko, wesoło i przyjemnie. Nowocześni ludzie, wyzwoleni z religijnych przesądów, z wiktoriańskiej pruderii i – dzięki postępom farmakologii – uwolnieni od lęku przed niechcianą ciążą i chorobami wenerycznymi, mieli czerpać z seksu czystą, wyzwalającą radość, uprawiając go bez zahamowań i zobowiązań, li tylko ku wspólnej satysfakcji. Jednak jak wszystkie inne, tak rewolucja seksualna poszła nie tak. Zamiast wyzwolić z ograniczeń, narzuciła nowe, daleko cięższe. Seks stał się sprawą ponurą (nigdy w badaniach tak wielki odsetek nie deklarował braku zainteresowania i jakiegokolwiek aktywności), niebezpieczną i na dodatek został uspołeczniiony.

Ostatnim akordem „radosnej”, przynajmniej z pozoru, fazy rewolucji seksualnej były schyłkowe lata kariery Hugh’a Hefnera. Trudno powiedzieć, czy twórca „Playboya” miał szczęście uciec do grobu przed niechybną lawiną pozwów czy też jego sława była ostatnią zaporą dla tego typu rozliczeń. Faktem jest, że zaraz po niej wybuchła sprawa Harveya Weinstaina, potem „fotografa gwiazd” Richardsona, a potem fala oskarżeń #MeToo rozlała się szeroko i nabrała rozmiarów coraz bardziej absurdalnych – aż do jakiejś wariatki, która zdobyła swoje pięć minut sławy, robiąc awanturę, że podczas oficjalnej uroczystości sędziwy prezydent Bush senior, poruszający się na wózku inwalidzkim, miał ją jakoby „źle dotknąć” (w obecności swojej żony, dzieci, wnuków i kilkudziesięciu innych osób). O nastrojach ówczesnych wymownie świadczy to, że Bush musiał ją publicznie przeproszać.

Innym głośnym wypadkiem były oskarżenia postawione Bobowi Dylanowi przez starszkę twierdzącą, jakoby bez mała pół wieku temu uwięził ją w hotelowym pokoju i gwałcił przez tydzień. Na szczęście dla Dylana podała ona daty, kiedy to według twardych dowodów artysta był zupełnie gdzie indziej, i to w towarzystwie licznej ekipy. Tylko dzięki temu zdjęto z niego po kilku miesiącach zakaz wstępu do mediów i sprzedaży jego płyt. Mniej szczęścia miał Marilyn Manson, oskarżony przez kilka byłych kochanek o uprawianie z nimi perwersji w stylu „50 twarzy Greya”, tylko na ostro, co akurat – kto zna tego rockmana, ten wie – bardzo pasowało do jego wizerunkowej autokreacji.

Od samego początku fala #MeToo pobrzmiwała fałszem i absurdem. Z oskarżeniami występowały kobiety, które nie zostały zgwałcone ani zmuszone do seksu przez przełożonych czy też zastraszone – tylko po prostu porobiły kariery przez łóżko, i to wielkie kariery. W normalnej sytuacji ich rewelacje skwitowano by starą zasadą – „chcącemu nie dzieje się krzywda”. Przypominając sobie po latach początki swych karier, tłumaczyły mętnie: „Byłam młoda i nie umiałam się oprzeć”, „Czułam się przy nim jak sparaliżowana”...

Rzucanie oskarżeń, rujnujących ludzi z dnia na dzień, stało się modne i bezkarne – nawet stalkerka sędziego Kavanaugh’a, która zmuszona była przyznać, że wszystko zmyśliła, aby konserwatywnemu prawnikowi złamać karierę, nie poniosła żadnych konsekwencji. Ponosili je ci, którzy mieli śmiałość mówić o absurdzie sytuacji. Gdy jeden z członków legendarnej grupy Monty Python pozwolił sobie w wywiadzie na słowa: „Moim zdaniem #MeToo wymknęło się spod

kontroli”, londyński teatr zrzucił z afisza przygotowywaną przez niego premierę.

PORACHUNKI WŚRÓD LIBERAŁÓW I LEWICY

Akcja #MeToo nie tylko przeraziła pokolenie wychowane w „wesołych latach 70.”, lecz także pozwoliła na załatwienie wielu porachunków, co najciekawsze – głównie w środowiskach lewicowych i liberalnych.

Do najsławniejszych ofiar zarzutów o „zachowania przemocowe” (bo tak w niejasny sposób zdefiniowano zbrodnię, mającą polegać na „ofensywnym” tonie głosu lub „nieuzgodnionym” chwyteniu za ramię) należał Andrew Cuomo, gubernator Nowego Jorku i wschodząca gwiazda Partii Demokratycznej. Jego celująca w Białym Domu kariera legła w gruzach właściwie bez konkretnego powodu – wystarczyło, że oskarżyło go wiele byłych pracownic, choć żadnej nie zrobił niczego wykraczającego poza seksualne aluzje i zaloty utrzymane w granicach, które jeszcze kilkanaście lat temu uważano za przyzwoite.



FOT. AUDREY STUCK

#MeToo poważnie przetrzębiło też CNN i inne liberalne media. Podobnie zresztą w Polsce, gdzie zebrano żniwo w „Gazecie Wyborczej”, TVN, RASP i skrajnie lewicowych organizacjach. Oprócz tak znanych przypadków, opisywanych przez media, jak Kamil Durczok i Tomasz Lis, było wiele pomniejszych; niedawno np. sąd we Wrocławiu orzekł prawomocnie, że zarzuty molestowania, postawione przez grupę kobiet Wojciechowi Szymańskiemu, na podstawie których dwa lata temu usunięto go z miejscowego oddziału „Wyborczej”, były zupełnie bezpodstawne i miały charakter uknutej przeciwko niemu intrygi. Sam zainteresowany nie dożył tej satysfakcji, wkrótce po sprawie zapadł ciężko na zdrowiu, być może w związku z nią.

Oskarżenia często są absurdalne: lewicowemu pracownikowi naukowemu i działaczowi zarzuciła gwałt na obozie naukowym działaczka, która przez wiele miesięcy po tym obozie mieszkała z nim i była jego kochanką („Bo liczyłam, że odcię go przemocowych zachowań” – wyjaśniała), ale zawsze spotykają się z gorącym

wsparciem „organizacji kobiecych” i mediów. Fakt, że padają one niemal wyłącznie w środowiskach lewicowo-liberalnych, nie powinien dziwić: to tam właśnie najchętniej przyjmowano obyczajowe nowinki rewolucji seksualnej, oznaczające rozmontowanie tradycyjnego kodu kulturowego, który przez wieki regulował zachowania w kontaktach między płciami. Tam, gdzie ten kod się w większym stopniu zachował, nie ma aż takich powodów do przerażenia, że w każdej chwili ktoś (niekoniecznie kobieta, przecież rewolucja upowszechniła także na szeroką skalę zachowania homoseksualne) może sobie przypomnieć doznana przed laty „traumę”.

„TRANSPŁCIOWOŚĆ” JAK ANOREKSJA

Ale #MeToo było tylko krótkim akordem w symfonii szaleństwa, gdzie każde zachowanie może zostać bez poparcia niczym ogłoszone zachowaniem seksualnym i, jako takie, „przemocowym” – akordem dotyczącym jedynie pokolenia jej pionierów. Pokolenie najmłodsze, jak

pokazały badania, od seksu stroni i nie jest do niego zdolne, a jeśli próbuje – to coraz częściej w sposób bardzo wynaturzony. Edukacja seksualna wprowadzana w szkołach na coraz niższym poziomie nie zapobiegła patologiom. Liczba nastoletnich ciąż i aborcji narosła w ostatnich latach lawinowo, pojawiła się też, i to od razu na szeroką skalę, nienotowana nigdy wcześniej dziecięca przemoc seksualna. Już kilka lat temu cytowaliśmy szokujący raport Uniwersytetu w Leeds, ujawniający ogromną liczbę gwałtów dokonywanych w brytyjskich szkołach przez nastolatków na kilkulatkach. Raport przyjęto głuchym milczeniem, nowszych statystyk nie ma, ale trudno sądzić, by obniżenie progu seksualizacji dzieci do przedszkola i urządzanie im obowiązkowych prelekcji prowadzonych przez osoby cierpiące na różnego rodzaju zaburzenia seksualne mogłyby poprawić sytuację.

Autorka wstrząsającej książki „Irreversible Damage” („Nieodwracalna szkoda”, podtytuł: „Jak genderowe szaleństwo niszczy nasze dzieci”), Amerykanka Abigail Shrier, podaje mało popularne w mediach statystyki, zgodnie z którymi w ciągu zaledwie siedmiu lat liczba odnotowywanych w USA wypadków dysforii płciowej wzrosła o 1 tys. proc., a licząc tylko największe miasta – o 1,5 tys. proc. Nie jest to jednak prawdziwa dysforia płciowa, które to zaburzenie seksuologia zna od lat i dokładnie opisała. Nadmiarowe przypadki dotyczą niemal wyłącznie białych dziewcząt, które w istocie nie tyle chcą stać się chłopcami, ile nie chcą być kobietami. Polski badacz dr Andrzej Margasiński porównywał tę falę z niedawnymi falami anoreksji.

Bez wątpienia, tak jak anoreksja i bulimia, także fala „transpłciowości” jest wzbudzona przez przeseksualizowaną popkulturę, narzucającą młodym kobietom znacznie silniej niż wyklęty wiktoriańskim czy wyszydzone „średniowiecze” coś, co seksuologia nazywa „kompleksem k.... i świętej”. Upowszechnione przez rewolucję seksualną wzorce nieustającej seksualnej atrakcyjności i gotowości, które sprawiły, że np. uczennice ubierają się dziś w sposób, który 30 lat temu uznano by za zbyt wyzywający u zawodowych prostytutek, uzupełnione narzucanym przez media kobiecie kultem i wręcz obowiązkiem posiadania perfekcyjnego jako obiekt erotyczny ciała, a nawet kreowanie na autorytety



FOT. ADRIEN STOCK

Życia publicznego gwiazd porno, zde-
rzają się ze wzbudzoną przez feminizm
falą nowego purytanizmu, wyrażającego
się m.in. w szczególnym rodzaju nękania
w mediach społecznościowych: „bitch
shaming”. Seks, który w poprzednich
pokoleniach czał się gdzieś w tle dam-
sko-męskich kontaktów, przywoływany
aluzjami, całym kodem zalotów i kul-
turowych sygnałów przyzwolenia bądź
odrzućenia, nagle został postawiony
w centrum, stał się problemem wyma-
gającym natychmiastowego uzgodnienia
przed podjęciem jakiegokolwiek normal-
nej, międzyludzkiej interakcji – także
w kontaktach z osobami własnej płci.

Zarazem zaoferowała rewolucja sek-
sualna łatwą ucieczkę od tych proble-
mów, dzięki nobilitowaniu i podniesieniu
do rangi „normalnego” biznesu porno-
grafii. Tak jak pokolenie młodych kobiet
niszczą zaburzenia tożsamości płciowej
i ucieczka w „niebinarność” czy „gender
fluid”, tak młodych mężczyzn zniszczyła
łatwość dostępu od najmłodszych lat do
pornografii, która na umysł nastolatka
wpływa podobnie jak twarde narkotyki,
nawet po krótkim zażywaniu utrudniając
mu niezwykle albo wręcz uniemożli-
wiając dojrzewanie seksualne i podjęcie
współżycia, nie mówiąc już o nawiązy-
waniu związków uczuciowych.

TRENDY PORNOGRAFII

Badająca temat Gail Dines, autorka
wydanej także w Polsce książki „Por-
noland”, zaproponowała prosty sposób
ominięcia dyskursu pornograficznego
lobby i sekundujących mu obłych „au-
torytetów”, którzy popieranie pornoin-

dustrii uważają za przejaw oporu wobec
„katolickiego ciemnogrodu”. Zapropono-
wała, by zamiast słuchać pseudomądrych
wywodów, że „nie można zakazywać, bo
nie wiadomo, co jest pornografią, każde-
go może podniecać co innego”, po prostu
uznać, że pornografią jest to, czego szu-
kają i co kupują użytkownicy pornografii.
Zaproponowała więc metodę staty-
styczną, która pozwala łatwo zauważyć
rzeczywisty sens zjawiska. Od wielu lat
najpopularniejszym słowem kluczowym
w wyszukiwarkach serwisów porno jest
„stepmom” – macocha, a przytaczająca
większość ich zawartości to nieustannie
powtarzana fantazja nastoletniego użyt-
kownika o byciu uwiedzionym i obsłu-
żonym przez dojrzałą kobietę, macochę,
matkę kolegi lub nawet – coraz częściej
– po prostu przez matkę.

Drugim natomiast i rosnącym nurtem
pornografii jest „rough sex”, czyli fantazje
o brutalnym poniżaniu kobiet i coraz
dalej idącym znęcaniu się nad nimi.
Koncerny pornograficzne, obracające nie
mniejszymi kapitałami niż producenci
medykamentów blokujących dojrzewa-
nia seksualne i czerpiący zyski z „uzgad-
niania płci”, wydają sporo na przekazy
medialne osłaniające ich działalność jako
zupełnie bezpieczne i „konsensualne”
rozładowywanie normalnych fantazji,
w którym nie ma nic złego, bo przecież
zaangażowane w pornograficzne spek-
takle osoby zapewniają, że „lubią to”. Ob-
szerny reportaż spod takiej PR-owskiej
sztancy, wychwalający jeden z amerykań-
skich pornokoncernów, specjalizujący się
akurat właśnie we wtłaczaniu w maso-
wą wyobraźnię wzorców upokarzania

i znęcania się nad kobietą, znalazłem
kiedyś na stronie Krytyki Politycznej,
gdzie sąsiadował, jak gdyby nigdy nic,
z feministycznymi elaboratami o złym
patriarchacie poniżającym kobiety.

Pokolenie wirtualnych kazirodów
i kompulsywnych onanistów, wyrastają-
cych na realnych impotentów i, z czasem,
na nienawidzących kobiet i gardzących
nimi „inceli” (od „involuntary celibate”,
czyli z braku możliwości pozostających
w celibacie) opisane zostało w książce
guru amerykańskiej psychologii Phillipa
Zimbardo i jego współpracownicy Nikity
Coulombe „Man Disconnected” (po
polsku wydanej przez PWN jako „Gdzie ci
mężczyźni”). W części poświęconej skut-
kom powszechnego dostępu do szybko
ewoluującej ku skrajnym wynaturze-
niom pornografii, a także wychowywaniu
młodzieży w coraz większym stopniu
przez samotne matki, jest to najbardziej
oskarżycielski raport o skutkach „uwol-
nienia płciowości z gorsetu zacofania”,
jaki dotąd powstał. Można sobie wyobra-
zić, że kolejne badania przyniosą obraz
jeszcze bardziej szokujący. W pokole-
niach dotkniętych skutkami „seksualne-
go wyzwolenia” lawinowo, jak dowodzą
statystyki, narasta odsetek wszelkiego
rodzaju aberracji i zaburzeń psychicz-
nych, spośród których ofiar rekrutują się
najbardziej fanatyczni i szczerze niena-
widzący wszystkich, od siebie samych
począwszy, rewolucjoniści spod znaków
„wokeizmu”.

Do tych statystyk trzeba dodać jeszcze
jedną. Według dorocznych, najpoważ-
niejszych na świecie badań ludzkiej
seksualności prowadzonych od kilku
dziesięcioleci przez Uniwersytet Chi-
cagowski z roku na rok spada nie tylko
liczba osób aktywnych seksualnie. Spada
również liczba ludzi zadowolonych ze
swoich relacji i swojego pożycia intymne-
go. Obecnie zadowolenie takie deklaruje
o ponad połowę mniej badanych, niż
miało to miejsce 40 lat temu, w począt-
kach „wyzwolenia”.

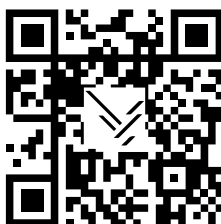
Pozostaje jednak pewna nadzieja –
w jednej grupie takiego spadku nie ma,
i to w tej właśnie, w której od samego
początku Chicago Survey odnotowują na-
ukowy najwyższy poziom zadowolenia
cierpanego z seksu: wśród wyznawców
ortodoksyjnych religii, zalecających mo-
nogamię i potępiających seks przed- i po-
zamałżeński, w tym szczególnie wśród
praktykujących katolików.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

68%

POLAKÓW POPIERA BUDOWĘ

CPK



Prostytucja nasza zwyczajna?



Dariusz Wieronieczny

Lewica chce legalizacji prostytucji. Legalne ma być także jej organizowanie czy zarabianie na niej. Kto naprawdę stoi za forsowaniem takich poglądów?

Zdumiewające dyskusje toczą się w środowiskach współczesnej lewicy. Rewolucja pożera tam własne dzieci, a ściślej biorąc – córki. Zanim jednak uzna się postępowe, do niedawna, koleżanki za faszystowskie służki i płatne funkcjonariuszki patriarchy, najpierw odczuwają się je kolejnym, ukutym na potrzeby konfliktu, zbitkiem liter. Najmodniejszym od kilku sezonów jest termin SWERF. Niewiele jest też grup kobiet otaczanych taką agresją na forach feministycznych jak SWERF-ki, czyli Sex Worker Exclusionary Radical Feminists (Wykluczające Pracowników Seksualnych Radykalne Feministki). Są to osoby uważające prostytucję i różne formy pracy seksualnej za zjawisko społecznie szkodliwe, uprzedmiotawiające kobiety i wyrządzające im krzywdę. Radykalnie innego zdania jest większość współczesnej lewicy. Domaga się ona powszechnej legalizacji prostytucji, a także wszelkich związanych z nią zjawisk polegających na organizacji, promocji i monetaryzacji pracy seksualnej.

W roku 2016 znana lewicowa organizacja Amnesty International wezwała do całkowitej dekryminalizacji handlu seksem, co oznacza nie tylko dekryminalizację działalności prostytutek, lecz także całego sektora, czyli również sutenerów i stręczycieli (alfonsów), właścicieli burdeli i samych klientów. Rezolucja Amnesty International stoi w całkowitej sprzeczności z licznymi aktami prawa międzynarodowego, w tym z konwencją Organizacji Narodów Zjednoczonych w sprawie zwalczania handlu ludźmi i eksploatacji prostytucji z roku 1949. Jak napisała o tej inicjatywie dr Magdalena Grzyb, kryminalistka z Uniwersytetu Jagiellońskiego, w artykule „Porozmawiajmy o prostytucji” opublikowanym w 346. numerze tygodnika internetowego „Kultura Liberalna”:

„Tak się składa, że wiele organizacji i podmiotów, tzw. aktywistów pracy seksualnej, postulujących potraktowanie prostytucji jak zwyczajnej pracy i tym samym zdjęcie z niej stygmatu, albo korzysta z darowizn ludzi zarabiających na handlu seksem, albo jest przez takich ludzi prowadzona. Na przykład w Irlandii za kampanią na rzecz legalizacji prostytucji stał milioner Peter McCormick, który dorobił się milionów na portalach anonsów erotycznych on-line i prowadzeniu sieci burdeli w Dublinie”.

Dyskusja na temat społecznej akceptacji prostytucji omijała do niedawna Polskę. Doktor Magdalena Grzyb, nazywana siebie „feministką wyklętą”, została ostro skrytykowana przez „liberalne” środowiska feministyczne, aktywiści studenccy

uniemożliwili jej nawet w ubiegłym roku wygłoszenie wykładu na Uniwersytecie Jagiellońskim. W porównaniu z losem SWERF-ek i TWERF-ek w świecie akademickim Zachodu potraktowano ją jednak stosunkowo łagodnie.

NADCIĄGA SEKSBIZNES

Poszczególne elementy debaty o zalegalizowaniu prostytucji pojawiały się w wypowiedziach „aktywistek” i produkcjach kultury masowej, jednak na otwarte postawienie tej sprawy w Polsce musieliśmy nieco poczekać. Było tylko kwestią czasu, kiedy „rehabilitacja” prostytucji zaproponowana zostanie w polskim dyskursie publicznym. Zbyt potężne są ośrodki promujące seksbiznes w zglobalizowanym świecie. Doktor Magdalena Grzyb przedstawia ich siłę następująco:

„Współczesna prostytucja to gigantyczny, dynamiczny biznes, wart szacunkowo ok. 187 mld dol. – drugi na świecie, zaraz po narkotykach, a przed ropą, sportem czy hazardem, z którego zyski czerpią przede wszystkim zorganizowane grupy przestępcze. To zorganizowany globalny system seksualnej eksploatacji i niewolnictwa, w którym pracuje prawie 40 mln ludzi, prawie wyłącznie kobiety i dzieci!”.

Najnowszym głosem w tym sporze jest książka Karoliny Rogaskiej „Bez wstydu. Sekspraca w Polsce”, wydana w roku 2022 nakładem Wydawnictwa Poznańskiego pod patronatem „Newsweeka” i „Dużego Formatu”, magazynu „Gazety Wyborczej”. Ciekawsze nawet, bo klarowniejsze od książki, są wywiady udzielone przez

Rogaską portalowi Onet.pl oraz „GW”. „Dla niektórych pracowników seksualnych ich zawód to esencja feminizmu – twierdzi autorka w jednym z nich. – Bo kobieta zarządza swoim ciałem, zarabia na mężczyznach i jeszcze ma z tego radość”. Aż strach pomyśleć, jak zareagowałyby feministki starej daty, walczące o prawa wyborcze i dostęp do edukacji dla kobiet, słysząc tak dosadne podsumowanie ich przekonań.

„Ta robota to nie jest sielanka, ale wiele dziewczyn podejmuje decyzję, by wejść w ten biznes, bo pozwala to uniknąć kieratu pracy po osiem albo więcej godzin dziennie, pięć dni w tygodniu”. Gdy najwyraźniej zapóźniony ideologicznie dziennikarz „Wyborczej” reaguje, słysząc te słowa: „Czyli jednak z lenistwa?”, spotyka go ze strony pani Karoliny zasłużona reprimenda: „Nie, po prostu dbają o siebie! Zobacz, jak łatwo wsadzamy ludzi w stereotypy. Zapominamy o tym, że każdy z nas ma inne możliwości”. Podobna połajanka spada na przeprowadzającego wywiad, gdy w kolejnym pytaniu sięga do ukutego w patriarchacie zwrotu „zarabiają na życie swoim ciałem”: „Znowu: zwróć uwagę na język, którego użyłeś. O twojej pracy nikt nie powie, że »zarabiasz rękami«. Nie musisz w ten sposób etykietować. W każdym zawodzie pracujesz ciałem”. Autorka, zadowolona z ciętej repliki, kontynuuje ten wątek, nazywając pracę seksualną „sprzedażą usług”, takich jak każde inne. Tu znowu przełamywać musi ideologiczne niewyrobinie rozmówcy. „To jednak jest inna usługa niż kserowanie. Seks jest dla większości z nas czynnością intymną, zarezerwowaną dla bliskiej osoby” – mówi dziennikarz. Ta odpowiada: „Mówisz o wyćinku rzeczywistości. Ponieważ w Polsce w ogóle mało rozmawiamy o seksie, to nie mówimy o tym, że są różne jego rodzaje. Nie zawsze seks będzie się wiązał z emocjonalnością, przywiązaniem, może się wiązać z czystą satysfakcją fizyczną. Mamy bardzo różne potrzeby, a model, o którym ty mówisz, czyli seks równa się bliskość, jest tylko jednym z modeli, do którego odruchowo porównujemy inne sytuacje. Dla ciebie seks to coś intymnego, inni lubią pobawić się w klubie dla swingersów. I jedno, i drugie jest OK”.

SELANKA W PORN

Przekonywanie czytelnika, że sprzedawanie ciała „jest OK”, to podstawowy wątek książki i udzielanych przez Karolinę Rogaską wywiadów. Czytelnicy dowiadują się, jak komfortowa i bezpieczna jest dziś

praca aktorów filmów pornograficznych: „Kiedyś na tych planach, jak mówił mi jeden z bohaterów, »trzeba było naru...ać, ile się da, jednego dnia, nie ma, że boli«. Teraz reżyser pilnuje, by aktorki i aktorzy czuli się dobrze i nie robili niczego, co wywołuje ból lub jest przekroczeniem granic”. Równie sielankowo przedstawiona jest atmosfera klubów swingerskich: „Szczere mówiąc, czułam się tam dużo bezpieczniej niż w większości zwykłych miejsc, gdzie dziewczyny muszą uważać, czy jakiś podejrzan typ nie dosypuje im tabletki gwałtu do drinka”. Być może jakieś problemy napotka dziennikarka, zatrudniając się jako tancerka w klubie go-go? „Magda (kierowniczka klubu) do dziewczyn zwraca się czasem per »słońce«, zdrabnia ich imiona. [...] Sama praca jest w porządku. Dawno nie czułam się tak pełna energii i pewna swojej kobiecości”.

Dopiero opisana niedawno w mediach historia relacji pracowniczych panujących do niedawna w redakcji „Newsweeka” pozwala mi zracjonalizować zachwyty byłej współpracowniczki tej redakcji nad „rodziną” i „bezpieczną” atmosferą panującą w opisywanych przez nią miejscach wykorzystywania seksualnego. Sytuacja poprawi się jeszcze, zdaniem autorki, po całkowitej dekryminalizacji branży. Niestety, nie potwierdzają tych ocen badania polskich naukowców. Doktor Magdalena Grzyb cytuje w swoim artykule badania terenowe innej kryminolożki z Uniwersytetu Jagiellońskiego, dr Barbary Błońskiej: „Polskie prostytutki badane przez Barbarę Błońską – w pierwszych od kilku dekad kryminologicznych badaniach prostytucji – również wykonujące zawód »dobrowolnie«, były przeciwne legalizacji. Okazuje się, że nawet »dobrowolne« prostytutki są narażone na przemoc i eksploatację. 95 proc. jest uzależnionych od alkoholu lub narkotyków, wiele ma problemy psychologiczne, w tym zespół stresu pourazowego, oraz boleśnie odczuwa stygmatyzację społeczną”.

„LEPSZY” JĘZYK

Współpracowniczka „Newsweeka” zdaje się być tych faktów najzupełniej nieświadoma. Dla niej największym problemem i źródłem nieustannej opresji jest wartościujący język, jakim opisujemy pracownice seksualne. Na szczęście jest na to rada: „Jeśli chcemy to zmienić, to musimy znaleźć lepszy język. »Prostytutka« stoi bardzo daleko od słowa »praca«, odziera z podmiotowości osoby pracujące seksual-

nie. Lepiej mówić »escortka«. Choć wiemy, że Polacy bronią się przed zmianą języka, nie lubią żeńskich końcówek, oburzają ich anglicyzmy”.

Konieczność zmiany języka używanego przez Polaków w opisach czynności seksualnych jest też oczywistością dla organizatorów festiwalu filmów postpornograficznych Post Pxrn, który odbywał się w czerwcu tego roku w warszawskim kinie Muranów. Jednym z organizatorów jest Roman Gutek, dystrybutor filmowy, kinier i organizator wrocławskiego festiwalu filmowego Era Nowe Horyzonty. Zaraz po stanie wojennym Gutek był kierownikiem działającego oficjalnie dyskusyjnego klubu filmowego Hybrydy, działaczem młodzieżowym i organizatorem pierwszych Warszawskich Tygodni Filmowych. Tam, gdzie Karolina Rogaska odwołuje się do ciepłych emocji i osobistych doświadczeń, organizatorzy Post Pxrn sięgają po język lewicowych manifestów politycznych. Oto opis tematyki festiwalu, zacerpnięty z jego strony internetowej: „Rozumiana jako interseksyjny ruch artystyczny postpornografia jest platformą służącą badaniu związków pomiędzy kulturą a opresją, szczególnie w kontekście cielesnej autonomii, biopolityki, przyjemności i tożsamości. Postpornografia skupia się na krytycznym podejściu do dominującego porządku społeczno-kulturowego, testując nowe narracje artystyczne filtrowane przez język współczesnej i etycznej pornografii rozumianej jako jedna z dziedzin sztuki wizualnej”.

Wśród licznych bloków filmowych wyświetlanych na postpornograficznym festiwalu był też jeden zatytułowany „Praca seksualna to praca”. Składał się on z kilkunastu filmów przedstawiających z sympatią i akceptacją rozmaite aktywności pracownic i pracowników seksualnych. Znowu zacytujmy stronę internetową festiwalu, otwarcie demonstrującą punkt widzenia i intencje jego organizatorów: „W tym bloku oddajemy głos osobom pracującym seksualnie i przedstawiamy wiele perspektyw i artystycznych punktów widzenia tego zjawiska. Do jakiego stopnia praca seksualna jest zakorzeniona w kulturze i na jakich polach okazuje się społecznie użyteczna? Jak bardzo inkluzywna są seksworkerskie praktyki i czy ich dekryminalizacja nie jest warunkiem rozwoju nowoczesnego społeczeństwa?”. W pewnym kontraście do deklarowanej nowoczesności stoją wprawdzie opisy poszczególnych filmów. Reżyserka jednego ■

■ z nich, amerykańka Sura Hertzberg, deklaruje: „Jesteśmy wnuczkami czarownic, których nie mogli spalić. [...] Ich duchy wciąż nas nawiedzają, błagając o wyzwolenie z koszmaru purytańskiego świata. Jak je uwolnimy?”. Pytanie jest oczywiście retoryczne. Wyzwoleniem z koszmaru jest zalegalizowana prostytucja, połączona z brakiem jakichkolwiek norm społecznych i religijnych. W takim świecie duchy czarownic wraz z ich późnymi wnuczkami zanegują „dominujący porządek społeczno-kulturowy”. Świetlana przyszłość otwiera się przed nami jak dawniej, a tylko czerwone sztandary zastąpione zostaną przez czerwone latarnie?

KINEMATOGRAFIA JAKO NARZĘDZIE

Jeśli sądzimy, że „wprowadzanie na salony” zjawiska prostytucji ogranicza się do liberalnych wydawnictw i wielkomiejskich festiwali filmowych, to jesteśmy w błędzie.

Od dawna zajmuje się tym nie tylko polska kinematografia. Tu także marsz postępu nie obywateli się bez gorących kontrowersji. Obudził je w ubiegłym roku film „Dziewczyny z Dubaju”. Wyprodukowany przez skandalizującą celebrytkę Dode, wydawać się wręcz może reklamą luksusowej prostytucji. Jest w nim oczywiście biedne, szare polskie miasteczko, z którego wyrwać się musi walcząca o zamożność i sukces dziewczyna. Właśnie pierwsza połowa filmu to niemal reklamówka płatnego seksu – ekskluzywne restauracje, jachty, słoneczne plaże i przystojni, rzucający pieniędzmi mężczyźni. Jedyne, czego obawiać się mogą szczęśliwe i szybko bogacące się dziewczęta, to potępienie ze strony nie-tolerancyjnych rodzin, sąsiadów, mężów i narzeczonych. Niestety, w końcówce filmu ten rajski wizerunek zepsuty zostanie przez arabskiego księcia, psychopata, gwałtującego brutalnie bohaterkę opowieści. Pojawia się też wątek nadużywanych przez dziewczęta narkotyków. Nawet tak skromna łyżka dziegiu w beczulce dubajskiego miodu skłoniła Sonię Nowak, „striptizerkę i aktywistkę związaną z kolektywem Sex Work Polska”, do potępienia filmu w wywiadzie udzielonym portalowi Onet.pl. „Najgorsze, że ludzie mogą postrzegać ten film jako zaangażowany, ukazujący prawdę o pracy seksualnej. A tak nie jest. Wyzysk, narkotyki, mobbing – to możemy znaleźć w każdym zawodzie. Dlaczego tylko o pracy seksualnej mówi się w kontekście tego, co może się w niej wydarzyć najgorszego?” – pyta Nowak. Oburzenie „liberal-

nych” aktywistek wywołały też niektóre wypowiedzi Dody, która w wywiadzie dla portalu kobieta.pl odważyła się stwierdzić, że „promowanie prostytucji pod hasłami feminizmu to jeden wielki bullshit”.

Rozterek ideowych nie miała raczej Małgorzata Szumowska, reżyserka filmu „Sponsoring”, który przemknął przez polskie ekrany w 2011 r. Polsko-francuska koprodukcja, z główną rolą Juliette Binoche, opowiadała o francuskiej dziennikarce, przygotowującej artykuł o prostytutkach się studentkach. Dwie rozmawiające z nią dziewczyny – Polka i Francuzka – różnią się od siebie jedynie poziomem entuzjazmu wobec wykonywanej profesji. Francuzka pracę seksualną lubi i ceni. O „zwykłej robotce w fast foodzie” opowiada ze wzdrganiem, cytując niemal słowa autorki „Bez wstydu” o „kieracie, po osiem godzin dziennie”. Ironicznie wspomina o swoim „uzależnieniu” od dużych i łatwych pieniędzy i jest to w logice filmu jedyne uzależnienie, z jakim musi się liczyć. Prostytucja to dla niej okazja do kolekcjonowania doświadczeń, odkrycia sekretów męskiej natury, szybszego dojrzewania do świadomej siebie i niezależnej (!) kobiecości. Nieco trudniej podąża tą ścieżką jej polska koleżanka, zapewne przez typowe dla naszej nacji zapóźnienie kulturowe. W końcu jednak i ona odnajduje się „w branży”, a rozmowy z obiema dziewczętami ubogacają nawet graną przez Binoche dziennikarkę, niespodziewanie ubarwiając jej letnie relacje z mężem.

O natłoku zachwalających prostytucję produkcji Netflix i HBO nie warto nawet wspominać. Odnoszę wrażenie, że właśnie teraz zaczyna się w Polsce kampania, mająca przekonać odbiorców mediów, że prostytucja jest czymś normalnym, a przede wszystkim – takim samym sposobem zarobkowania jak każdy inny. Głosi się to pod pozorem fałszywej wrażliwości, pozorując litość dla „stygmatyzowanych” pracowników seksualnych, cierpiących z powodu społecznego potępienia ich czynów.

ZWYKŁE OSZUSTWO

W rzeczywistości organizatorzy tej kampanii mają na celu upowszechnienie rozpusty, zdjęcie z niej jakiegokolwiek osądu, uczynienie pracy seksualnej równie neutralną etycznie jak internetowe randkowanie, a zakup usług seksualnych równie łatwym i nieangażującym osądu moralnego jak zakup jedzenia w aplikacji Uber Eats. Jest to oczywiste oszustwo, a zarazem przemysłowa strategia działa-

nia. Demaskuje ją dr Magdalena Grzyb: „Jak zauważa Lydia Cacho, meksykańska dziennikarka i autorka książki »Niewolnice władzy«, ostatnimi czasy grupy zajmujące się handlem kobietami unowocześniły swoje techniki działania. W niektórych krajach przejęły dyskurs uniwersytecki i części liberalnych feministek, według których »praca seksualna« jest formą wyzwolenia kobiecej seksualności. Więc już nie trzeba młodych kobiet porywać, terrorizować i szprycować narkotykami, wystarczy umiejętnie połączyć i wykorzystać elementy kultury maczystowskiej, ubierając ją tak, by wszystko wyglądało nowocześnie, elegancko i glamour”.

W takim to stylu „glamour” usiłuje pokazać prostytucję duża część opianowana przez lewicę mediów. Współbrzmiały z nimi aktywiści wzywają do dekryminalizacji tej sfery. Powołują się przy tym na przykład niektórych krajów Zachodu, takich jak Niemcy i Holandia. Nie dodają jednak, że nastąpił tam nie tylko szybki rozwój całego seksbiznesu, lecz także gwałtowne upowszechnienie się zjawiska handlu kobietami. Handlu, którego związki z pracą seksualną nie są dziś podkreślane w lukrowanych filmach, ale którego rzeczywistość stanowi hańbę dla całego naszego kontynentu. Kwitnie on zwłaszcza tam, gdzie władzę nad mediami i kulturą sprawują rzekomo wrażliwe na los kobiet środowiska lewicowe. Cytując ustalenia dr Magdaleny Grzyb: „W Hiszpanii na ok. 350 tys. kobiet parających się prostytucją aż 80 proc. to cudzoziemki bez prawa legalnego pobytu, głównie z Brazylii, Kolumbii, Nigerii, Rumunii i Rosji. Aż 90 proc. z nich to ofiary handlu ludźmi, wykorzystywane bez umiaru przez zorganizowane grupy przestępcze, pozbawione wszelkich praw, zastraszane i narażone na przemoc zarówno ze strony klientów, jak i »opiekunów«. Warto wiedzieć, że 60 proc. światowego handlu żywym towarem to handel w celach eksploatacji seksualnej, a 75 proc. wszystkich ofiar handlu ludźmi to kobiety i dziewczynki. Handel ludźmi to zjawisko immanentnie związane ze sprzedawaniem seksu za pieniądze”.

Pamiętajmy o tych cyfrach, gdy kolejna „aktywistka” lub reżyserka zacznie nas przekonywać o konieczności dekryminalizacji seksbiznesu. Rzeczywiście bezwzględnie nie są bowiem sprzedające się w tej branży osoby obojga płci. Wstydu zdają się nie mieć występujący w ich imieniu maklerzy ludzkich uczuć, pożądań i ciał.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FESTIWAL
BIEGOWY

9-11 WRZEŚNIA, PIWNICZNA-ZDRÓJ

3 DNI • PONAD 30 BIEGÓW • PONAD 300 km TRAS
PUŁA NAGRÓD 450 000 PLN • LOSOWANIE AUTA

WWW.FESTIWALBIEGOW.PL



PARTNERZY



Miasto i Gmina
Piwniczna-Zdrój



Gmina Ryto



Gmina Ryto



Tauron



Korall



Muszynianka



POWER
CANVAS

eprasa.pl 9738c0d8ed



**Ze Zbigniewem Ziobrą,
ministrem sprawiedliwości,
prokuratorem generalnym**
rozmawia Karol Gac

Unia zmienia się w upiorną karykaturę

KAROL GAC: Ministerstwo Sprawiedliwości przygotowało projekt noweli Kodeksu karnego, zakładający m.in. zaostrezenie kar za najcięższe przestępstwa. Uchwaloną przez Sejm nowelizacją zajmuje się obecnie Senat. Dotychczasowe kary były zbyt łagodne?

ZBIGNIEW ZIOBRO: Tak. W przypadku najcięższych przestępstw kary są zdecydowanie zbyt łagodne. Dotyczy to też szczególnie groźnych kategorii sprawców. Zwłaszcza członków struktur mafijnych, przestępców zawodowych, w tym multirecydywistów. Wobec nich wymierzane kary powinny być po pierwsze sprawiedliwe, odpowiadające złu wyrządzonemu przez sprawcę. Po drugie – winny odstraszać od popełnienia przestępstw. Po trzecie – możliwie długo izolować niepoprawnych kryminalistów. Tak, by nie mogli szybko wyjść na wolność i krzywdzić kolejnych osób. Reforma uderza w tych najgroźniejszych sprawców i najcięższe przestępstwa. Jednak opór środowisk i mediów lewicowo-liberalnych jest bardzo duży.

Skąd ten opór?

W pierwszej kolejności z naiwnego przekonania, że nawet najbardziej zdemoralizowanemu kryminaliście trzeba dawać szansę, nie patrząc na koszty ofiar i społeczeństwa. Następnie z fałszywego poglądu, że jakoby nie liczy się surowość kar, a jedynie nieuchronność. To absurd, bo liczy się i jedno, i drugie. W końcu mamy też do czynienia z cyniczną motywacją ludzi bardziej lub mniej uwikłanych w interesy świata przestępczego. I wreszcie, jeśli patrzeć na rekordy poparcia w zakładach karnych dla Platformy Obywatelskiej, może w tej łagodności dla przestępców jest też cyniczna rachuba, że to się niektórym politykom wyborczo po prostu opłaca.

Czytając przepisy, można odnieść wrażenie, że mamy do czynienia z kierunkiem podwyższania kar za różne przestępstwa. To odejście od kładzenia nacisku na resocjalizację sprawcy?

Szansę na resocjalizację powinni otrzymywać ci ludzie, którzy – choć weszli w konflikt z prawem – nie są jeszcze zdemoralizowani. Wyrachowani bandyci muszą zobaczyć siłę państwa. Muszą się bać. W 2002 r. – na polecenie ówczesnego ministra sprawiedliwości śp. prof. Lecha Kaczyńskiego – wraz z Bogdanem Święckowskim przygotowałem wytyczne dla prokuratorów. Zgodnie z życzeniem późniejszego Prezydenta RP, miały one zdecydowanie zaostreć politykę karną.

Sprowadzały się do tego, że pod groźbą odpowiedzialności służbowej nakazywały prokuratorom – każdorazowo w przypadku popełnienia ciężkich przestępstw oraz działania zorganizowanych grup przestępczych – występować z wnioskami o tymczasowe aresztowanie. Gdyby sądy aresztowania nie zastosowały, zawsze był obowiązek zaskarżenia takiej decyzji do wyższej instancji. Efekt? Kiedy Lech Kaczyński został ministrem sprawiedliwości, w polskich zakładach karnych było ok. 10 tys. wolnych miejsc. Po roku obowiązywania wytycznych w więzieniach trzeba było dostawiać nowe łóżka, bo

Jeśli patrzeć na rekordy poparcia w zakładach karnych dla Platformy Obywatelskiej, to może w tej łagodności dla przestępców jest też cyniczna rachuba, że to się niektórym politykom wyborczo po prostu opłaca

miejsz zabrakło. Jednak po raz pierwszy od 1989 r. został zatrzymany wzrost przestępczości. Jeszcze w 2000 r. wyniósł on 10 proc., a w 2001 r. był już zerowy. W kategoriach wielu najgroźniejszych przestępstw odnotowano spadek.

Czyli prosta zależność – przestępczość spada, gdy bandyci siedzą za kratami.

Są ludzie, którzy są przestępcami z nawyknienia. To ich sposób na życie. Jeśli się ich powstrzyma, to robi się bezpieczniej.

Czy to właśnie ten mechanizm sprawdził się przy zwalczaniu przestępstw VAT-owskich?

Dokładnie. W 2016 r. zagadnął mnie w Sejmie ówczesny minister finansów Paweł Szałamacha. Powiedział, że bez zmiany przepisów karnych służby Ministerstwa Finansów będą nadal bezradne wobec mafii VAT-owskiej. I rzeczywiście – w pierwszym roku naszych rządów, podobnie jak za czasów PO, olbrzymie pieniądze zamiast do budżetu płynęły do kieszeni przestępców. Przełom nastąpił dopiero w lutym 2017 r.

Co się zmieniło?

Powołałem w Prokuraturze Krajowej zespół doświadczonych prokuratorów

■ i funkcjonariuszy, by przygotowali nowelizację Kodeksu karnego. Przedstawili genialną w swej prostocie zmianę, która ułatwiała ściganie przestępstw VAT-owskich, a dodatkowo radykalnie zaostrzała ich karanie. Nie groziła już za to maksymalna kara do pięciu lat więzienia, ale do 25 lat.

W styczniu 2017 r. Sejm – przy sprzeciwie PO, PSL i lewicy – uchwalił przepisy, a już w lutym wpływy do budżetu państwa zwiększyły się dwukrotnie. Wcześniej oszustwa na VAT były opłacalne. Dziesięciu na dziesięciu sprawców dostawało kary w zawieszeniu. A przez zawiłe przepisy większość w ogóle nie stawiała przed sądem. Po zmianie wieloletni „urlop w celi” zajął przestępcę prosto w oczy. To zadziałało.

O tym, że bardziej opłacalna jest kradzież VAT niż produkcja narkotyków, mówił na jednym z nagrań Paweł Graś, ówczesny rzecznik rządu PO-PSL.

I rozkładając ręce, przyznawał, że nie ma pomysłu, co z tym zrobić. My ten pomysł znaleźliśmy. Proste prawo i surowe sankcje w połączeniu z determinacją prokuratury i organów ścigania dały efekt.

Czy nowy Kodeks karny to wyłącznie zaostrenie kar?

Nie. Zwiększamy kary dla największych zwyrodniałców, ale sprawcom rokującym poprawę dajemy szansę odbycia kary w warunkach dozoru elektronicznego. Dziś wielokrotny morderca skazany na dożywocie może starać się o warunkowe przedterminowe zwolnienie. My chcemy go tego prawa pozbawić. Za odrażające przestępstwo – gwałt ze szczególnym okrucieństwem – zbrodniarzowi grozi obecnie maksymalnie 15 lat więzienia. A będzie grozić 30 lat i sprawa nigdy się nie przedawni. Z drugiej strony chcemy rozwijać „więzienie elektroniczne”, w warunkach domowych, z tzw. obrączką elektroniczną. To dla tych niezdemoralizowanych sprawców lżejszych przestępstw. W tej dziedzinie możemy już pochwalić się dużym sukcesem. Mamy najlepiej w Europie rozwinięty system dozoru elektronicznego. W ostatnich latach prześcignęliśmy nawet Wielką Brytanię, która jest prekursorem tego systemu.

Nowelizacja spotkała się jednak z krytyką m.in. Stowarzyszenia Prokuratorów Lex Super Omnia oraz Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka. Jak pan odbiera takie głosy?

Te same środowiska, które dziś krytykują nowelizację kodeksu, w latach

90. domagały się amnestii i liberalnej polityki karnej. W rezultacie za sprawą takich lekkoduchów Polska stała się jednym z najbardziej niebezpiecznych krajów w Europie. Bandytów i psychopatów nie brakuje w żadnym społeczeństwie, ale jeśli panuje dla nich przyzwolenie, to lawinowo rośnie przestępczość.

Panie ministrze, rozmawialiśmy ostatnio niedługo po wybuchu wojny na Ukrainie. Mówił pan wówczas, że brak odblokowania KPO i pieniędzy unijnych to wspieranie Putina. Miesiące mijają, a pieniędzy jak nie było, tak nie ma. Choć KPO teoretycznie został zaakceptowany, to jednocześnie pojawiły się nowe żądania ze strony KE. Jak pan na to patrzy?

Z rosnącym niepokojem. Bieg wydarzeń potwierdził diagnozy Solidarnej Polski. Mówiliśmy, że Unia Europejska cynicznie rozgrywa tę sprawę, dążąc do osłabienia państwa polskiego. Krótkoterminowym celem jest obalenie demokratycznie wybranej przez Polaków władzy i wymiana na polityków, takich jak Donald Tusk, którzy będą lojalnie realizować

– można powiedzieć – robią swoje. I to mimo tak dramatycznych wydarzeń i problemów o skali globalnej jak wojna na Ukrainie. Wysiłki koncentrują wciąż na tym, aby skupić w swoich rękach jak największą władzę kosztem odzieranych z niezależności państw narodowych. Gdy padały obrzydliwe słowa o nadzorze, nikomu jeszcze nie przychodziło do głowy, że przejmowaniu tego nadzoru może służyć ekonomiczny szantaż wobec Polski. Dziś stało się to faktem.

Czy „kamienie milowe” to kolejny element szantażu?

Jak widzimy, w wykonaniu Komisji Europejskiej to nie kamienie milowe, tylko raczej kamienie u szyi. Prowadzą do odbierania Polsce prawa do decydowania o sobie w podstawowych politycznych i ekonomicznych kwestiach, takich jak podatki, polityka energetyczna, wymiar sprawiedliwości. Szefowa KE Ursula von der Leyen, stojąc w Warszawie obok polskiego premiera i prezydenta, wprost oznajmiła: „Najpierw kamienie milowe, potem pieniądze”. Dzień wcześniej zaś w Rotterdamie, żegnając odchodzącego ze stanowiska przewodniczącego Europejskiej Partii Ludowej Donalda Tuska, wyraziła przekonanie, że następnym razem, gdy zobaczy go w Polsce, to Tusk będzie premierem. Blokowanie więc pieniędzy przez Komisję kierowaną przez Niemkę von der Leyen służy właśnie temu celowi.

Czyli nie spodziewa się pan, że te pieniądze popłyną do Polski pod przywództwem Zjednoczonej Prawicy?

Przy utrzymaniu uległej polityki polskiego rządu, którą krytykuję, trudno być dobrej myśli. W 2020 r. ostrzegałem premiera Mateusza Morawieckiego, by nie zgadzał się na rozwiązania, które zwiększają kompetencje Komisji Europejskiej, bo nie zobaczy żadnych pieniędzy. Premier odpowiadał, że nawet jedno euro nie zostanie zablokowane. Zastanawiam się, jak się musi czuć pan prezydent, który pojechał do Brukseli i przedstawił tam własny projekt zmian w Sądzie Najwyższym zgodnie z życzeniami Unii. Potem z Mateuszem Morawieckim i Ursulą von der Leyen ogłaszał na konferencji w Warszawie, że doszło do porozumienia. A teraz dowiaduje się, że to za mało i są kolejne żądania. Ostrzegałem, że tak to się skończy, że polityka ustępstw będzie prowadzić do kolejnych

Premier odpowiadał, że nawet jedno euro nie zostanie zablokowane. Zastanawiam się, jak się musi czuć pan prezydent, który pojechał do Brukseli i przedstawił tam własny projekt zmian w Sądzie Najwyższym zgodnie z życzeniami Unii

interesy Brukseli i Berlina, a nie polskie. W konsekwencji chodzi o cel długoterminowy: przebudowę UE w jedno państwo pod – to cytuję – niemieckim nadzorem. Pamięta pan, kto to powiedział? Niemiecki komisarz UE Günther Oettinger. Gdy Zjednoczona Prawica przejmowała rząd, oświadczył wprost, że Polskę trzeba postawić pod nadzorem. Zareagowałem wtedy ostrym listem do niego, wskazując, że tego rodzaju słowa, zwłaszcza wypowiedziane przez niemieckiego polityka, budzą wśród Polaków jak najgorsze skojarzenia.

Mamy wojnę na Ukrainie. To nic nie zmieniło?

Mijają lata, zmieniają się unijni komisarze, a brukselscy i berlińscy politycy

upokorzeń Polski. Na domiar złego, ulegając Komisji, zamiast reformować sądownictwo, obserwujemy postępującą jego anarchizację.

W lipcu w Polsce gościła delegacja europosłów, którzy chcieli kontrolować korzystanie ze środków unijnych. Delegację interesowała reforma sądownictwa i zlikwidowana Izba Dyscyplinarna Sądu Najwyższego. Czy to nie dowód, że Bruksela wciąż piętrzy problemy?

Z całą pewnością. Zaczęło się od sądów, później były samorządowe uchwały w obronie rodziny, a także żądania w sprawie Izby Dyscyplinarnej. Teraz Trybunał Konstytucyjny, a wnet żądanie rozdzielenia urzędów ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego. To coś więcej niż naiwność, by nadal sądzić, że Brukseli chodzi o praworządność. Bruksela szuka tylko pretekstów. Dostaliśmy już nauczkę, idąc na ustępstwa. Problem w tym, czy zawrócimy z tej drogi. Jeśli ktoś idzie nocą przez park i dostaje bęcki, to źle trafił, ale jeśli idzie tam kolejny i kolejny raz, to sam się o te bęcki prosi. Pora zweryfikować naszą postawę wobec UE.

W połowie lipca Jarosław Kaczyński został zapytany o to, „co dalej z nowymi »kamieniami milowymi« wymyślonymi przez UE”. Prezes PiS wskazał, że nie mamy żadnych obowiązków, żeby słuchać UE w sprawie wymiaru sprawiedliwości, a Polska wykazała tutaj maksimum dobrej woli. Jak dodał: „Koniec tego dobrego”. Czy to oznacza nowe podejście rządu do relacji z Brukselą?

Cieszy mnie to stanowisko, bo to jedyne rozsądne podejście. Chciałbym się porozumieć z Unią, ale Unia nie chce się porozumieć z nami. Rzuca nam żyłkę na szyję i konsekwentnie ją zaciska. Dobrze, że Jarosław Kaczyński tak to widzi. Polityka jest brutalna. Berlin i Paryż pokazały swoje prawdziwe oblicze wobec wojny na Ukrainie. To bezwzględni cynicy, a do tego obłudni i zakłamani. Musimy im odpowiedzieć w ten sam sposób, uderzając w ich własne interesy. To najbardziej skuteczna strategia.

Na koniec zmierzmy temat i porozmawiajmy o palącym problemie, przed którym stoi obecnie Zjednoczona Prawica. Jeszcze niedawno politycy zapewniali, że węgla wystarczy nam na 200 lat, a tymczasem wygląda to tak, jakby rząd był pod ścianą. I to pomimo zapewnień sprzed kilku miesięcy, że węgla nie zabraknie, a Polacy mogą być spokojni. Z czego wynika ten problem?

Z szaleństw unijnego pakietu klimatyczno-energetycznego, którym – znowu

Nie wierzę w zmianę myślenia elit unijnych. One są tak zepsute, że nie należy się po nich spodziewać niczego dobrego. Musimy przewartościować naszą politykę wobec UE

przy sprzeciwie Solidarnej Polski – ulegliśmy i wynikających z tego błędów polegających na tym, że kolejne rządy likwidowały kopalnie. Nie inwestowaliśmy w węgiel, mimo że mamy go rzeczywiście pod dostatkiem – na 200 lat, a może i na dłużej. Z węglem kojarzy się głównie Dolny Śląsk, ale jego olbrzymie pokłady są także na Lubelszczyźnie. Tamtejszy węgiel jest jeszcze lepszej jakości i nie stwarza zagrożenia metanowego. Kiedy więc w lutym zeszłego roku Rada Ministrów decydowała o przyjęciu planu rozwoju polskiej energetyki, który zakłada realizację polityki zgodnej z żądaniami UE, czyli przejścia z węgla na gaz, ministrowie Solidarnej Polski głosowali przeciw. Oskarżano nas wówczas o wywoływanie konfliktów w rządzie. A chodziło nam wyłącznie o energetyczne bezpieczeństwo Polski i konkurencyjność naszej gospodarki. Nie trzeba było długo czekać, by bieg wydarzeń w stu procentach przyznał nam rację.

Sytuację da się naprawić? Najpierw widzieliśmy pomysł z ustaleniem ceny maksymalnej na węgiel, a teraz słyszymy o dodatku na węgiel w wysokości 3 tys. zł, co ma nas kosztować 11,5 mld zł. Tylko to przecież nie sprawi, że węgiel się pojawi albo będzie tańszy. Wręcz przeciwnie.

Węgiel niestety nie będzie tańszy, ale pytanie, czy uda się go dostarczyć Polakom, bo już widzimy problemy logistyczne. Jesteśmy w krytycznej sytuacji, a moglibyśmy zbijać ogromne pieniądze na węglu. Niestety, przyjęliśmy dyktat Niemców, którzy dogadali się z Rosjanami w sprawie gazu. To jeszcze jedna lekcja, aby nie akceptować wszystkiego, czego domaga się od nas UE. Japonia, jedna z najsilniejszych gospodarek świata, po katastrofie w elektrowni atomowej Fukushima postawiła właśnie na elektrownie węglowe. Jakoś nie stawia na wiatraki, choć ma wiatru pod dostatkiem. To powinno dać nam do myślenia. Ufam,

że rząd Zjednoczonej Prawicy wyciągnie odpowiednie wnioski i całkowicie odrzuci dyktat Brukseli i Berlina w sprawach energetycznych. Pakiet klimatyczno-energetyczny, zwłaszcza w aktualnych warunkach, jest zabójczy dla polskiej gospodarki i kieszeni milionów Polaków.

To chyba najpoważniejsze wyzwanie, przed którym stoi Zjednoczona Prawica od 2015 r.? Zwłaszcza że nakładają się na nie inne negatywne czynniki, jak choćby rekordowa inflacja. Mówi się o tym, że jesień i zima będą ciężkie.

Dlatego Zjednoczona Prawica powinna wyciągnąć wnioski z tego, co doprowadziło do takiej sytuacji. Skala trudności skłania Solidarną Polskę, by razem z PiS szukać rozwiązania. Myślimy również o konsekwencjach politycznych, jeśli nie uda się przeciwdziałać kryzysowi. Polska stoi przed fatalną alternatywą, którą jest usadowienie w fotelu premiera Donalda für Deutschland Tuska. Putin napadł zbrojnie na Ukrainę, a Polsce i całej UE wypowiedział wojnę energetyczną. Ta wojna już się toczy. To uzasadnia zawieszenie pakietu klimatycznego. W warunkach toczącej się wojny – tej militarnej prowadzonej za naszą granicą i tej energetycznej z naszym udziałem – należy nadać energetyce szczególnie status podporządkowany celom bezpieczeństwa państwa.

Wydaje się, że UE boleśnie przekonała się na sobie, jak błędną politykę energetyczną prowadziła. Zwolennik Zielonego Ładu Frans Timmermans twierdzi, że potrzebny jest powrót do paliw kopalnych, bo inaczej Europie grożą zamieszki. Niemcy, które forsowały Nord Stream 1 i 2, mówią o solidarności europejskiej. Sądzi pan, że ta lekcja przyniesie efekty, czy jest to wyłącznie przejściowe?

Nie wierzę w zmianę myślenia elit unijnych. One są tak zepsute, że nie należy się po nich spodziewać niczego dobrego. Musimy przewartościować naszą politykę wobec UE. Unia stopniowo zmienia się w upiorną karykaturę wspólnoty równych i niezależnych państw, do której wstępowaliśmy. Brońmy Unii jako wspólnoty współpracujących ze sobą suwerennych państw. Powinniśmy powiedzieć „dość” ingerencjom w nasze sprawy. Zjednoczona Prawica ze złych doświadczeń z UE powinna wyciągnąć dobre wnioski. Jeśli tak się stanie, to ufam, że jest jeszcze szansa na przełamanie złej passy i ochronę polskich interesów.

Nigdy żaden rząd nie uczynił tyle dla Polski, co my. Kto to ma opowiedzieć, jeśli nie my, jeśli nie partia. To my musimy to zrobić, dlatego ogłaszam mobilizację PiS i całej Zjednoczonej Prawicy. Ale to nie jest hasło, to jest objazd kraju, stara, wypróbowana metoda – tymi słowami zwrócił się do polityków PiS Jarosław Kaczyński podczas niedawnej partyjnej konwencji w podwarszawskich Markach. Dalej tłumaczył, że Polacy „powinni kontynuować wszystko, by ten rząd mógł kontynuować swoją misję”. – Ale to zależy także od nas, bo są fakty i opowieści – dodał. I właśnie z opowieściami „o tym, że wszystko źle”, serwowanymi, jak mówi prezes, przez część mediów, partia musi dziś walczyć. Jak? Rozmawiając z Polakami bez pośrednictwa dziennikarzy. Jarosław Kaczyński nie bez powodu stwierdził, że to „stara, wypróbowana metoda”. Wielokrotnie mówił o tym na przestrzeni lat zarówno na większych, jak i mniejszych spotkaniach ze współpracownikami. Nigdy nie ufał mediom i dziennikarzom, uważając, że zawsze były, są i będą prawicy nieprzychylnie. A skoro nie da się tego w prosty sposób zmienić, to należy spróbować to ominąć.

ZASKOCZENI NIEZADOWOLONYMI

Kaczyński, nie bez racji, jest przekonany, że to właśnie bezpośrednie spotkania z ludźmi i ogromna praca włożona w objazd po kraju przyczyniły się do podwójnej wygranej w 2015 r. Dlatego dziś, widząc piętrzące się przed PiS trudności – inflację, drożyznę, rosnące raty kredytów, wojnę na Ukrainie, przepychanki z Unią – uznał, że objazd kraju będzie najlepszym rozwiązaniem. Nie przewidział tylko, że oprócz rozmów z wyborcami i sympatykami PiS będzie musiał zmierzyć się także ze swoimi przeciwnikami, tymi realnymi, którzy na spotkania z nim przychodzą sami z siebie, a także tymi inspirowanymi, którzy będą jeździć za nim i celowo utrudniać kolejne spotkania. Wulgarne okrzyki, rzucanie jajkami w samochód preza i budowanie narracji, że spotkania z Kaczyńskim to ustawki, na które wejść mogą wybrani – widać, że opozycja tym razem przygotowała się do sabotażowania pomysłu PiS. Nic dziwnego zatem, że zawieszenie objazdu – bez względu na to, ilu polityków PiS ile razy powtórzy, że od początku tak miało być – uznała za swój sukces.

Koniec objazdu?



Kamila Baranowska

Jarosław Kaczyński zawiesza swój objazd po kraju. Czy był potrzebny i czy jest sens do niego wracać po wakacjach? Nad tym dziś zastanawiają się w PiS

– Uważam, że PiS ma poważny problem z tym, co dzieje się w trakcie tych wyjazdów. Prezes Kaczyński był przez miesiące zamknięty w „złotej klatce” zbudowanej przez premiera Morawieckiego i TVP. Zderzył się z rzeczywistością i falą gniewu na rządy PiS. Świat, o którym mówił ludzie przychodzący na te spotkania, ma się nijak do propagandy stworzonej przez PiS – mówił niedawno „Rzeczpospolitej” Marcin Kierwiński, sekretarz generalny PO.

W PiS zaprzestanie objazdu spowodowało z kolei dyskusję, co można i należy zrobić lepiej przy następnych wyjazdach. O ile do nich dojdzie. Sam Jarosław Kaczyński zapewnia, że tak. „Spotkań było tyle, ile zaplanowaliśmy, wszystkie udane, ważne. Po przerwie wakacyjnej będą kolejne, wchodzimy w okres szeroko rozumianej kampanii wyborczej. Opozycji i jej bojówkom nie uda się zniechęcić nas do rozmów i spotkań z Polakami” – tłumaczy

prezes PiS w rozmowie opublikowanej przez portal wPolityce.pl. – Wiem z doświadczenia, od początków mojej pracy w polityce, że organizowanie spotkań w sierpniu nie ma większego sensu. Frekwencja na nich spada, ludzie zaangażowani w życie publiczne chcą odpocząć. Dlatego tak to właśnie było zaplanowane. Po wakacjach do tych spotkań wrócimy. W całym tym szumie wokół tego chodzi o coś innego. Otóż na tych spotkaniach zdarzały się rzeczy kompromitujące naszych przeciwników. Nasyłane przez nich bojówki atakowały ludzi przychodzących i wychodzących ze spotkań, opluwały ich, obrażały [...]. Ujawnił się przestępczy i niesamowicie wulgarny charakter tych działań. Polacy to zobaczyli i to opozycję skompromitowało. Dlatego przystąpiła do tworzenia zasłony dymnej, próby przykrycia tego wstydu – uważa Kaczyński.

Niezależnie od oceny prezesa wielu ludzi w PiS uznało cały pomysł z objaz-

W PiS twierdzą, że Jarosław Kaczyński zrobił tylko przerwę w spotkaniach w terenie

FOT. RAFAŁ GAŚLEWSKI/REPORTER



dem za błąd – i wizerunkowy, i polityczny. – Jeśli się jedzie do ludzi, to trzeba mieć konkretny przekaz, mieć im coś do powiedzenia, tymczasem prezes jeździł i w każdym wystąpieniu dokonywał twórczej improwizacji na tematy wszelakie, w tym także takie, które od razu można obrócić przeciwko nam – zwraca uwagę jeden z naszych rozmówców. Tymczasem lider PiS nie pojechał z kolejnymi obietnicami, lecz raczej w obrobie dotychczasowych działań rządu i z ostrzeżeniem, że dojście opozycji do władzy zniweczy to, co PiS udało się osiągnąć – także, a może przede wszystkim w sferze społecznej.

Dużo miejsca Kaczyński poświęca też bezpieczeństwu kraju, zarysowując oś sporu, który prawdopodobnie będzie przez PiS eksploatowany w całej kampanii, czyli proniemiecki (a w domyśle – sprzyjający Putinowi) Tusk i Platforma kontra PiS, który w ocenie polityki

europejskiej (niemieckiej głównie) wobec Rosji miał od początku rację. Wbrew pozorom to, co budzi niechęć publicystów jako przerysowane i nieoddające rzeczywistości, podczas spotkań w terenie do ludzi trafia. Tutaj politycy PiS są zgodni, że prezes Kaczyński ma dobre wyczucie nastrojów we własnej partii i dzisiaj jest przekonany, że nawet jeśli jest marazm, to do wyborów uda mu się to doprowadzić do porządku. Poza tym z terenu płyną głosy, że owszem, wyborcy PiS są zniechęceni i często wkurzeni, ale to nie znaczy, że się od partii całkiem odwrócą i np. nie pójdą głosować. Do tego momentu PiS – w swoim przekonaniu i z tego, co pokazują wewnętrzne sondaże – jeszcze nie doszedł.

KTO STOI ZA OBJAZDEM?

Jak pisze portal Gazeta.pl, objazd prezesa to pomysł duetu PR-owców od lat obecnych na zapleczu PiS: Anny Plakwicz

i Piotra Matczuka. Plakwicz i Matczuk pracowali przy wielu kampaniach PiS, ale nie zawsze dobrze im się układało z innymi sztabowcami i nie zawsze ich pomysły zyskiwały aprobatę. Dziś znów są w łaskach kierownictwa partii.

Wśród naszych rozmówców są i tacy, którzy bronią pomysłu objazdu partii. Jak? Mówiąc, że było to konieczne posunięcie, bo każda komunikacja jest ważniejsza niż jej brak. A tymczasem PiS pozostawał w defensywie, w mediach pojawiały się głównie tematy dla rządzących niewygodne. Prezes swoimi wystąpieniami przekierowywał część uwagi na inne kwestie. Zwracał się też bezpośrednio do partyjnych działaczy, uzmysławiając im, jaka jest stawka przyszłych wyborów. To zresztą, jak słyszymy, stały element kampanii PiS. – Wiele miesięcy przed wyborami prezes zawsze dokonuje takiej inspekcji terenowej, żeby zobaczyć, jak to wygląda w terenie, a teraz wiele razy skarżył się, że czuje w partii marazm i trzeba coś z tym zrobić, pobudzić struktury, wejść w tryb kampanijny. Dlatego przebudował strukturę, wymienił ludzi i ruszył z objazdem – słyszymy.

Inna rzecz, na którą zwracają nam uwagę nasi rozmówcy, to to, że nikt w PiS nie odważyłby się powiedzieć prezesowi, że jego objazd powoduje jakieś kłopoty wizerunkowe i należy go przerwać. – To narracja opozycji – odpowiadają politycy partii rządzącej. Choć przynajmniej jednocześnie, że samo to, iż opozycja potrafiła się zorganizować, pokazuje, że ktoś tam się czegoś nauczył. – Gdyby nie te hałaśliwe grupy, pewnie nikt by nawet nie zauważył sierpniowej przerwy na urlop prezesa. A tak jest próba stworzenia przekonania, że PiS się przestraszył, wycofał i że coś poszło nie tak – mówi polityk PiS.

Do tego warto dołożyć jeszcze jeden aspekt. Kampania wyborcza zbliża się wielkimi krokami, a to oznacza, że zaczyna się także walka frakcyjna w partii o to, kto będzie decydował o kierunku i formie kampanii. Reakcje na to, co się dzieje w sprawie objazdu prezesa, są też na Nowogrodzkiej skrupulatnie odnotowywane także pod tym kątem. Dlatego nikt nie chce się wychylać w krytyce, a już na pewno nie pod nazwiskiem, choć każdy po cichu przyznaje, że jeśli kampania ma wyglądać – pod względem przygotowania, strategii i pomysłu – jak ów objazd, to tak się wyborów nie wygra.



Piotr Semka

Tradycyjnej historycznej świeckiej tradycji stało się zadość. Obóz Platformy oraz lewica po raz kolejny załamały ręce nad próbami przechwycenia tradycji Powstania Warszawskiego przez „nacionalistów”. Ale także według utrwalonej już tradycji lewica i liberałowie nie byli w stanie wymyślić nic ciekawego z okazji powstańczego święta

Przy okazji nastąpiła jednak ciekawa zamiana ról. To na marszu narodowców panowała rodzinna atmosfera i umiejętnie wyważano tam akcenty między pamięcią o ofiarach a optymistyczną wiarą w żywotność narodu dumnego z bohaterów 1944 r. A „dziesięciokrotnie mniej liczny, utożsamiany z opozycją Marsz Milczenia wpisywał się w tak wyśmiewaną przez lewicę martyrologię i „narodową zadumę”.

TALONY NA ŚWIĘTOWANIE?

Jeśli sądzić po ostrości reakcji obozu lewicowo-liberalnego, to Robert Bąkiewicz odniósł sukces. Paweł Kowal, poseł Koalicji Obywatelskiej, zjadliwie skrytykował Marsz Powstania Warszawskiego. Jak wskazywał: „Historycznie tylko część środowisk politycznych i wojskowych związanych z nacionalistami wsparła powstanie. Powstanie w żadnym razie nie było związane z siłami nacionalistycznymi w Polsce, tak samo później, gdy obchodzono już tylko pamięć o powstaniu. Dlatego działania pana Roberta Bąkiewicza w tej sprawie nie mają żadnego uzasadnienia”.

Kowal zaatakował organizatorów marszu, mówiąc: „Nikt nie powinien niczego na siłę narzucać w tym dniu, a szczególnie osoby o tak ostrych poglądach politycznych jak Bąkiewicz. Mamy już taką sytuację przy 11 listopada. To święto wyrwano narodowi dla jednej partii i jednego środowiska. Teraz próbuje się to zrobić z obchodami 1 sierpnia”.

Kowal dość sprawnie pominął fakt, że choć środowiska narodowe były na przełomie lipca i sierpnia krytyczne wobec

powstania, to po jego wybuchu żołnierze Narodowej Organizacji Wojskowej i Narodowych Sił Zbrojnych bez szemrania walczyli i ginęli w powstaniu z równą odwagą jak żołnierze Armii Krajowej. Kolejna kwestia: Czy demonstracja firmowana przez Bąkiewicza coś komuś narzucała? Na marsz przyszło dobrowolnie 30 tys. ludzi, w zdecydowanej większości niebędących działaczami organizacji narodowych. Po prostu odpowiadała im formuła takiego marszu.

Oburzenie demonstracją ogłosiła też Hanna Gronkiewicz-Waltz – polityk Platformy i była prezydent Warszawy. Postawiła ona tezę, że „rząd [PiS] panicznie boi się przegrać wybory, poparcie mu spada, więc wspiera skrajnych nacionalistów”. Jak dodała: „Obecne władze chcą wykorzystać powstańców warszawskich, uprzedmiotawiając ich, używając jako instrumentu

walki politycznej”. I ten sposób wyrażania niezadowolenia z przebiegu wydarzeń 1 sierpnia zwracał uwagę brakiem logiki. W jaki sposób demonstracja na półtora roku przed dniem wyborczym miałaby wpłynąć na sondaże?

Z marszem walczone też chwytami poniżej pasa. Zarówno portal OKO.press, jak i część innych mediów sprzyjających Platformie wyrwały z kontekstu wypowiedź Roberta Bąkiewicza, który w czasie przemówienia stwierdził, że „powstańcy nie walczyli z nazistami”. Liderowi marszu chodziło oczywiście o to, że bardzo często używa się enigmatycznego sformułowania, że uczestnicy warszawskiego zrywu walczyli z nazistami bez podawania, że byli to Niemcy. Tymczasem w wielu relacjach manipulowano tą wypowiedzią, sugerując, że Bąkiewicz zanegował nazistowski charakter wojsk Wehrmachtu czy SS.



FOT. BEATA ZAWADZKA/EST NEWS

Tę manipulację wykorzystał Roman Giertych, który na Twitterze nawiązał do wojennej służby swojego wuja w Kedywie Armii Krajowej i napisał: „A ty Bąkiewicz chamie wiesz co mój wujek z Kedywu zrobiłby tobie w 1944, gdyby usłyszał, że Polacy nie walczą z nazistami? e, egez, egezuka, no, powiem prościej: wałnąłby ci w łeb”.

Cała ta paleta nerwowych reakcji była tym bardziej zdumiewająca, że politycy Platformy i innych partii opozycyjnych nie palili się zbyt do pokazywania się na uroczystościach 1 sierpnia. Pytany o to, czy był na jakiejś uroczystości, Donald Tusk stwierdził, że nie chciał wysuwać się przed szereg i po prostu stanął o godz. 17 tak jak liczni inni warszawiacy. Internauci wątpili potem w szczerość tych deklaracji. Wskazywano, że w dobie telefonów komórkowych każde pojawienie się publiczne lidera Platformy kończyło się zwykle licznymi zdjęciami. Tymczasem nikt takiego zdjęcia w sieci nie znalazł.

Zwracała też uwagę nieobecność prezydenta Warszawy Rafała Trzaskowskiego na najwznieślijszej imprezie czczącej pamięć powstania, czyli na zorganizowanym przez Muzeum Powstania Warszawskiego wspólnym śpiewaniu piosenek powstańczych. Impreza zgromadziła ok. 30 tys. ludzi. Wspólne śpiewanie zaczęło się o godz. 20. Trzaskowski tłumaczył się, że o godz. 19.30 składał kwiaty przy wojskim pomniku Polegli Niepokonani. Nie wyjaśnił jednak, dlaczego nie pojawił się choćby ze spóźnieniem, tym bardziej że koncert trwał aż do godz. 22.

Wreszcie znamieną była też decyzja prezydenta Poznania Jacka Jaśkowiaka, aby nie uruchamiać syren w Godzinę „W”, gdyż, jak wyjaśniał, mogło to wzbudzić traumę u uchodźców z Ukrainy, którzy goszczą w stolicy Wielkopolski. Dlaczego Ukraińców nie można było poinformować o sensie syren i zaprosić ich do wspólnej celebracji – Jaśkowiak już nie wyjaśnił.

Alternatywą, choć połowiczną, dla Marszu Powstania Warszawskiego miał być Marsz Milczenia, zorganizowany pod patronatem Wandy Traczyk-Stawskiej, który zgromadził według OKO.press jedynie paręset osób. Jeżeli jednak uczestnicy Marszu Milczenia chcieli podkreślić, że jest to alternatywa dla upolitycznionego w opinii Wandy Traczyk-Stawskiej marszu Bąkiewicza, to dobór mówców wcale dystansu od polityki nie wykazywał. Głos zabrali były rzecznik praw obywatelskich

Adam Bodnar oraz Michał Wawrykiewicz z inicjatywy Wolne Sądy.

Istotny był też inny fakt. Opozycja nie potrafiła zdecydować się ani na liczne stawianie się na uroczystościach, którym patronował Rafał Trzaskowski, ani też nie odwiedziła marszu pod patronatem Wandy Traczyk-Stawskiej. A jednocześnie liczni politycy opozycji bili na alarm, że święto 1 sierpnia jest zawłaszczane przez prawicę i instrumentalnie wykorzystywane do bieżącej polityki.

SPLĄTANE KALKULACJE

Lewica i obóz liberalny od 1989 r. mają problem z rocznicą powstania. Kiedy dzień ten nie miał jeszcze charakteru dnia masowych demonstracji, dosyć chłodno traktowali samą tradycję powstania politycy związani z szeroko rozumianym obozem Unii. Nie było żadnych pochodów.

Politycy Unii Demokratycznej, potem Unii Wolności, wreszcie Platformy Obywatelskiej rządili Warszawą od 1990 r. do 2004 r. Przez 14 lat kolejni prezydenci Warszawy nie byli w stanie nawet zacząć budowy Muzeum Powstania Warszawskiego. Trzeba było wygranej Lecha Kaczyńskiego w wyścigu do stołecznego ratusza, aby w ekspresowym tempie, w półtora roku, mogło powstać muzeum oddające cześć żołnierzom powstania.

Także „Gazeta Wyborcza” w latach 90. i na początku XXI w. zachowywała wobec tradycji powstania wyraźny dystans. Najbardziej znanym przykładem demaskatorskiego stosunku do zrywu był słynny tekst Michała Cichego z 1994 r., sugerujący, że ważnym elementem powstania były antysemitkie polowania na Żydów. Całkiem niedawno, bo trzy lata temu, w 2019 r., na łamach lewicowego portalu Krytyka Polityczna Zofia Waślicka-Żmijewska wystąpiła w obronie tekstu Cichego, wyrażając zdziwienie, że wywołał on w czasie swej publikacji tak liczne głosy oburzenia.

Paradoksalnie do zmiany dość chłodnego stosunku do powstania ze strony obozu liberalnego przyczyniły się dwa elementy. Po pierwsze, na tle rozwijającego się kultu Żołnierzy Wyklętych pamięć o powstaniu uznano za mniejsze zło. Po drugie, sukces Muzeum Powstania Warszawskiego utrudnił sprowadzanie zrywu jedynie do nieprzemysłanej masakry ludu stolicy.

W tej sytuacji obóz Platformy zaczął lansować ludzi, którzy mieli za sobą ładną kartę powstańczą, ale jednocześnie wspierali aktywnie Platformę w ich aktualnych konfliktach politycznych. W tak

instrumentalny sposób wykorzystywano Władysława Bartoszewskiego, który angażował się z użyciem bardzo ostrych wypowiedzi w spory Platformy z PiS, ale gdy był za to krytykowany, był osłaniany tarczą swojej ładnej akowskiej biografii.

Tak samo Hanna Gronkiewicz-Waltz promowała gen. Zbigniewa Ścibora-Rylskiego, mimo poważnych przesłanek do oceny, że był tajnym współpracownikiem SB. Od paru lat rolę „naczelnego powstańca” Platforma wyznaczyła żołnierzowi powstania Wandzie Traczyk-Stawskiej. Ta dla odmiany chętnie wystąpiła na wiecach Platformy, gdzie zderzyła się z kontrdemonstracją Roberta Bąkiewicza. Wcześniej wsparła Strajk Kobiet.

Nawet nieuprzedzony wobec opozycji obserwator zauważa, że „platformerski” styl świętowania powstania jest zaskakująco sztywny i nie może liczyć na szersze wsparcie ze strony zwykłych warszawiaków. Oficjalne imprezy Rafała Trzaskowskiego i władz miasta zazwyczaj pozbawione są spontanicznych akcentów. Dopiero na tym tle Robert Bąkiewicz mógł powtórzyć sukces swoich demonstracji z 11 listopada i stworzyć Marsze Powstania Warszawskiego, które przyciągają dziesiątki tysięcy ludzi.

W miarę kolejnych lat demonstracje te są coraz lepiej organizowane i coraz rzadziej zdarzają się w ich trakcie incydenty, których Bąkiewicz musiałby się wstydzić. Dla PiS taka sytuacja jest dość wygodna, bo sam nie musi brać odpowiedzialności za marsze, a jednocześnie uroczystości te mobilizują elektorat konserwatywno-patriotyczny.

Masowość udziału warszawiaków we wspólnym śpiewaniu piosenek powstańczych zadaje z kolei kłam tezom, że młode pokolenie odwraca się od patriotyzmu. Na placu można było zauważyć wielu nastolatków i widać było, że bardzo dobrze przyjmowali imprezę zorganizowaną przez Muzeum Powstania Warszawskiego. Organizatorzy znaleźli bardzo dobry złoty środek między atmosferą hołdu dla bojowników walki a podkreśleniem młodego i niepokornego ducha, który bił z powstańczych pieśni. Ten transmitowany przez TVP koncert pokazał, że w walce o duszę młodego pokolenia trudno jeszcze o jednoznaczne rozstrzygnięcie.

Pierwszy dzień sierpnia kolejny raz stał się dniem zderzenia dwóch różnych wrażliwości i zwolennicy patriotyzmu wcale nie wyglądali w tym dniu na skazanych na porażkę.



Łukasz Zboralski

Minister sportu chce ukrócić lewe zwolnienia z WF wśród polskich dzieci, które tyją najszybciej w Europie. Tylko czy tu nie powinien zadziałać też inny minister – ten od edukacji?

Mówienie o otyłości to dziś szalenie trudna sprawa. Po pierwsze, rzeczywiście trzeba podchodzić do tematu z delikatnością, by nie pogłębiać trosk tych, którzy borykają się z nadmiarem ciała przez to, że chorują. Po drugie, bo od lat próbuje się dyskutować o tym, także w Polsce, przekierować na nowe, zwariowane tory – próbuje się nam wmawiać, że to, co złe i doprowadza do chorób i przedwczesnej śmierci, jest w gruncie rzeczy „tak samo dobre”. Borykamy się z wysypem „ciałopozytywnych” modelek, instagramerek i innych influencerek. To się oczywiście świetnie sprzedaje, bo przecież zaniedbać się jest wygodniej niż pracować nad zdrowszym trybem życia. Zatem ludzie w sieci i w mediach chętniej posłuchają tych, którzy wmawiają im, że nic nie muszą robić, bo można mieć nadwagę i jest to dobre.

Fakty są jednak zatrważające. Każdy, kto w te wakacje rozejrzy się na basenach i plażach, dostrzeże masę dzieci z fałdkami tłuszczu, objadających się przy tym chipsami i popijających gazowane, słodzone napoje. Jest ich coraz więcej.

Już parę lat temu polscy lekarze bili na alarm w tej sprawie. „Według statystyk publikowanych w ciągu ostatnich kilku lat Polska jest liderem w tej dziedzinie. Otyłość wśród polskich dzieci i nastolatków rośnie najszybciej w Europie” – ostrzegali prof. dr hab. n. med. Paweł Bogdański, kierownik Katedry Leczenia Otyłości, Zaburzeń Metabolicznych i Dietetyki Klinicznej Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu, organizator ówczesnej kampanii „Porozmawiajmy szczerze o otyłości”.

TYJĄ NA POTĘGĘ

Tymczasem nic się nie zmieniło (bo od apeli i kampanii edukacyjnych nie zmieniają się postawy ludzi), a trend tyjących dzieci w pandemii się wzmoc-

Dzieci W ruch



FOT. ADAM STOK

nił. Dowodzą tego m.in. badania Fundacji MedicoVer. W ramach programu „Jedź z głową” realizowanego w Lublinie przebadano tam dzieci. Nadwagę i otyłość miało 24,3 proc. dziewczynek i 29 proc. chłopców. We wcześniejszych badaniach tej fundacji (przeprowadzonych w ramach programu „ProZdro!” w latach 2013–2020 i obejmujących 19 634 dzieci w wieku 12–14 lat) te odsetki były mniejsze i wynosiły: 18,6 proc. dziewczynek z nadwagą lub otyłością i 24,7 proc. chłopców.

Masa ciała i za wysoki wskaźnik BMI (Body Mass Index oblicza się, dzieląc masę w kilogramach przez wzrost w metrach podniesiony do kwadratu) to tylko wizualne oznaki problemu. Są i głębsze. W badaniach programu „PoZdro!” sprawdzono też, że 41,7 proc. chłopców i 35,4 proc. dziewcząt ma słabą i bardzo słabą wydolność fizyczną.

W tym roku polski NFZ, powołując się na dane WHO, wskazał, że polskie dzieci są tymi, które tyją najszybciej w Europie. „Problem nadmiernej masy ciała dotyczy 10 proc. małych dzieci (1–3 lata), 30 proc. dzieci w wieku wczesnoszkolnym i 22 proc. młodzieży do 15. roku życia” – podał Narodowy Fundusz Zdrowia. I wskazał, że prawdopodobieństwo tego, iż otyły przedszkolak będzie otyłym dorosłym, jest czterokrotnie wyższe niż u rówieśników o odpowiedniej masie ciała. A otyli dorośli to już wykwit problemów zdrowotnych – od cukrzycy do chorób układu krążenia i przedwczesnych zgonów.

CO Z TYMI ZWOLNIENIAMI?

Do problemów z otyłością polskich dzieci dodajmy inną, równie zatrważającą informację – aż 30 proc. dzieci i młodzieży nie uczęszcza na lekcje wychowania fizycznego. Co trzecie nigdy nie ćwiczy! Dodajmy do tego, że 75 proc. uczniów regularnie opuszcza zajęcia na podstawie zwolnień wypisywanych przez samych rodziców.

Z zadowoleniem można więc przyjąć niedawną deklarację ministra sportu, że systemowo chce ukrócić unikanie zajęć fizycznych w szkołach. Zdaniem Kamila Bortniczuka problemem jest nadmiar fikcyjnych zwolnień z WF wystawianych przez lekarzy rodzinnych.

– Te statystyki zostaną radykalnie zmniejszone – powiedział Bortniczuk w rozmowie w RMF FM 18 lipca. Jak? – Tak zwane zwolnienia z lekcji WF,

semestralne czy dłuższe, będą respektowane tylko wówczas, kiedy wystawi je lekarz specjalista, a nie tak jak dotychczas po prostu lekarz rodzinny – wyjaśnił minister.

Taką wypowiedzią szef resortu sportu od razu rozjuszył lekarzy. Ich przedstawiciele zarzucili mu natychmiast, że lekarz rodzinny to też lekarz specjalista. „Pomysł nic nie poprawi – ewentualnie zwiększy liczbę wizyt w prywatnych gabinetach lekarskich” – napisała na Twitterze prof. Agnieszka Mastalerz-Migas, konsultant krajowa lekarzy rodzinnych. Tak jakby przyznawała, że w zasadzie mamy do czynienia z fikcją, tylko kto inny będzie ją teraz poświadczal. To rozbrajająca szczerość.

**Z badań wynika,
że 41,7 proc. chłopców
i 35,4 proc. dziewczynek
ma słabą lub bardzo słabą
wydolność fizyczną**

Pojawiły się jednak ze strony lekarzy także obawy sensowne: „Aby rozwiązać jedną patologię, zrobimy drugą: zapchamy do końca poradnie typu ortopedycznego czy medycyny sportowej (nie od zwolnień ona jest). Ktoś z MZ to konsultował?” – zapytał publicznie w sieci Jakub Kosikowski, onkolog, członek Lubelskiej i Naczelnej Izby Lekarskiej.

Lekarze zauważyli też to, co eksperci od edukacji i systemu oświaty widzą od dawna – dzieci nie tylko z lenistwa nie chcą chodzić na zajęcia wychowania fizycznego. Bardzo często są to zajęcia nudne, które wręcz zniechęcają do sportu. Dlaczego w polskich szkołach wuefista często rzuca dzieciom piłkę i każe im samym grać? Dlaczego często zamęcza ich nużącymi ćwiczeniami, zamiast pokazywać im wiele różnych dyscyplin i zajęć? Tu odpowiedzią nie jest już – jak jeszcze 30–40 lat temu – uboga baza sportowa, brak zaplecza. Polskie szkoły mają już sale gimnastyczne, a po programach „Orlik” – choćby doskonale przygotowane zewnętrzne boiska na świeżym powietrzu.

Problem tkwi więc w samych wuefistach. A głębiej – w nienormalnym systemie zarządzania polskimi szkołami. Jeśli WF nie jest na egzaminach końcowych

z podstawówki, to dyrektora średnio on obchodzi. Nauczyciel WF zaś, tak samo jak każdy inny, nie musi się w swojej pracy starać, ponieważ polski system wynagradzania pedagogów zależy wyłącznie od zasiedzenia. Podwyżki dostaje się systemowo, co parę lat. A do zawodu wciąż rzadko trafiają ludzie wybitni i nawet średnio dobrzy. Kto zacznie w Polsce pracę od 2,5 tys. zł na rękę z perspektywą podwyżki rozłożonej na wiele lat?

A wadliwie prowadzone zajęcia mogą dla niektórych dzieci przerodzić się w psychiczny koszmar. Wydaje się, że wielu nauczycieli WF nie przeskoczyło jeszcze mentalnie pewnej edukacyjnej zmiany – nie zrozumiało, że akurat w sporcie predyspozycje fizyczne są pewnym ograniczeniem i należy oceniać dziecko przez pryzmat jego zaangażowania i osiągania wyników na swoją miarę. Tymczasem ktoś mniej sprawny często nie ma szansy na piątkę. Choćby bił własne życiowe rekordy w bieganii czy skoku w dal. Stąd prosta droga do zniechęcenia. A w poważniejszym stadium – do stresu i kompleksów.

To wszystko zresztą od lat wskazuje Najwyższa Izba Kontroli (która świetnie diagnozuje stan różnych obszarów państwa, ale wszystkie rządy nauczyły się nie wprowadzać w życie jej zaleceń pokontrolnych). W latach 2010 i w 2013 inspektorzy NIK negatywnie oceniali poziom zajęć wychowania fizycznego w szkołach. „W konsekwencji wciąż spada zainteresowanie uczniów sportową edukacją. W latach szkolnych 2009/2010–2011/2012 absencja uczniów na lekcjach WF wynosiła: 10 proc. w szkołach podstawowych, 13 proc. w gimnazjach i 17 proc. w szkołach ponadgimnazjalnych” – pisali. Nikt ich jednak nie słuchał.

Minister sportu dotknął więc ważnego problemu, ale on rzeczywiście nie zniknie tylko dlatego, że wyeliminuje się nieuczciwość lekarzy. Trzeba zmienić polski system edukacyjny, bo nawet wychowania fizycznego nie będzie w nim na dobrym poziomie.

Kamil Bortniczuk powinien więc jak najszybciej usiąść do stołu z szefem MEiN Przemysławem Czarneckim. Tym bardziej że ambicje ma większe niż tylko zwiększenie odsetka uczniów uczestniczących w zajęciach WF. Chce też zmusić wuefistów do przeprowadzania testów, które w szkołach wyławiać będą sportowe talenty wśród dzieci.



Wiesław Chetminiak

Czy giganci popkultury znaleźli sposób na nieśmiertelność?

Na renesans popularności szwedzkiego kwartetu złożyło się kilka przyczyn. Tęsknota za „beztroską” epoką koegzystencji demokratycznego Zachodu i komunistycznego Wschodu, mizéria współczesnych list przebojów, moda na estetykę kiczu, wpływ środowisk LGBT, które zakochały się w piosenkach autorstwa heteroseksualnych Skandynawów – to tylko niektóre z nich. Musical „Mamma Mia”, grany w Londynie od 1999 r., obejrzało już 65 mln ludzi. Jego ekranizacje zainfekowały melodiami zespołu ABBA kolejne generacje.

Wisienką na torcie miała być reaktywacja grupy. Szwedzi odmawiali jednak powrotu na scenę, nawet gdy oferowano im okrągły miliard dolarów. Kiedy fani pogodzili się z tym, że ulubieńców nigdy w akcji nie zobaczą, w sukurs przyszła technologia. Jesienią ubiegłego roku na rynek trafił „Voyage” – pierwszy od czterech dekad album z nowymi kompozycjami. Jego zawartość głowy nie urywa, lecz przy okazji zespół zapowiedział serię koncertów (a raczej multimedialnych widowisk) na Stadionie Olimpijskim w Londynie. Podeszłych wiekiem bohaterów zastąpiły wiecznie młode awatary, które przy akompaniamencie żywych muzyków „wykonują” 21 piosenek. Na premierowy recital pofatygowała się szwedzka rodzina królewska, o stadzie celebrytów nie wspominając. Od powodzenia kosztownego przedsięwzięcia zależy przyszłość show-biznesu. Jeśli się uda, to publiczność ani chybi zacznie zabawiać cyfrowe sobowtóry Presleya, Beatlesów i Karela Gotta.

DRUGIE WATERLOO

Świat dowiedział się o istnieniu zespołu ABBA 6 kwietnia 1974 r., gdy w brawurowym stylu wygrała konkurs muzyczny Eurowizji w Brighton. Zespół istniał już wtedy od kilkunastu miesięcy, jako poboczny projekt kompozytorskiego duetu Björn Ulvaeus/Benny Andersson, w którym udzielały się ówczesne partnerki muzyków: Agnetha Fältskog i Anni-Frid Lyngstad. Czteroliterowy kryptonim początkowo był żartem, ponieważ tak samo



Pół wieku z zespołem ABBA

nazywa się największa w Szwecji firma przetwórstwa rybnego. Gazeta z Göteborga zaapelowała do czytelników, by wymyślili coś lepszego, im jednak też brakowało inwencji. Muzycy wciąż się wahali, więc zniecierpliwiony menedżer zdecydował za nich. Płyty formacji „Björn & Benny, Agnetha & Anni-Frid” wznowiono pod nowym szyldem: ABBA. Stig Anderson wspominał później, że jego podopieczni nie byli zachwyceni, narzekając, że ów skrót „pachnie konserwą rybną”.

Interaktywne muzeum zespołu ABBA w Sztokholmie otworzyło podwoje w 2013 r. Późno, zważywszy na to, że zawrotna kariera grupy była ukoronowaniem sukcesu Szwecji. Kraj, który przez

większą część swej historii kojarzył się z eksportem przemocy, drewna i rudy żelaza, w XX w. stał się wzorem dla Europy. Cudzoziemcom imponowały państwo opiekuńcze i neutralne, skandynawska prostota, solidność oraz brak pruderii. Gdy Andersson i Ulvaeus, o kilka lat młodszy od Lennona i McCartneya, stawiali pierwsze kroki w show-biznesie, ich ojczyzna była modna. W świecie ceniono jednak szwedzką literaturę i kino, ale nie muzykę pop.

Ludowe brzmienia tudzież podróbki brytyjskich i amerykańskich hitów królowały na festynach, organizowanych ku ucieście mieszkańców Uppsali czy Kristianstad. Benny i Björn mieli jednak większe ambicje niż liderowanie kape-



Magdaleny w szwedzkiej wersji musicalu „Jesus Christ Superstar”. Frida przeżywała zaś huśtawkę nastrojów, kusiło ją, by się przebrzmować i zostać projektantką mody. Utwór „Ring, Ring” porywał do tańca, lecz jurorzy utracili go na etapie krajowych eliminacji. Na szczęście ABBA nie odpuściła i na kolejną edycję przygotowała piosenkę z jeszcze większym wykopem – „Waterloo”.

Ciąg dalszy dobrze znamy. Siłą i znakiem firmowym kwartetu stały się żeńskie harmonie wokalne. Björn i Benny wycofali się na drugi plan. Nagroda za skromność przeszła ich wyobrażenia: na 10 lat przełamali dominację Anglosasów na światowym rynku muzycznym. Nikomu więcej się to nie udało. ABBA jest dziś marką, dumą i symbolem Szwecji, tak jak filmy Bergmana, Muminki, meble z IKEA, samochody Volvo czy Nagroda Nobla.

POWRÓT DO PRZESZŁOŚCI

Muzeum mieści się na wyspie Djurgården w dość niepozornym budynku, a ściślej rzecz biorąc – w jego piwnicach. Dach ozdobiło modelami ekstrawaganckich butów, w których zespół wystąpił w Brighton. Konkurencja jest silna: Djurgården słynie z wesołego miasteczka tudzież odrestaurowanego wraku okrętu „Vasa”. Muzycy z początku byli przeciwni idei muzeum, potem jednak zmienili zdanie i hojnie oddawali placówkę prywatnymi pamiątkami. Zwiedzający wchodzi i wychodzi przez dobrze zaopatrzone sklepienie. Wita ich neon „Walk In, Dance Out”. Muzyka zespołu ABBA jest wszechobecna, więc niektórzy zaczynają nucić i podrygiwać już w kolejce do kasy. Rozczaruję złośliwców sądzących, że wejściówki (dość drogie) kupują głównie przedstawiciele generacji 60+. Do muzeum, jak niegdyś na koncerty kwartetu, przychodzi się całymi rodzinami.

Wśród eksponatów dominują memorabilia, małe i duże. Gwiazdzysta gitara Björna chyba trafiła do konserwacji, ale można pocieszyć się dziecięcym akordeonem Benny’ego, mikrofonem Fridy czy słuchawkami Agnethy. Fanowskie albumy z wycinkami z gazet, oldskulowe gadżety: szafa grająca, teleks i stacjonarne telefony z tarczą potwierdzającą, że ABBA przynależy do minionej epoki, jej zmartwychwstanie zaś graniczy z cudem.

ABBAKADABRA

Sercem muzeum jest sala z kostiumami zespołu, jakże dalekimi od szwedzkiej prostoty. Zgodnie z regułami show-biznesu muzycy muszą rzucić się w oczy.

lom, znanym tylko nordykom. Angielskich tekstów, układanych ze słownikiem w rękę, wstydzą się do dzisiaj. Lepiej szło im komponowanie. Napisali nawet muzykę do filmu soft porno. Nieoczekiwanie wyjęty z niego utwór „She’s My Kind of Girl” stał się przebojem w Japonii. Zachęcen tym powodzeniem panowie nagrali album, który potwierdził, że mają talent do tworzenia chwytliwych melodii, lecz wokalnie są co najwyżej przeciętni.

Pomysł, by zrobić coś razem z dziewczynami, rodził się w bólach. Kabaretowy show „Festfolk”, czyli tournée po hotelach i restauracjach, gdzie w czwórkę śpiewali i opowiadali dowcipy do kotleta, zrobił klapę.

Benny produkował piosenki dla Fridy, a Björn dla Agnethy. Dopiero po kilkunastu miesiącach weszli do studia wspólnie, by zarejestrować dwa utwory, w których słycać było na przemian męskie i żeńskie głosy. Piosenka „People Need Love” zawojowała skandynawskie listy przebojów po części dlatego, że pokazała ją telewizja (co było wówczas najsukuteczniejszą formą promocji).

Według tej samej logiki konkurs Eurowizji, transmitowany do wielu krajów, mógł pomóc w zawojowaniu rynków zagranicznych. Panowie zapalili się do owej idei, panie były bardziej sceptyczne. Agnetha, która nagrała już cztery solowe albumy, większe nadzieje wiązała z rolą Marii

FOTO: JAW NISTAR/GETTY IMAGES

■ Stąd wzięły się nabijane cekinami glamrockowe wdżianka, złote płaszcze, satynowe kiecki, białe suknie z wizerunkami kotów czy japońskie kimona, w których ABBA wystąpiła (z playbacku) w Polsce. „Byliśmy strasznie śmieszni” – przyznał po latach Benny. Dodajmy, że ów kicz wciąż ma wzięcie, inspirowe współczesne gwiazdy oraz dyktatorów mody.

Twórcy ekspozycji zrekonstruowali kilka pomieszczeń, w tym stanowisko dowodzenia projektem ABBA, czyli gabinet cholerycznego szefa Polar Music. W pierwszej fazie kariery kwartetu Stig Anderson wymyślał tytuły piosenek i pisał niektóre teksty, m.in. „Waterloo”. On również odebrał statuetkę dla zwycięzcy konkursu Eurowizji, gdyż angielscy ochroniarze nie wpuścili muzyków na scenę. Z innych atrakcji warto jeszcze wymienić studio nagraniowe z ówczesnym cudem techniki: konsolą Harrison 4032 (miksowali na niej swoje płyty również panowie z Genesis i Led Zeppelin) oraz pianino z domku letniskowego na wyspie Viggsö, gdzie powstała większość przebojów zespołu ABBA.

„Interaktywność” muzeum wyraża się głównie w tworzeniu iluzji bliskości. Zwiędzający ma się poczuć jak piąty członek zespołu. Może usiąść w minihelikopterze z okładki albumu „Arrival” i odbyć wirtualny lot nad sztokholmskim archipelagiem. Rozwiązać megatrudny quiz, pozować do pamiątkowej fotki z silikonowymi sobowtórami idoli, a nawet wejść na scenę, by zatańczyć i zaśpiewać (do wyboru są „Dancing Queen” i „Mamma Mia”), licząc na brawa przypadkowych świadków.

GUMA OD MAJTEK

W tak egalitarnym kraju jak Szwecja nie wypadało pominąć żadnego z ojców i matek sukcesu. Lista muzyków, biorących udział w nagraniach i koncertach zespołu ABBA, imponuje długością. Twórcy ekspozycji oddali też sprawiedliwość scenografom, projektantom okładek płyt i kostiumów, krawcom, fryzjerom, kosmetyczkom, czyli trybikom, dzięki którym szwedzka machina mogła działać tak wydajnie. Z nazwiska trzeba wymienić przynajmniej dwie osoby: współtwórcę brzmienia zespołu, Bo Michaela Tretowa i Lassego Hallströma, który – zanim wyruszył na podbój Hollywood – był nadwornym reżyserem zespołu ABBA. Za śmieszne pieniądze kręcił videoklipy dla telewizji i film, pokazywany w kinach na całym świecie.

Ekran z weteranami, wspominającymi stare, dobre czasy, wzbudzają zainte-

Miejsca w historii szwedzkiej kultury nikt im nie odbierze.

Na pewno jednak marzą o nieśmiertelności w skali globalnej

resowanie boomersów. Z myślą o najmłodszym pokoleniu fanów w osobnej salce wyświetla się animowaną biografię kwartetu. Można się z niej dowiedzieć, że pięcioletnia Agnetha podczas scenicznego debiutu zaliczyła wpadkę: pękła jej guma od majtek. Z kolei Björn chciał zostać inżynierem, „ale jego gitara miała inne plany”. W tej historii oczywiście nie ma miejsca na ekscesy i kąpiele w szampanie. Skandynawowie tolerują tylko takich milionerów, którzy nie obnoszą się z bogactwem.

Czy sztokholmskie muzeum lukruje wizerunek słynnych rodaków? Na pewno w mniejszym stopniu niż kinowe apoteozy Queen czy Presleya. Dziennikarze, zajmujący się show-biznesem, zawsze uważali panie i panów z zespołu ABBA za nudziarzy. Szwedzi byli uprzejmi, nie brali narkotyków, nie demolowali hoteli i nie upijali się (przynajmniej publicznie). Kpiono, że są muzycznym odpowiednikiem filmów Disneya. Nawet oficjalny biograf, Carl Magnus Palm, przyznał, że w twórczości kwartetu brakuje pierwiastka szaleństwa, charakterystycznego dla artystów z najwyższej półki.

Paradoksalnie ABBA – symbol hedonistycznej epoki disco – jak ognia wystrzegła się gwiazdorskich póż i zachowań. A przecież byli gwiazdami, jeszcze zanim się zjednoczyli. Cała Skandynawia знаła ich z radia i telewizji, wielu widziało ich występy w parkach ludowych.

Uciekając się do nieco karłowatego porównania, jak Polacy zareagowaliby na wieść, że Irena Jarocka i Anna Jantar związały się zawodowo i prywatnie z Andrzejem Zielińskim i Sewerynem Krajewskim? Gdy latem 1971 r. Agnetha i Björn brali ślub, było to medialne wydarzenie, a kiedy urodziło się im dziecko, szpital przeżył inwazję fotoreporterów.

Kolejny paradoks: zespół, który rozstał się Szwecję, nigdy nie był pieszczochem sztokholmskich elit i publicznych mediów. W obu tych środowiskach prym wiedli ludzie o sympatiach lewicowych. Dla pokolenia '68 styl kwartetu był zbyt komercyjny. Krytyka promowała muzykę ludową, jazzową i „progresywną”. W zwy-

cięcach konkursu Eurowizji widziano wyrachowanych, cynicznych bogaczy. Stugębna wieść głosiła, że tak jak tenisista Borg uciekną z kraju, by uniknąć wysokich podatków. Ofiarami tej niechęci padali muzycy współpracujący z zespołem ABBA, blokowano im kariery i występy w klubach. Cudzy sukces zawsze kłuje w oczy, nawet w społecznościach uchodzących za bardziej moralne od innych.

RAZEM NA ZAWSZE

Na początku lat 80. szwedzka fabryka przebojów wyraźnie zwolniła tempo. Rozwody obu par były sygnałem zmierzchu, podobnie jak zaniechanie występów na żywo. ABBA jako projekt biznesowy mogłaby nadal istnieć, zmieniała się jednak muzyczna moda, kompozytorski duet zaczął zaś tracić węgę. Młodzieżowa energia gdzieś wyparowała, melodie tonęły w syntezatorowym sosie, utwory sprawiały wrażenie wymęczonych i przearanżowanych. Panów coraz bardziej ciągnęło w stronę musicalu, panie pragnęły udowodnić sobie i światu, że stać je na niepodległość. Pod koniec 1982 r. ABBA popadła w stupor. Co ciekawe, jednym z ostatnich objawów jej istnienia był udział w gali „Let Poland Be Poland”, zorganizowanej przez administrację prezydenta Reagana. W tekście tytułowej piosenki z albumu „Visitors” znalazły się zaś akcenty antykomunistyczne.

Ulvaeus i Andersson pozostali przyjaciółmi, ale z byłymi żonami spotykali się od wielkiego dzwonu. Na przykład na pogrzebie byłego menedżera (transmitowanym przez telewizję, jakby grzebano głowę państwa). W XXI w. Benny stał się kimś w rodzaju narodowego kompozytora, reszta raczej odcinała kupony od dawnej sławy. Frida angażuje się w kampanie ekologiczne, Björn stał się wojującym ateistą. Agnetha co jakiś czas potwierdza reputację neurotyczki.

Sala w muzeum, poświęcona osobnym dokonaniom członków zespołu ABBA, świeci pustkami. Większe wzięcie mają eksponaty związane z musicaliem i filmem „Mamma Mia!”. Bohaterowie zapewne są zmęczeni, ale zwlekają z odejściem na emeryturę. Miejsca w historii szwedzkiej kultury nikt im nie odbierze. Na pewno jednak marzą o nieśmiertelności w skali globalnej. Sęk w tym, że próbę czasu mogą przetrwać zwycięsko tylko w czwórce, a ich życie zostanie bezlitośnie zredukowane do jednej dekady. No cóż, lepsza taka przyszłość niż żadna. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Telewizja Republika przedstawia nowy program:

SPACER Z POWSTANIEM

Poznaj historię miejsc pamięci
Powstania Warszawskiego!

od poniedziałku
do czwartku

19:40

piątek

22:00



Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną oraz poprzez dostępną telewizję naziemną
w województwie śląskim i okolicach, a także w internecie
na stronie www.tvrepublika.pl.



Kiedyś, czyli teraz



Piotr Gociek

Sprzedajne media, terror komercjalizacji, polityczne manipulacje, postprawda – film „Stracone złudzenia” przypomina, że nie są to wynalazki XXI stulecia

O jakże wielu rzeczach przypomina nam ekranizacja „Straconych złudzeń” Honoriusza Balzaka: o nadziejach młodości, szaleństwach miłości, okrucieństwie wielkiego świata; o tym, że klasyka broni się na ekranie, że może być w swej wymowie niesłychanie współczesna, ba! – nawet że Gerard Depardieu to wielki aktor, a nie tylko tłuściutki przyjaciel Władimira Putina.

Kurzą się na półkach tomy „Komedii ludzkiej”; nie wiem, czy w szkołach

jeszcze obowiązkową lekturą jest „Ojciec Goriot”, kino XXI stulecia jednak o Balzaku pamięta. Tylko w ostatniej dekadzie trzykrotnie przenoszono na ekran „Jaszczyra” (jedna z wersji powstała w Grecji). „Stracone złudzenia” w reżyserii Xaviera Giannoli pokazane zostały po raz pierwszy na ubiegłorocznym festiwalu w Wenecji. Recenzje były przychylne, ale nagród zdobyć się nie udało; triumfem za to zakończyła się podróż przez francuskie ekrany. Film otrzymał 15 nominacji do Cezarów, zdobywając ostatecznie siedem statuetek.

Chciałoby się powiedzieć: „Znacie tę historię”, ale pewien nie jestem, nie dostrzegam w Polsce wokół literackiej spuścizny Balzaka tak wielkiego zainteresowania jak wokół Dickensa czy Tolstoja. Na pewno odnotować trzeba pieczołowicie przygotowaną edycję wspomnianego już „Jaszczyra” w serii Biblioteki Narodowej wydawnictwa Ossolineum. Zatem „Stracone złudzenia”, składające się z trzech części („Dwaj poeci”, „Wielki

człowiek z prowincji w Paryżu” i „Cierpienia wynalazcy”), to centralny punkt gigantycznego fresku, jakim jest cykl „Komedia ludzka” Balzaka. Opowieść powstawała w latach 1836–1843, przy czym część pierwszą miał francuski pisarz stworzyć w ciągu ledwie trzech tygodni. Centralną postacią jest Lucjan Chardon de Rubempré, utalentowany młody poeta z Angoulême, który wyruszywszy na podbój Paryża, odkrywa, jak naprawdę wyglądają blaski i cienie wielkiego świata (głównie cienie).

SKANDALICZNY ZWIĄZEK

Chardon de Rubempré zakochany jest do szaleństwa w pięknej arystokratce (cierpiącej w nieszczęśliwym małżeństwie bez miłości), ona zaś nie tylko jest mu przychylna, lecz także chce być jego protektorką i promotorką jego poetyckiego talentu. Związek postrzegany jako skandal nie tylko przez jej „zainteresowanego jedynie polowaniami i psami” męża skazany jest na zagładę.

Lucjan musi sobie w Paryżu radzić sam, a jako że poezja kokosów nie przynosi (zwłaszcza ta odrzucana przez kolejnych paryskich wydawców), obraca się ku karierze dziennikarskiej. Jego przewodnikiem w tym świecie staje się cyniczny Étienne Lousteau.

Obszerna opowieść Balzaka została zwięźle streszczona (z pewnymi zmianami) przez scenarzystów filmu Giannolego, w czym walenie pomogła współczesna sympatia dla wprowadzania do filmów narratora pomagającego nam spoza ekranu zrozumieć obserwowane wypadki. Dla sztuki filmowej to zabieg zgubny, bo przekształca opowieść obrazami w słuchowisko, dla widza rzecz pomocna. Inna sprawa, że akurat w przypadku ekranizacji Dickensa czy Balzaka narrator pomaga ocalić charakterystyczny styl opowieści – aż się przypomina notatka z „Dzienników” Sandora Maraia, który o Balzaku pisał: „Okolo 1840 roku pisarz jeszcze się wtrącał do powieści – był to nowy gatunek, czytelnikowi wiele rzeczy trzeba było wytłumaczyć”.

EPOKA POSTPRAWDY I FAKE NEWSÓW

Aby zbyt wielu spraw nie trzeba było tłumaczyć (film i tak trwa dwie i pół godziny), zrezygnowano z licznych wątków książki, koncentrując się na postaci Lucjana. Jego rolę gra Benjamin Voisin i jest to osiągnięcie znaczące – młody francuski aktor bez trudu sprawia, że wierzymy zarówno w niewinność, zadufanie, jak i cierpienie Lucjana. Równie dobry jest Vincent Lacoste jako Étienne Lousteau. Nieco błędziej wypadają w filmie postacie kobiece, może dlatego, że reżyser Xavier Giannoli mniej zainteresowany jest megalomaniami bohaterów i życiem codziennym paryskiej socjety, bardziej natomiast tym, co było sednem środkowej części powieści Balzaka – światem bulwarowej prasy, światem urabiania opinii publicznej i handlowania prawdą.

Tu dochodzimy do powodów, dla których najnowsza kinowa wersja „Straconych złudzeń” doczekała się entuzjastycznych recenzji nie tylko we Francji, lecz także w prasie anglosaskiej po obu stronach oceanu. W istocie Giannoli, wykorzystując dzieło Balzaka, nakręcił film o epoce postprawdy i fake newsów, o zbydlęceniu mediów; wreszcie o brutalnym wykorzystywaniu ich do walki politycznej. Inna sprawa, że nie musiał wiele dopisywać, wystarczyło destylo-

wać – środkowa część powieści Balzaka („Wielki człowiek z prowincji w Paryżu”) jest wielkim oskarżeniem środowiska wydawców, dziennikarzy i pisarzy, wzbudziła zresztą swego czasu olbrzymie oburzenie w tym środowisku.

Wspaniała jest u Giannolego scena, w której naiwny Lucjan poznaje kulisy wydawniczego biznesu, gdy wraz ze swym przewodnikiem Étienneem stawiają się przed obliczem wszechmocnego wydawcy Dauriat (świetny Gerard Depardieu, a przecież dawno nie widzieliśmy go w dobrej formie).

Osobnik ten, o manierach właściciela pralni albo sprzedawcy cebuli, nie umie pisać ani czytać, co nie przeszkadza mu w karierze rekina rynku wydawniczego. Asystenci czytają mu wybrane fragmenty, ale najważniejsze jest co innego: Dauriat jest mistrzem w tworzeniu kontrowersji, wzbudzaniu polemik, w robieniu szumu wokół wydawanych książek. Osiąga to bardzo prostymi metodami – opłaca zarówno autorów pozytywnych, jak i negatywnych opinii. Dopiero kłótnia na łamach poczytnych dzienników –



REŻ. XAVIER GIANNOLI
„STRACONE
ZŁUDZENIA”
FRANCJA 2021

Mechanizmy opisane przez Balzaka działają doskonale w XXI stuleciu, w czasach social mediów

najlepiej na pierwszej stronie i najlepiej z obelgami – daje gwarancję, że powieść będzie się sprzedawała. Autorów nieznanym Dauriat nie wydaje, trzeba być kimś. „Jak zostać kimś?” – dopytuje więc Lucjan, a odpowiedź brzmi, by znaleźć sobie potężnego wroga, który będzie go publicznie zwalczał. Takie rzeczy przynosią rozgłos, tak sprzedaje się literaturę.

Równie pouczająca – i wstrząsająca widzem – jest scena, w której zaglądamy nie tylko za kulisy teatru, lecz także za kulisy walki o przychylną recenzję spektakli. Ktoś niesie, że na premierę sztuki, w której występuje kochanka Étienne’a, wybiera się wszechmocny szef grupy zawodowych klakierów (w filmie to Singali, u Balzaka – Braultard). Opłacony przez konkurencję przyprowadził swą ekipę, by przedstawienie wybuchnąć.

Od czegoż są jednak pieniądze z kieszeni bogatych kochanków panieneczek aktoreczek, głównie producentów mydła i kupców tekstylnych? Po szybkiej zbiórce uradowany Singali woła na chwilę przed podniesieniem kurtyny: „Zapłacone! Będziemy chwalić!”. Relacje między biznesem a światem rzekomo niezależnego dziennikarstwa to inny ważny wątek opowieści, niemniej smutny

i niemniej współczesny.

Proszę jednak nie myśleć, że „Stracone złudzenia” to jedynie okazja do nachalnych aluzji. Siłą filmu Giannolego jest to, że działa na wielu płaszczyznach. Opowiedziany jest zgrabnie, wartko, z francuską lekkością, po molierowsku łącząc tragedię z komedią. Sprawdza się jako melodramat, głównie jednak nie dzięki Cécile de France w roli pani de Bargeton, lecz uroczą Salomé Dewaels, grającą aktorkę Coralie, w której zakocha się Lucjan. Jest przypowieścią o zgubnych dla mediów skutkach ambicji kontrolujących je moźnych – zarówno zwykłych bogaczy, jak i ludzi o ambicjach politycznych; naprawdę nie jesteśmy daleko od przesłania z „Obywatela Kane’a”.

No i jest oczywiście ta warstwa najbardziej oczywista, czyli oskarżenie świata mediów o to, że prawdą jest dla nich tylko to, co modne i za co sówicie zapłacono. Mechanizmy opisane przez Balzaka działają doskonale w XXI stuleciu, w czasach social mediów, to znaczy kupowanych lajków, opłacanych vlogerów i influencerów, kupowania tradycyjnych mediów na pęczki, by zamieniać je w maszyny wyborcze i tak dalej. Z początku przyjmowałem perswazję Giannolego z lekką irytacją, bo zdawał mi się jego film na siłę uwspółcześniany. Potem wróciłem do powieści Balzaka (co rekomenduję i wszystkim czytelnikom „Do Rzeczy”), by odkryć, że niemal wszystkie najcelniejsze oskarżenia, gorzkie oceny i ponure refleksje pochodzą z książki, a nie z podkreślonego na potrzeby dzisiejszej publiki scenariusza. To nieprawda, że kiedyś było lepiej, a zepsuło się dopiero teraz. Cóż, kolejne stracone złudzenie. Jaka szkoda, że nie da się tym paliwem napędzać gospodarki; złudzenia to jedyna rzecz, których nam nigdy nie zabraknie. Wszyscy nieustannie je tracą, a wciąż jest ich pod dostatkiem.



FOT. MATERIAŁ PRASOWE

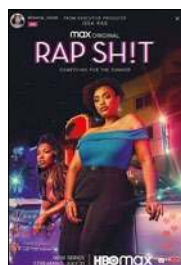


PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE



Dziewczyny z Miami



★★★★★

SEZON 1
„RAP SH!T”
USA 2022wyst. Aida
Osman, KaMillion,
dystr. HBO Max

Issa Rae, twórczyni serialu „Niepewne”, wyszykowała dla HBO nową serię w błyskotliwy sposób łączącą humor i refleksję społeczną. Przede wszystkim to komedia o losach szkolnych przyjaciółek z Miami, które sfrustrowane dorosłym życiem próbują odwrócić swój los, zakładając rapujący zespół. Każda ciągnie w swoją stronę. Shawna (Aida Osman) chce rapować o sprawach ważnych i politycznych, ale nikt nie chce jej słuchać. Mia (KaMillion) uważa, że muzyka to czysta rozrywka, trzeba więc śpiewać o szybkich autach, imprezach i dużej gotówce, a w teledyskach potrząsać tyłkiem tudzież innymi częściami ciała.

Spór między tym, co ambitne, a pułapką schlebienia mało wybrednym gustom to jednak dopiero początek atrakcji, które przynosi serial „Rap Sh!t”. Dostrajemy oczywiście pytania na temat feminizmu (tego mądrego, to znaczy pomagającego kobietom) – jak panie mają sobie radzić w świecie show-biznesu, który z poniżania i eksponowania półnagich „suczek” czy „foczek” uczynił źródło gigantycznych dochodów (tak, taki właśnie jest dzisiejszy hip-hop). Ale idźmy dalej: opowieść Issy Rae dotyczy też drażliwej kwestii, na którą socjologowie wskazują od dawna (a co bywa tępione jako wyraz rzekomego rasizmu) – kłopoty

afroamerykańskiej mniejszości nie są efektem nietolerancji czy narkotyków, ale rozbitych rodzin. Niedojrzali mężowie porzucający rodziny, dzieci wychowujące się bez ojców, matki łapiące się kilku prac naraz, by związać koniec z końcem (łącznie z pracą w erotycznym biznesie) – nie tak chyba to wszystko powinno wyglądać.

Jeszcze jedna ważna kwestia. W czasach niesłychanej popularności sitcomu „The Cosby Show” przesłanie dla Afroamerykanów brzmiało: inwestujcie w wykształcenie, ciężko pracujcie, dbajcie o rodzinę, a odniesiecie sukces – będziecie jak biali, zamieszkacie w pięknych domach na przedmieściach. „Bajer z Bel-Air” uzupełniał przekaz o słowa „... ale nie zapominajcie, gdzie są wasze korzenie”. „Rap Sh!t” to już serial czasów, w których o żadnej integracji mowy być nie może; czarni mają własny świat, do którego białasom wstęp jest wzbroniony. Ameryka rozpada się na naszych oczach. Czy może nigdy nie była jednością? To temat do rozważań przy innej okazji. ©



NOWE SERIALE: „JA JESTEM GROOT”

Każdy kinowy hit rozszerzyć można o serial, tę sztukę koncern Disneya opanował do perfekcji. W ostatnich latach dostaliśmy odcinkowe przygody bohaterów filmu „Potwory i spółka” czy „Wielka Szóstka”, teraz padło na sympatyczny mówiący patyk z Marvel Cinematic Universe. Animowana seria, której bohaterem jest Groot, to pro-

pozycja dla najmłodszych widzów Disney+. W tym czasie do Netflixa trafia nowy serial o Kung Fu Pandzie, a do Apple TV+ nowe odsłony „Fistaszków” – podpowiedź dla tych, którzy nie odganiają latem dzieci od ekranów. ©

Piotr Gociek
• sezon 1 „Ja jestem Groot” („I Am Groot”), USA 2022, Disney+

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- sezon 1 „Ich własna liga” („A League of Their Own”), USA 2022
- miniseria „Pięć dni w szpitalu Memorial” („Five Days at Memorial”), USA 2022
- sezon 3 „Locke o-Key”, USA 2022

Sługa Francji

KINO

Vincent od dziecka chciał pracować w budżetówce, żeby się nie przemęczać oraz móc za darmo rozmawiać przez telefon. Niestety, rząd wypowiedział wojnę leniwym urzędnikom i nasz bohater, mając lat 45, dostał propozycję nie do odrzucenia. Zostanie

twórca roli tytułowej próbuje być jak Dany Boon, ale mimikę ma słabą i strzela dowcipami trochę na oślep. Momentami cyniczny, za chwilę naiwny jak dziecko, kpi z przywilejów sektora publicznego, idei wielokulturowości, nawiedzonych ekologów, feministek i szwedz-

kiego stylu życia, lubi też poświntuszyć. Główny bohater, uroczy hedonista obdarzony przez stwórcę bezgranicznym talentem przystosowawczym, a także zdolnością do empatii, jest lustrem, w którym chętnie rozpozna się każdy konsument ślimaków. Bank rozbija jednak były Rosjanin Gérard Depardieu, zapewniający z ekranu telewizora, że od Francji piękniejsze jest tylko Królestwo Niebieskie. ©©

Wiesław Chełmniak



★★★★★
REŻ. JÉRÔME COMMANDEUR
„PRACOWNIK MIESIĄCA”
(„IRRÉDUCTIBLE”)
FRANCJA 2021

wyst. Jérôme Commandeur,
Laetitia Dosch,
Pascale Arbillot



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

DAMA W OPERZE

cda PREMIUM

Dwusetna rocznica urodzin Marii Kalergis minęła bez wielkich fanfar. Pianistka, królowa europejskich salonów i muza Norwida, z powodu błądności cery nazywana „Białą Syreną”, jest dziś postacią zapomnianą. Twórcy „Warszawskiej premiery” sportretowali ją jako wielce wpływową celebrytkę, która dla kaprysu proteguje Moniuszkę. Zapomnieli, że przyjaźniła się z Chopinem, Lisztem i Wagnerem. O tym, że akcja rozgrywa się w dobie zaborów, świadczy jedynie portret cara, wiszący w gabinecie dyrektora teatru. Słowo „Rosja” nie pada w ogóle, czarnym charakterem jest polski arystokrata, a „Halka” – według autora libretta – uderza w „obóz zacofania i ucisku”. Film, nakręcony w apogeum stalinizmu, jest jednak bardziej muzyczny niż polityczny. Pieprzu dodaje mu fakt, że panią Kalergis zagrała Nina Andrycz, żona ówczesnego premiera. Moniuszko, pozbawiony ikry „organista z prowincji”, na jej tle wypadł blado. ©©



★★★★★
REŻ. JAN RYBKOWSKI
„WARSZAWSKA PREMIERA”
POLSKA 1951

wyst. Jan Koecher, Jerzy Duszyński, Barbara Kostrzewska

ZABIĆ TRUPA

HBO max

Latem w kinach panoszą się marnej jakości horrory. Na szczęście serwisy streamingowe oferują klasykę tudzież co ciekawsze produkcje z minionych sezonów.

„Zombieland” jest właśnie taką perełką, choć prawdę mówiąc, zamiast straszyć, bawi. Akcja rozgrywa się w Ameryce spustoszonej pandemią (pacjent zero zjadł skażonego hamburgera). Twórcy filmu czerpią perwersyjną satysfakcję z anarchii i demolki. Koniec z mandatami za jazdę bez zapiętych pasów i złe parkowanie! Niech żyją darmowe zakupy! Hordy żywych trupów są pewnym utrudnieniem, ale Columbus i Tallahassee dają radę. Pierwszy jest cykorem i maniakiem regulaminów, drugi twardzielem, który żadnych zasad nie przestrzega. Harrelson urodził się, by grać freaków, a w żyłach Billa Murraya zamiast krwi płynie autoironia. Malkontenci powiedzą, że to za mało, lecz zasada numer 32: „Ciesz się drobiazgami” obowiązuje. Zwłaszcza w sezonie ogórkowym. ©©



★★★★★
REŻ. RUBEN FLEISCHER
„ZOMBIELAND”
USA 2009

wyst. Woody Harrelson, Jesse Eisenberg, Emma Stone

recenzuje Wiesław Chełmniak

GRA TYGODNIA: „LIVE A LIVE”

Kolejne klasyczne JRPG sprzed lat w odświeżonej oprawie powraca w ramach serii HD-2D. Tym razem Square Enix (twórcy m.in. „Final Fantasy”) sięgnęli po tytuł, w który gracze w Japonii (tylko) mogli grać na SNES w 1994 r. Wtedy tytuł pod wieloma względami przełomowy,

nietypowy w niektórych założeniach także dziś. Do wyboru mamy siedem postaci z różnych miejsc i epok (od prehistorii, przez feudalną Japonię, do dalekiej przyszłości). Każda ze ścieżek różni się nieco w sposobie i klimacie grania. Dopiero po przejściu każdej z nich odblokowujemy możliwość



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

dojścia do finału opowieści. Klasyka, od której łatwo się odciąć, jeśli nie jest się fanem retro i/lub JRPG. ©©

Radosław Wojtas

• **Gatunek:** JRPG
• **Platforma:** Nintendo Switch
• **Producent, wydawca PL:** Square Enix, ConQuest Entertainment

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Cyc a sprawa polska

Przez długie lata pokazanie na ekranie kobiecych piersi uważane było za akt niebywalej odwagi twórców filmu, a przede wszystkim demonstratorów tych formalnie uważanych za drugorzędne cech płciowych, jak również ewidentnie wpływało na frekwencję w kinach i kasowość wyprodukowanych dzieł. Klasyczne pytanie z dialogów Andrzeja Zaorskiego i Mariana Kociniaka: „Momenty były?” nie wzięło się znikąd. Filmy z aktorkami zapiętymi pod szyję nie cieszyły się powodzeniem, te zaś, w których mniej lub bardziej ochoczo pozbywały się swych szatek, już tylko z tego względu mogły liczyć na przychyłość widowni.

W pionierskim, siemiężnym okresie Polski Ludowej o seksie na ekranie nie było mowy. W poświęconej zmianom obyczajowym w polskim kinie, znakomicie udokumentowanej książce Mirelli i Jarosława Kurkowskich, której drugie, uzupełnione wydanie ukazało się właśnie nakładem LTW, przypominana została znamienna wypowiedź uczestniczki teledystansu Leningrad – Boston z 1986 r. („Kobiety mówią z kobietami”): „W CCCP seksa niet”. W PRL niby po 1956 r. było już inaczej, w istocie jednak zmieniło się niewiele od czasów, gdy w „Młodości Chopina” (1951) Hanna Skarżanka po raz pierwszy w powojennej kinematografii odsłoniła pierś. Scena była uzasadniona, jako że aktorka grała robotnicę, której w trakcie rewolucyjnego wrzenia w Paryżu któryś z tłumiących zamieszki żołnierzy rozrywa bluzkę, co oczywiście stanowiło nawiązanie do sławnego obrazu Delacroix, „Wolność wiodąca lud na barykady”. Co ciekawe, z ostatnio pokazywanych kopii filmu scena ta wyparowała.

Kiedyś przed zgorszeniem chronili publiczność partyjni sekretarze i cenzorzy, a gdy ich zabrakło, sprawę wzięli w swoje ręce... sami



FOT. TOMASZ ADAMOWICZ / FORUM

twórcy. Andrzej Wajda z „Ziemi obiecanej” ćwierć wieku po jej wyprodukowaniu usunął w 2000 r. m.in. najbardziej chyba znaną scenę w salonie z udziałem Kaliny Jedrusik i Daniela Olbrychskiego. Jak pisał Sebastian Jagielski: „Historia kina nie zna chyba tak rażącego przejawu autocenzury”. A żeby było jeszcze bardziej pikantnie, powodem tej kastracji miały być pomówienia reżysera o... antysemityzm.

Naturalnie najmniej problemów z erotyką na ekranie miał socrealizm, który całkowicie ją wykluczył. Dziewczęta nie miały zresztą wtedy czasu na obnażanie się, zajęte pracą w polu czy kładzeniem cegieł na budowach, jak w „Przygodzie na Mariensztacie” (1953). W późniejszych latach za wzorcowe uchodzić mogły wątki miłosne w filmie „Gdzie jest generał” (1963) i niewiele późniejszym serialu „Cztery pancerni i pies”, w których nie wiadomo, kogo bardziej podziwiać – przebrane w sowieckie mundury Elżbietę Czyżewską czy Polę Rakę. Nawet tańczą tak samo.

Wbrew pozorom wojna potrafiła także przysparzać problemów natury obyczajowej. Zamieszanie wokół sceny gwałtu z „Pierwszego dnia wolności” Aleksandra Forda (1964) przeszło do historii kina za sprawą Jerzego Gruzdy, który z przymrużeniem oka odniósł się do niego w popularnym serialu telewizyjnym „Wojna domowa”. A o tym, jak ekipa Aleksandra Forda filmowała jej nagi biust, opowiadała Beata Tyszkiewicz: „Pierwsza próba nie udała się, bo bluzka moja nie była odpowiednio »spęrowana« i aktor, który miał ją na mnie rozerwać, mimo nadludzkich wysiłków nie był w stanie tego zrobić. Zdjęcia przerwano i bluzkę przygotowano. Przy powtórnej ujęciu wokół łóżka goniło mnie kilku moich starszych kolegów i kiedy mnie już dopadli i rozerwali na mnie bluzkę, właśnie miał się odbyć najazd kamery na moje nagie piersi, zanim jednak Ford zdążył powiedzieć »stop«, koledzy okryli mnie rozdartym materiałem i zaczęli przepraszać. To naprawdę było wzruszające. Bardziej tę scenę przeżywali ode mnie”.

Generalnie w czasie wojny i okupacji należało walczyć z wrogiem, a nie zajmować się miłostkami, za co oberwało się, i to całkiem niedawno, Robertowi Gliniowskiemu, który w „Kamieniach na szaniec” (2014) pokazał bohaterów w akcjach nie tylko bojowych.

„Kardiogram” Romana Załuskiego (1971), w którym Anna Seniuk w trakcie scen miłosnych z Tadeuszem Borowskim pokazywała swój nagi biust dłużej niż ułamek sekundy, stanowił rzeczywiście przełom w naszej kinematografii, traktującej seks jako tabu. A przecież znany aktor Johnny Depp jakże słusznie powiedział, że „najbardziej ponadczasowym i klasycznym pięknem są piersi kobiece”. No tak, tyle że to aktor amerykański. A my wiemy swoje. ©©



★★★★★

MIRELLA
KURKOWSKA,
JAROSŁAW
KURKOWSKI„KARDIOGRAM»
PRZEMIAN
OBYCZAJOWYCH
W POLSKIM
KINIE NA PROGU
EDWARDA
GIERKA”
ŁOMIANKI 2022,
LTW



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

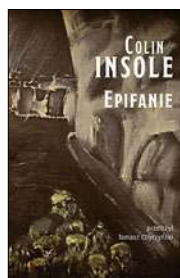
Niezwykły gość

Czuje się zaszczycony, że moje opowiadania zostały przełożone na język polski – pisze Colin Insole w posłowie do tomu „Epifanie”. Przyjemność jest obustronna, zawitał do nas autor utalentowany, intrygujący, niegłupi i w dodatku zakochany w Europie Środkowej. Co więcej, we właściwej Europie Środkowej, to znaczy nie w imaginacjach o barbarzyńcach zwijających na noc asfalt i hodujących niedźwiedzie, lecz w tej fascynującej przestrzeni społeczno-kulturowej, którą wytęczyli m.in. Bruno Schulz, Franz Kafka czy Gustaw Meyrink. To nieprawda, że dobrej literatury już się nie pisze, trudno ją jedynie wydobyć spod zwalów bestsellerów. Insole jest autorem elitarnym i niespecjalnie rozpoznawanym nawet w ojczystej Wielkiej Brytanii, a w Polsce to już w ogóle przybysz z kosmosu.

Wydawca, Krzysztof Biliński, wskazuje na pokrewieństwo Insole’a z klasykiem angielskiej psychologicznej literatury grozy, to znaczy z Robertem Aickmanem. Zachwalałem tego ostatniego na łamach „Do Rzeczy” – uważam, że to mistrz krótkiej formy nie gorszy niż Shirley Jackson czy Virginia Woolf. Pióro Insole’a i Aickmana łączy cecha, do której pasuje słynne określenie ukułe przez J.G. Ballarda: „inner space”

(„przestrzeń wewnętrzna”). Ballard, swoją drogą inny wspaniały twórca brytyjskiej literatury, odcinał się owym terminem od typowej fantastyki, którą miał za sztubaczkę – te wszystkie przygody w kosmosie, w „outer space”. Twórcę „Wyspy” interesowało to, co kryje się w ludzkiej duszy, a te pejzaże charakteryzują się tym, że trudno odnaleźć w nich wyraźne granice, wrażenia są równie istotne jak koherentne myśli, emocje rządzą rozumem, a rozum wszystkiego objąć i tak nie daje rady. Fabuły są odzwierciedleniem tego, co dzieje się w głowach bohaterów, natomiast w świecie zewnętrznym granicę między emocją a rozumem (poznaniem?) odzwierciedla płynna granica między tym, co realne, a co nadnaturalne. Gdzieś po tym pograniczu poruszają się bohaterowie Insole’a.

Świetne to pisanie, niepoddające się prostym streszczeniom. Szczególnie rekomenduję dłuższą nowelę zamykającą tom „Epifanie”, czyli „Chłopiec z zagajnika rododendronów”, mistrzowski przykład psychologicznego horroru. Znajdziecie w tym wyborze także opowiadania w klimatach opowieści niesamowitych Stefana Grabińskiego, no i wreszcie tekst, który wprost odwołuje się do Meyrinka i Schulza, literackich mistrzów Insole’a, czyli „Pająk z Weimaru”. ©



★★★★★
COLIN INSOLE
„EPIFANIE”
WYDAWNICTWO
IX 2022

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Saga rodzinna z RPA burzliwych lat przełomu. Obietnica złożona w roku 1994: demokracji dla wszystkich – mówi autor – nie została spełniona. Dla obu stron – dodajmy, choć Galgut kupia się na winach białej strony.



DAMON GALGUT
„OBIETNICA”
WYDAWNICTWO
CZARNE

Pierwszy tom cyklu o Courcie Gentrym, tajnym agencie CIA należącym do elity płatnych zabójców. Seria jest o wiele ciekawsza od filmu Netflixa na jej podstawie. Greaney zaś to były pisarski współpracownik Toma Clancy’ego.



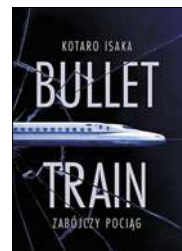
MARK GREANEY
„GRAY MAN”
PORADNIA K

Zaczęło się od opowiadania „Posterunek”, które zainspirowało Stanleya Kubricka, by z Clarkiem stworzyć scenariusz filmu. Scenariusz potem stał się powieścią „2001: Odyszeja kosmiczna”, która doczekała się trzech kontynuacji.



ARTHUR C. CLARKE
„ODYSEJA
KOSMICZNA
2001”
REBIS

Powieść, na podstawie której powstał wakacyjny hit kinowy z Bradem Pittem i Sandrą Bullock. Gromada płatnych zabójców trafia na pokład ekspresu Shinkansen, nie wiedząc ani o konkurencji, ani o przemysłowej intrydze. ©

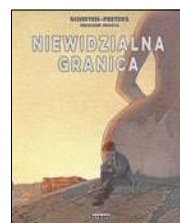


KOTARO ISAKA
„BULLET TRAIN.
ZABÓJCZY
POCIĄG”
ZYSK I S-KA

recenzuje Piotr Gociek

KOMIKS TYGODNIA: „NIEWIDZIALNA GRANICA”

Mistrzowski przykład wykorzystania języka komiksu do rozważań o polityce i historii. Młody ambitny kartograf z fikcyjnej krainy Sodrowno-Woldasja trafia do centrum map, gdzie od wieków prowadzi się prace nad odwzorowaniem świata. Rządzący mają inne plany, dla nich sztuka kreślenia map ma być narzędziem uzasadnienia ekspansji. Historia trochę z Borgesa, trochę



FRANÇOIS SCHUITEN,
BENOÎT PEETERS
„NIEWIDZIALNA
GRANICA”
SCREAM COMICS
2022

z surrealizmu, mówi o konflikcie władzy i nauki, a przy okazji jest nietypową historią miłosną. Album należy do cyklu „Mroczne miasta”, jednego z najważniejszych dokonań frankofońskiego komiksu. ©

poleca Piotr Gociek



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Sztuka wpływu

Jedyna w swoim rodzaju, działająca w latach 90. w 20 stolicach państw Europy Wschodniej sieć centrów sztuki, utworzona przez George'a Sorosa. Jakże było (wciąż jest) jej kulturowe oddziaływanie? W jaki sposób sztuka może być wykorzystywana do sprawowania kontroli nad społeczeństwem?

Odpowiedzi na te pytania poszukuje wystawa „Maszyna wpływu”, która z jednej strony

jest prezentacją wyników badań dotyczących funkcjonowania centrów sztuki współczesnej Sorosa, a z drugiej – ekspozycją dzieł sztuki współczesnych artystów pochodzących z regionów, w których działały te centra. Ważną jej częścią jest obszerne archiwum sieci centrów sztuki współczesnej Sorosa.

W jednym z wywiadów Marcel Skierski, zastępca dyrektora ds. programu CSW Zamek Ujazdowski, opowiadał o okolicznościach, w których wystawa trafiła do Warszawy. – Kurator wystawy odezwał się do nas – mówił Skierski – bo jesteśmy jedną z niewielu instytucji na świecie, która jest w stanie wystawić takie dzieło. ©©

GDZIE? CSW Zamek Ujazdowski
w Warszawie
KIEDY? do 6 listopada



FOT. DANIEL CZARNOCH



FOT. ARKADIUSZ PODSTANKA/ANIMUE WROCŁAWIU

ABAKANOWICZ TOTALNIE

Jeszcze tylko do 28 sierpnia czynna będzie wystawa będąca totalną prezentacją dorobku artystycznego Magdaleny Abakanowicz. Muzeum Narodowe we Wrocławiu, które ma największe zbiory prac tej najbardziej znanej na świecie współczesnej polskiej artystki, wystawi wszystkie jej dzieła z zasobów muzeum. Abakany, rzeźby, grafiki, obrazy, a ponadto materiały dokumentalne przedstawiające aktywność rzeźbiarki na przestrzeni kilku dekad w rozmaitych miejscach globu. ©©

GDZIE? Wrocław,
Pawilon Czterech Kopuł
KIEDY? do 28 września



GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Stare narzędzia

Dziesięć lat temu słynny kompozytor muzyki filmowej rozebrał na części „Cztery pory roku” Vivaldiego, a następnie ze zdekonstruowanych fragmentów ułożył nową kompozycję. Album dotarł na szczyt listy iTunes classic w Wielkiej Brytanii, Niemczech i USA, a jego fragmenty do ścieżki serialu „Bridgerton”.

Muzyka przemówiła do pokolenia zaznajomionego z remiksami, samplowaniem i kolażami dźwiękowymi. Po latach koszmarnych dyskotekowych i transowych wersji choćby utworów Mozarta okazało się, że zremiksowana klasyka może wreszcie zabrzmieć interesująco. Teraz Max Richter postanowił zdekomponować swoją wersję. Nowa jest o prawie cztery minuty

krótsza. Zaangażował londyńską, zróżnicowaną etnicznie Chineke! Orchestra, której muzycy zagrali na instrumentach z epoki z jelitowymi strunami. Pierwszą skrzypaczką została utytułowana Amerykanka Elena Urioste. Natomiast Richter dograł „basy” na zabytkowym, analogowym syntezatorze Mooga.

Album wypadł bardzo interesująco, ale już nie wzbudził takiego zainteresowania mediów jak wersja pierwsza, chociaż na liście „Billboardu” muzyki klasycznej dotarł do miejsca siódmego. Nowy projekt jest ciekawą próbą zobaczenia, co pozostało z Vivaldiego w dzisiejszych, elektronicznych czasach. Jednocześnie będzie on intrygujący dla osób obeznanych z oryginalnym „Recomposed”, ale też tych, którzy dobrze znają Vivaldiego. ©©



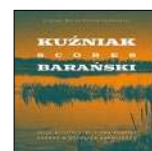
★★★★★
MAX RICHTER
„THE NEW
FOUR SEASONS
– VIVALDI
RECOMPOSED”
DEUTSCHE
GRAMMOPHON



★★★★★
BEN HARPER
„BLOODLINE
MAINTENANCE”
CHRYSLIS

Komentarze

społeczne splecione z funkowo-soulowym groovem przywołują najlepsze albumy Curtisa Mayfielda z lat 70. Szczerość, a nie agitacyjna krzykliwość ruchu Black Lives Matter sprawia, że jest to jedna z lepszych płyt Harpera.



★★★★★
HENRYK KUŹNIAK
„KUĆNIAK SCORES
BARAŃSKI”
GAD

Muzyka do trzech filmów Andrzeja Barańskiego z lat 90. Henryk Kuźniak, autor m.in. słynnego „Ragtime'u” do filmu „Vabank”, płynnie przechodzi od żydowskich melodii do autentycznie upiornych dźwięków, by powrócić nostalgicznym tangiem. Niepowtarzalne. ©©



Krzysztof Masłoń

W telewizji nic nie jest takie, na jakie wygląda, a jeśli cokolwiek możemy być pewni, to tego tylko, że to, co oglądamy na ekranie, na pewno nie będzie się zgadzało ani z zapowiedziami, ani tym bardziej z naszymi oczekiwaniami. Wytrawny widz potrafi się na szczęście w tym chaosie rozeznaczyć i stosunkowo szybko wyłapać reguły w nim obowiązujące. Bo takie jednak istnieją, choć może niezupełnie te, których się byśmy spodziewali.

I tak w Kinie Polskiego, jak sama nazwa wskazuje, brylują produkcje naszych południowych sąsiadów, ostatnio dwuczęściowa ekranizacja „Przygód dobrego wojaka Szwejka” Jaroslava Haška jeszcze z lat 50. zeszłego wieku: „Dobry wojak Švejk” i „Poslušně hlásím!”. Obok obsadzonego w roli tytułowej Rudolfa Hrušínského, jako permanentnie pijanego feldkurata Katza, możemy tu podziwiać Miłosza Kopeckého, o którym nie daje nam zapomnieć TVP Kultura emitująca właśnie serial „Szpital na peryferiach” (przebieg lat 80.), w którym Kopecký, z powodów naturalnych obsadzany w kinematografii Czechosłowackiej Republiki Socjalistycznej w rolach Żydów, wcielił się akurat w pozytywną postać doktora Strosmajera (to on mówi do pielęgniarki Hunkowej: „Gdyby głupota mogła unosić, latałyby pani jak gołębicą!). Młodzieży wyjaśniam, że „Szpital na peryferiach” potraktować można jako prequel rodzimego tasiemca „Na dobre i na złe”. Różnica jest taka, że akcja tego wcześniejszego toczyła się w miejscowości Bor, a późniejszego, o czym



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Poslušně hlásím!

wie każde dziecko, w Leśnej Górce.

„Nemocnice na kraji města”, czego jesteśmy świadkami, jako przykład sztuki wysokiej wzbogacając ofertę kanału TVP Kultura obok takich krajowych arcydzieł, jak np. serial „Dziewczyna i chłopak” z 1977 r., adaptacja powieści dla młodzieży (tej młodszej) Hanny Ożogowskiej „Dziewczyna i chłopak, czyli heca na 14 fajerek”, w której cytowana była taka przepiękna wyliczanka:

*Bielka, Strielka, sobaka, pies,
rakietka na księżyc gotowa jest.
Kto chce lecieć, niech nie pcha się,
niech wykupi bilet w kasie.*

Za ile?

Gustownego wierszyka w serialu się nie uświadczysz, za to błyszczy w nim Stanisław Mikulski, którego wojskowy wizerunek tak nam utrwaliło nadawanie na okrągło przez wszystkie możliwe stacje „Stawki większej niż życie”, że bez munduru, tak jak w „Dziewczynie i chłopaku”, wygląda nago. Ale pięknie prezentującego się w mundurze Wehrmachtu kpt. Klossa podziwiamy obecnie w TVP Historii, której misyjną działalność podtrzymuje wraz z Janosikiem

i Winnetou, bohaterami innych filmowych produkcji emitowanych tam właśnie. Dzieje nowsze nieco zabezpiecza zaś serial „Daleko od szosy”, jak wiadomo – historyczny niezwykle. A gdyby komuś w tym zestawie zeszłowiecznych nowości zabrakło nieśmiertelnej opowieści o dzielnych pancerniakach i psie Szariku, śpieszę donieść, że pamiętają o niej Stopklatka i Kino Polska.

Okres urlopowy usprawiedliwia wprawdzie powtórki, jeśli jednak chodzi o rodzime stacje telewizyjne, to dla nich lato, nie lato, zima, nie zima trwają nieustanne wakacje. Od rozumu najbardziej. Bezwstydnie katowanie widza ofertą, która może i była atrakcyjna, ale w zamierzczłej przeszłości, trwa w najlepsze, przy czym im bardziej, podobno, poważny nadawca, tym poczyną sobie najśmielej. Letnie ramówki Polsatu i TVN składają się już wyłącznie z odmóżdżonych, powtarzanych po wielokroć udających prawdziwe życie a to jako reality show, a to znów jako serial paradoksalny. Czasem odnosi się wrażenie, że „Ukryte prawdy” przechodzą w „Trudne sprawy” i na odwrót, a wymienione

telewizje odróżniamy po tym jedynie, że w jednej straszy Magda Gessler, a w drugiej Katarzyna Dowbor.

W telewizji publicznej trwa natomiast konsekwentnie przeprowadzana reforma, której efektem końcowym będzie przekształcenie – formalne, bo faktyczne już się dokonało – TVP w TVP Sport. W krótkich przerwach w transmisjach najróżniejszych rozgrywek, mistrzostw i memoriałów nadawane będą piosenki Zenka i – żebyśmy nie zapomnieli o wojnie na Ukrainie – „Bayraktar”.

A skoro o Ukrainie, to na pozór starający się dotrzymać kroku współczesności Canal Plus wyemitował film Oleha Sencowa „Nosorożec”, po obejrzeniu którego każdy normalny człowiek omijać będzie ten aspirujący do Unii Europejskiej kraj szerokim łukiem. Stanowczo bezpieczniej dla zdrowia psychicznego jest wkręcić się w prezentowany przez TV4 ukraiński serial „Pierścienek z rubinem”. Miłość, zdrada, tajemnice rodzinne... Normalna, bo w Czerkasach jak u nas, a u nas jak w Ameryce. No prawie. ©

Jedni umierają, drudzy zarabiają



Z dr. Wolfgangiem Wodargiem, niemieckim internistą, pulmonologiem i politykiem
rozmawia Dorota Tuńska

DOROTA TUŃSKA: Kto zarabia na pandemii COVID-19?

DR WOLFGANG WODARG: Ci, których można rozpoznać na giełdzie, widzimy ich zyski, bo zgromadzili miliardy. Małe biznesy upadają, gastronomia i małe sklepy straciły klientów, a ogromne globalne korporacje czerpią z tej sytuacji zyski, podwajają swoje bogactwo, jak np. Amazon – bo chodzi tu o monopolizację, centralizację, globalizację.

Wirusy towarzyszą człowiekowi od początku istnienia ludzkości. Dlaczego wirus SARS-CoV-2 stał się ważniejszy od wszystkich innych wirusów atakujących drogi oddechowe?

Cechą wirusów jest zmienność, zmieniła się przed wirusem Wuhan i nadal

się zmieniają, powstają tysiące mutacji każdego roku. Nie powstrzymamy tego. Wirus z Wuhan już nie istnieje, po ponad dwóch latach powstało wiele jego wariacji. Warianty delta i omikron nie zachowują się tak samo. Ale w dalszym ciągu obowiązuje ta narracja z Wuhan, że wszystkie są niezwykle groźne, jako powód, dla którego powinniśmy się dalej bać.

I się szczepić. Jak pan, z punktu widzenia epidemiologii chorób zakaźnych, ocenia masowe szczepienia przeciw COVID-19?

Kiedyś musiałem wykonywać szczepienia jako dyrektor Urzędu Zdrowia Publicznego w Szlezwiku-Holsztynie. Nie uważam, żeby podawanie obecnych preparatów miało sens, bo nie są one sku-

teczne w obronie przed wirusem. Osoby, które przyjęły trzy dawki szczepionki, nadal zarażają się koronawirusem, nadal transmitują wirusa, zarażając innych oraz same chorują. Te szczepionki zatem nie chronią. Ponieważ wstrzykiwane są domięśniowo, krążą po całym organizmie, wyrządzają dużą szkodę u wielu ludzi – i nie ma sensu ani korzyści, by je podawać. Istnieje za to ogromne ryzyko, bo są one eksperymentalne. Nazywane są terapią genową, gdyż wstrzykuje się kwas nukleinowy, który wędruje do naszych komórek, a one zaczynają produkować białko, którego nigdy wcześniej nie produkowały. Po przyjęciu tego zastrzyku stajemy się genetycznie zmodyfikowanymi organizmami. Uważam, że to jest wielki eksperyment, a my go tolerujemy, bo powiedzieli nam, że to pomoże.

Wielu ekspertów powie, że wyznaje pan teorie spiskowe, a szczepionki są najlepiej przebadanymi preparatami i nie można ich utożsamiać z terapią

genową. WHO szacuje, że w ciągu jednego roku tylko w Europie szczepionki uratowały przed śmiercią blisko pół miliona osób. Raporty dotyczące ochrony, jaką dają szczepionki, mówią, że przy trzech dawkach ich skuteczność sięga 94 proc. Czy te dane pana nie przekonują?

Oni po prostu kłamią. Nie ma takiego dowodu, popartego badaniami naukowymi, który mogliby okazać, by uwiarygodnić te dane, które pani przytoczyła. To jest niemożliwe. Jeśli oceniamy skuteczność tych zastrzyków, to w badaniach klinicznych dowiedziono, że w grupie osób zaszczepionych liczącej ok. 20 tys. osób otrzymano ok. ośmiu przypadków z pozytywnym wynikiem testu PCR, natomiast w grupie kontrolnej ok. 20 tys. uczestników otrzymano 140 przypadków z pozytywnym wynikiem testu PCR. Więc opowiadają, że szczepionki mają 95 proc. skuteczności. Ale jeśli spojrzymy na różnicę 140 i 8, to trzeba widzieć całość, trzeba zauważyć, że zaszczepili 20 tys. ludzi, aby mieć mniej o 140 osób zainfekowanych. Więc to jest zaledwie 0,7 proc. prawdziwej skuteczności – czyli to, co podają, jest kłamstwem. Trzeba zaszczepić więcej niż 100 osób, aby zapobiec jednemu przypadkowi infekcji – to pokazują ich własne badania. Zawsze opowiadają o względnym wyniku, ale nie mówią o absolutnej ochronie. Tymczasem większość ludzi jest odporna na wszystkie koronawirusy, bo je już zna, dzięki odporności krzyżowej. Wirusolog dr Christian Drosten sam powiedział: „Lepiej, jeśli przejdiesz infekcję, niż dostaniesz zastrzyk”.

W Polsce w grudniu 2020 r. ruszył program szczepień. Czy są badania kliniczne dotyczące ich bezpieczeństwa oraz długofalowych następstw podawania tych preparatów?

Jeden z największych inwestorów programu szczepień – Bill Gates – od razu mówił, że musi zaszczepić 7 mld ludzi na Ziemi. Powstał program, zostały podjęte przygotowania do wdrażania szczepień. Później Gates powiedział, że następna pandemia będzie jeszcze gorsza. Chodzi o to, aby dystrybuować te szczepionki na masową skalę, bo jest to bardzo dobry interes dla przemysłu farmaceutycznego i dla inwestorów. Dlatego chcą sprzedawać ich tak dużo, jak to możliwe. Aby interes się kręcił, muszą trzymać nas w nieustannym strachu z powodu wirusa. To dlatego opowiadają o zagrożeniu ze strony nowych wariantów – ale nie ma żadnego dowodu, że nowe warianty

są bardziej niebezpieczne niż inne koronawirusy. Istnieje odporność stadna w populacji i to jest powód, dlaczego całkowita skuteczność szczepień jest tak mała, a zmniejszenie ryzyka – minimalne. To, co można dodać do odporności przy pomocy tego niebezpiecznego szczepienia, to mniej niż 1 proc., czyli bardzo mało. I to pokazują wyniki badań klinicznych. Zmniejszenie całkowitego ryzyka zachorowania o 0,7 proc. nie jest warte tak wielkiej akcji szczepieniowej.

Jednak powszechnie się uważa, że może szczepionki nie chronią przed zachorowaniem, ale pozwalają uniknąć ciężkiego przebiegu, powikłań i zgonu.

W badaniach klinicznych nie ma na to dowodów. Słyszymy, że w szpitalach większość chorych na COVID-19 to niezaszczepieni. Tyle że osoba w ciągu dwóch pierwszych tygodni po zaszczepieniu nie jest zaliczana do zaszczepionych. Jeśli więc ktoś przyjmuje zastrzyk i pojawia się odczyn niepożądany w pierwszych dwóch tygodniach, to mówi się, że choruje człowiek niezaszczepiony. To jest bardzo nieuczciwy trick, bo wiadomo, że niepożądane odczyny poszczepienne występują bardzo wcześnie. Wszystkie choroby występujące po szczepieniu, np. zapalenie mięśnia sercowego, problemy płucne i immunologiczne, zwała się na konto niezaszczepionych.

W niemal każdym przekazie medialnym słyszymy, że szczepionki ratują życie. To zachęca ludzi do ich przyjmowania, jednak nic nie słyszymy o działaniach niepożądanych.

Właśnie, szkoda, że tak mało mówi się o komplikacjach związanych z przyjęciem szczepionki. Jest tego mnóstwo, długo by wyliczać: zakrzepy, zatęchłe płucne, małopłytkowość immunologiczna, zapalenie mięśnia sercowego... i wiele innych. A słyszymy, że umierają głównie niezaszczepieni. Wielu ludzi umiera w słusznym wieku 85 lat, mając pozytywny test PCR. Tak, jak to było zawsze, umierają na zawał serca, na udary, z powodu innych chorób – ale dodatkowo wyszedł im pozytywny test PCR. Nie możemy jednak stwierdzić, czy to jest COVID-19 czy tylko fałszywie dodatni wynik testu. Te testy nie są standaryzowane, a pozytywny wynik nie zawsze oznacza COVID. To nie to samo. To, co oni liczą, to testy PCR, a to, co powodują szczepionkami, to komplikacje związane z przyjęciem szczepionki.

Czy pana zdaniem szczepienia przeciwko COVID-19 nie służą zdrowiu?

Są niebezpieczne i niewskazane. Istnieje odporność organizmu, a odporność wywołana przez tzw. szczepionkę nie zapobiega infekcji, nie powstrzymuje szerzenia się infekcji – więc jest bezużyteczna, a wręcz niebezpieczna. Powstaje syndrom niedoboru odporności wywołany szczepieniem. W wyniku tego ciało nie broni się przed rozwijającą się chorobą nowotworową, przed wirusami opryszczki, przed półpaścem (aktualnie mamy nagły wzrost zachorowań na półpaśca u ludzi, którzy przyjęli szczepionkę). Są onkolodzy, którzy mówią, że zaszczepione osoby, które chorowały na nowotwór, mają nawrót choroby, pojawiają się nowe przypadki nowotworów. Jest teraz plaga chorób autoimmunologicznych. Istnieje więc wiele znaków, które można także zauważyć w laboratorium, np. spadek poziomu limfocytów T, co widać we krwi. To bardzo zły objaw. Mamy sygnały, że układ odpornościowy jest osłabiony, co wydaje się bardzo poważnym skutkiem podawania szczepionek.

Czy więc według pana osoby niezaszczepione są lepiej chronione przed zachorowaniem na COVID-19?

Tak. Zbędne jest podawanie szczepionki przeciw COVID-19 czy przeciw grypie. Obie szczepionki nie mają sensu. W przypadku grypy – bo nie wiemy, czy stare badania kliniczne są nadal ważne w kolejnym sezonie (wykonujemy badania kliniczne na starym wirusie grypy, a w kolejnym sezonie jest nowy wirus). Zawsze wygląda to tak samo: nie jesteśmy w stanie dowiedzieć się z wyprzedzeniem w badaniu klinicznym, jaki wirus będzie panować w kolejnym sezonie. Więc po co ją podawać? Nie ma sensu podawanie żadnej szczepionki przeciwko wirusowi układu oddechowego! Wszystkie instytucje wiedzą, że po tym zastrzyku są produkowane białka kolca spike, wiedzą, że są bardzo toksyczne, powodują zakrzepy krwi, niebezpieczne reakcje immunologiczne. Nie należy potem przez jakiś czas oddawać krwi czy pobierać organów do transplantacji. Znam przypadek młodego mężczyzny, 24-latkę, który zmarł dwa tygodnie po szczepieniu, a jego organy zostały użyte do transplantacji. Był to młody zdrowy mężczyzna, zmarł po tym zastrzyku. Jego rodzina chciała przeprowadzenia badania patologicznego,

■ ale nie wykonano go i ze zmarłego po prostu zrobiono dawcę organów.

Słyszałam o przypadku w Bostonie, gdzie pacjent został skreślony z listy oczekujących na przeszczep serca z powodu braku szczepienia. W Polsce mieliśmy zaś jeden z najwyższych wskaźników zgonów wynikających m.in. z nieudzielenia pomocy pacjentom niezaszczepionym, zamykania oddziałów szpitalnych, odwoływania planowych zabiegów.

Dlaczego ludzie nie mogą przyjść do szpitala, jeśli nie są zaszczepieni lub nie mają testu PCR? To jest kryminał, karygodne działanie przestępcze niemające nic wspólnego z medycyną. Jako lekarz nie jestem w stanie wyjaśnić takiego zachowania. Mówi się, że pandemia przychodzi falami – ale to nie pandemia, to wirus przychodzi falami w sezonie zimowym. W Australii zawsze więc przychodzi w innym czasie niż w Europie. Wirus jest zawsze tam, gdzie ma lepsze warunki – a warunki do rozprzestrzeniania się wirusa układu oddechowego są korzystniejsze w sezonie zimowym, co wiemy od zawsze.

Czy jest pan przeciwnikiem wszelkich szczepień? Także szczepień dzieci?

Widzę, jak są prowadzone programy szczepieniowe. Sam osobiście byłem za nie odpowiedzialny. Szczepiłem ludzi przeciwko wielu chorobom, dzieci również. Zawsze byłem krytyczny i zawsze chciałem, aby decyzja o szczepieniu była oparta na indywidualnym wskazaniu. Konieczna jest rozmowa z daną osobą na temat jej stylu życia, istniejącego ryzyka, chorób itp. Musisz się zaznajomić z sytuacją osoby, której masz podać zastrzyk. Istnieją pewne szczepionki, o których myślę, że mogą być przydatne w przyszłości. Nie jestem antyszczepionkowcem, realizowałem programy szczepieniowe, ale stałem się sceptyczny w ciągu ostatnich 30 lat. Można było zauważyć, że biznes wymyśla ryzyko, wymyśla nowe choroby i straszy ludzi, by sprzedawać szczepionki. Nie ma to nic wspólnego ze zdrowiem. Głównym zainteresowaniem przemysłu nie jest zdrowa populacja, ich zainteresowaniem są interesy udziałowców. Dlatego staję się coraz bardziej sceptyczny. Coraz trudniej dowiedzieć się prawdy, bo to biznes wpływa na naukę, finansuje badania kliniczne i nie publikuje tego, co nie jest po jego myśli. Doświadczaliśmy wielu skandali w przemyśle farmaceutycznym, wielu ludzi zmarło przez ich przestępcze

działania. Były kary, musieli zapłacić miliardowe odszkodowania. To przestępcze działanie, biznes do zarabiania pieniędzy, niemający nic wspólnego ze zdrowiem. Nie ufam przemysłowi szczepionkowemu, oni są siewcami strachu. Nie mam nic przeciwko szczepieniu ludzi, jeśli to ma sens, jeśli jest poparte wiedzą opartą na dowodach naukowych. Gdy wywiad lekarski z danym człowiekiem jest dobrze przeprowadzony, gdy się z nim w ogóle rozmawia, to mogą zaistnieć wskazania do szczepienia. Ale to, co dzieje się teraz, nie ma nic wspólnego z normalną medycyną świadomą swojej funkcji.

Gdy do pracy nie można wejść bez okazania paszportu covidowego, to ludzie się szczepią. Szczepią się również dlatego, że chcą wyjechać na wakacje.

Tak, jeśli jesteś posłuszny, to możesz robić rzeczy, których nie mogą robić inni. Masz pewne przywileje, możesz wyjechać na wakacje, iść do biura. Kiedy to robisz, po prostu wspierasz ten teatr i będzie on trwał długo. Normalnie, żeby się dowiedzieć, czy coś jest użyteczne czy nie, potrzebujemy więcej niż 10 lat. Trzeba poznać zalety i wady, oszacować, jakie ryzyko może wystąpić, jakie długoterminowe skutki mogą się pojawić. Musimy to obserwować kilkanaście lat – i tak powinny być badane nowe szczepionki, ale badano je w ciągu kilku miesięcy. Czas obserwacji był zbyt krótki, aby stosować je na całej populacji, na wielu milionach ludzi. To jest wielkie ryzyko. Stworzono po prostu jakiś model biznesowy dla sponsorów, żeby sprzedawać szczepionki w każdym sezonie, znowu i znowu.

To co pan proponuje zamiast szczepień?

Spróbujcie coś zrobić dla swojego zdrowia. Zimą można brać witaminę D, a w ciągu dnia dobrze jest przebywać na zewnątrz. Zdrowo się odżywiajcie, wysypiajcie. Zapomnijcie o narracji, którą chcą nam sprzedać. A politykom, którzy wywierają na nas presję, powinniśmy dać znać, że nie będziemy już na nich głosować. Mamy taką możliwość, bo nadal jeszcze żyjemy formalnie w demokracji, choć doświadczamy totalitarnych zachowań naszych rządów. Nie po to na nich głosowaliśmy. Musimy używać naszych mózgów i nie ma potrzeby, aby się bać. Jedynie, czego należy się bać, to głupoty i korupcji.

Czy przypadkiem nie głosi pan teorii spiskowych po to, by zarabiać na własnych książkach?

Nie, straciłem wszystkie moje prace, bo starałem się pozostać w zgodzie z prawdą, mówić, co myślę, i to publikować. Mówiłem to samo, co teraz, w przypadku świńskiej grypy, kwestionowałem decyzje wielu ludzi, jednak nie chciano słuchać. Przy świńskiej grypie zakupiono niepotrzebnie 15 mln dawek szczepionek.

Podczas epidemii ptasiej grypy w latach 2005–2009 powiedziano, że umrą miliony ludzi, ale zmarło mniej niż tysiąc osób na całym świecie. Tak samo było ze świńską grypą. A my wydaliśmy krocie na te bezsensowne szczepionki. Po ich podaniu tysiące dzieci ucierpiały, zachorowały na narkolepsję. Wiedziałem, że to się tak skończy, więc mówiłem o tym i publikowałem. Teraz także zadaję pytania i eksploruję temat – jak wtedy, gdy pracowałem dla Transparency i zwalczałem korupcję. Wtedy byłem jednak zapraszany do dużych stacji telewizyjnych, teraz już nie, bo tam nie pasuję. Wielkie stacje telewizyjne podążają za narracją biznesu.

Uważam, że jest to bardzo niebezpieczna sytuacja, bo nauka przestała być wolna. Zadaniem nauki jest wątpić, a będąc naukowcem, musisz zadawać pytania, stawiać hipotezy. Nauka nie jest kwestią wiary, nie ma nic wspólnego z wierzeniem. To, co się dzieje, to jest dogmat, który nie ma nic wspólnego z nauką. Ja staram się rozpowszechniać wiedzę. Moją misją jest leczyć ludzi, chronić ich przed infekcjami, robię to całe życie. Jako lekarz muszę wiedzieć, co się dzieje w epidemiologii, wirusologii, znać szczegóły i pytać specjalistów, by właściwie leczyć ludzi. Mam holistyczną wiedzę, którą próbuję się dzielić. Apeluję: nie musicie się bać, otwórzcie oczy, zachowujcie się racjonalnie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



dr med. Wolfgang Wodarg

– niemiecki internista i pulmonolog, specjalista w zakresie higieny i medycyny środowiskowej oraz zdrowia publicznego i medycyny społecznej. W latach 1994–2009 był posłem do Bundestagu (SPD), inicjatorem i rzecznikiem komisji „Etyka i Prawo Współczesnej Medycyny” oraz członkiem Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy, gdzie przewodniczył podkomisji ds. zdrowia.

RYSZARD GROMADZKI: Dlaczego sprawa o tak fundamentalnym znaczeniu jak reparacje od Niemiec idzie w Polsce jak po grudzie?

PROF. WALDEMAR GONTARSKI: Czuję się zupełnie osamotniony w tej sprawie.

Jak to?

No tak. Zaczęło się od tego, że przed przystąpieniem Polski do Unii Europejskiej przygotowałem dla Sejmu, w czasach, kiedy jego marszałkiem był Józef Oleksy, opinię prawną w sprawie reparacji wojennych od Niemiec, wzywającą rząd do podjęcia działań prawnych wobec Niemiec w tej sprawie. Później prowadziłem korespondencję w tej kwestii z polskim MSZ.

W 2017 r. naszym dyplomatą przekazałem list, który otrzymałem od ówczesnego ambasadora Niemiec w Polsce, Rolf'a Nickela. Uprzednio skierowałem do niemieckiego ambasadora ostry w tonie list, oparty na moich doświadczeniach osobistych. W odpowiedzi ambasadora Nickela znalazł się nowy akcent. Władze Niemiec wcześniej utrzymywały, że poczuwają się do odpowiedzialności politycznej i moralnej, ewentualnie historycznej, za szkody wyrządzone w Polsce podczas drugiej wojny światowej – albo ogólnie za drugą wojnę światową. W liście ambasadora Nickela znalazło się stwierdzenie, że teraz Niemcy poczuwają się również do odpowiedzialności finansowej. Dysponuję takim stanowiskiem ambasady Niemiec w języku polskim i niemieckim. Napisano tam wprost, że Niemcy poczuwają się politycznie, moralnie i finansowo do odpowiedzialności za straty, które spowodowali w Polsce w czasie drugiej wojny światowej. Jednocześnie w liście tym powtórzono stanowisko niemieckie w sprawie zrzeczenia się odpowiedzialności prawnej w związku z rezygnacją przez Polskę z reparacji w 1953 r.

We wspomnianej korespondencji z października 2017 r. z polskim MSZ powołałem się na pamiętniki Horsta Teltschika, byłego szefa Urzędu Kanclerskiego w czasach Helmuta Kohla i jego wieloletniego głównego doradcy w sprawach polityki zagranicznej. W pamiętnikach Teltschika znalazłem dalsze dowody na stosowanie przez kanclerza Niemiec Helmuta Kohla przymusu prawnego wobec Polski w 1990 r., przed zakończeniem negocjacji w sprawie układu 2 + 4 w związku ze zrzeczeniem się reparacji wojennych przez Polskę. Zresztą z zapiskami z pamiętników Teltschika bardzo dobrze

koresponduje publikacja „Der Spiegel” opisująca kulisy negocjacji z 1990 r.

Artykuł „Spiegla” także dotyczy wymuszenia na Polsce rezygnacji z reparacji od Niemiec?

Dowiadujemy się z niego, że ówczesny prezydent Francji François Mitterrand miał wielkie pretensje do prezydenta Niemiec Richarda von Weizsäckera z powodu postawy kanclerza Kohla. Mitterrand obiecał Kohlowi pełne poparcie dla jego polityki zjednoczenia Niemiec, pod

się od ambasady Niemiec? Że trzeba policzyć szkody, co zrobiła teraz komisja pana posła Mularczyka. Wcześniej była uchwała Sejmu o wystąpieniu w sprawie reparacji do rządu Niemiec, której projekt przygotowałem, przyjęta zresztą prawie jednogłośnie, przy zaledwie jednym głosie sprzeciwu. Wtedy trzeba było pójść za ciosem.

Rząd Niemiec konsekwentnie ignoruje polskie roszczenia dotyczące reparacji, powołując się na



Z prof. Waldemarem Gontarskim, adwokatem, rektorem Europejskiej Wyższej Szkoły Prawa i Administracji w Warszawie, autorem opinii prawnej w sprawie polskich praw do reparacji od Niemiec

rozmawia Ryszard Gromadzki

Z Niemcami trzeba rozmawiać twardo

warunkiem że kanclerz uzna bezwarunkowo granice na Odrze i Nysie. Kohl przystał na to, lecz za jakiś czas zgłosił zastrzeżenie i zażądał od Warszawy zrzeczenia się reparacji. Z relacji „Spiegla” wynika, że nieprawdą jest, jakoby w 1990 r. Polska zrzekła się reparacji od Niemiec. Gdyby tak było, Kohl bezwarunkowo uznałby naszą zachodnią granicę.

Mam na piśmie stanowisko ambasady Niemiec, są pamiętniki Teltschika, jest publikacja „Der Spiegel”. I co? I nic. Polska nic w tej sprawie nie zrobiła. Krew mnie zalewa, bo przecież odpowiedź ambasadora Nickela otworzyła nam wrota do reparacji. Czego dowiedziałem

umowę z 1953 r., na mocy której Polska zrzekła się tych reparacji. Panie profesorze, czy mamy argumenty prawne, które pozwolą uzyskać od Niemiec reparacje za masowe zbrodnie i zniszczenia, których dopuścili się w Polsce w czasie drugiej wojny światowej?

Przywołam pewne zdarzenie sprzed lat. W czasach, kiedy MSZ kierował Adam Rotfeld, opublikował on białą księgę dotyczącą stosunków polsko-niemieckich. Prezentację księgi przygotował Polski Instytut Spraw Międzynarodowych. Przechodziłem akurat koło siedziby Polskiej Agencji Prasowej, gdzie publikacja miała być prezentowana, kiedy spotkałem pana ministra Rotfelda, który zaprosił mnie

na prezentację. Nie kwapiłem się, bo jeden z autorów białej księgi stosunków polsko-niemieckich nazwał mnie kiedyś „prawnikiem niewiadomego pochodzenia”, ale minister Rotfeld nalegał, więc wszedłem. Co się okazało? Wspomniany profesor był wymieniony w Komitecie redakcyjnym księgi, ale nie zawierała ona jego tekstu. Profesor Rotfeld wyrzucił jego tekst atakujący mnie za opinię na temat reparacji od Niemiec, której konkluzją było stwierdzenie, że zrzeczenie się przez rząd PRL reparacji od Niemiec w 1953 r. było nieważne, bo dokonano się pod sowieckim przymusem. Zamiast tego w księdze znalazł się tekst nieżyjącego już, nieodżałowanego pana profesora Jana Santorskiego, wielkiego znawcy prawa międzynarodowego publicznego z Poznania. Co ciekawe, polskiego profesora, który wykonywał zawód adwokata w Niemczech. Napisał on, że w sporze Gontarski vs. prof. Władysław Czapliński rację ma Gontarski. Santorski przytoczył m.in. pogląd doktryny angielskiej, według której, jeśli zrzeczenie nastąpiło pod przymusem, jest ono nieważne, a roszczenie się nie przedawnia. Autorem tej wykładni był brytyjski profesor, który był prezesem Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu. W tej sytuacji, nawet jeśli uznamy, że tzw. uchwała Bieruta miała miejsce, z mocy prawa jest ona nieważna i powtarzane przez Niemcy stanowisko o rzekomym skutecznym polskim zrzeczeniu się reparaacji nie ma sensu prawnego.

Mówi pan, że w sprawie reparacji od Niemiec nie poszliśmy za ciosem, choć jest grunt prawny, żeby to zrobić.

Niemcy byli gotowi załatwić tę sprawę. Był taki case honorowy dotyczący polskich żołnierzy walczących w kampanii 1940 r. we Francji z Niemcami. Ci żołnierze trafili następnie do Szwajcarii, gdzie zostali internowani. Po wojnie Szwajcarzy wystawili Francuzom rachunek za ich utrzymanie, uznając, że jeśli Francuzi nie chcą zapłacić za pobyt Polaków w ich kraju, to naruszają prawo międzynarodowe. Odpowiedź Francuzów przekazana Szwajcarom była krótka: „Wy się od nas pod względem prawnym odczepcie. Ponosimy odpowiedzialność finansową za pobyt Polaków, ale nie prawną”. Co to znaczy? Francuzi zapłacili Szwajcarom za pobyt Polaków. Kierując się tym przypadkiem opisanym w podręcznikach prawa międzynarodowego, wszyscy wiedzą, że gdyby Francja nie chciała zapłacić Szwajcarii za Polaków,



którzy walczyli w jej obronie, byłby to delikt z zakresu prawa międzynarodowego. Ale Francuzom chodziło o to, żeby im nie przypisać jakiegokolwiek bezprawności. Tak samo w przypadku reparacji od Niemiec. Uzyskałem do ambasady Niemiec przyznanie się do odpowiedzialności finansowej. To znaczy, żeby pójść za ciosem, trzeba było wyliczyć szkody spowodowane przez Niemców, tak jak mówiła uchwała Sejmu, której projektem byłem autorem. Następnie powinniśmy przygotować skargę do Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości, ale nie iść tam z tą skargą, bo Niemcy nie chcą mieć niekorzystnego dla siebie wyroku.

Powinniśmy dogadać się z nimi w ramach jakiejś formy ugody przedsądowej, żeby nam zapłacili. Wtedy można było to zrobić. Odniosłem, nie chwając się, największy sukces jako osoba fizyczna.

Uzyskał pan na piśmie coś, czego nie uzyskał rząd...

Co z tego, skoro nic z tym nie zrobiono? Mam do tego bardzo osobisty stosunek. Rozmawiałem z ambasadorem Niemiec bez ogródek. Napisałem: „Panie ambasadorze, piszę do Pana tylko dlatego, że jestem blondynem. W mojej rodzinie byli blondyni, dlatego nie zostali przeznaczeni do obozu koncentracyjnego, tylko



FOT. PIOTR KOWALCZYK / SE EAST NEWS

drodze, gdy ktoś zmarł, żywi „podróżowali” z trupami, a przypadki śmiertelne były praktycznie w każdym wagonie. Tam na rampie kolejowej, co opowiadał mi ojciec, a w pamiętnikach opisał stryj, doktor nauk weterynaryjnych, esesman, wskazywał, która rodzina idzie do bauera, a która do fabryki. Gdyby wskazał, że moja rodzina idzie do fabryki, pewnie byłiby zakatowani. A bauer traktował ich jak bydło, ale bydła się nie zabija, jeśli jest potrzebne w gospodarstwie. Według ambasady niemieckiej mój ojciec – albo ja jako spadkobierca – mogliśmy dostać pieniądze z Fundacji Polsko-Niemieckie Pojednanie. Tyle że w tej sprawie negocjowali polscy profesorowie, którzy byli stypendystami fundacji niemieckich. Negocjowali w taki sposób, że warunkiem otrzymania tej jałmużny, na którą złożył się przemysł niemiecki korzystający z przymusowej pracy Polaków, było dożycie 90 lat. A że mój ojciec był źle traktowany przez Niemców za to, że nie chciał chodzić do niemieckiej szkoły i się zniemczyć poprzez wpisanie na listę folksdojców, później po powrocie do Polski w wieku 25 lat zachorował na gruźlicę i zmarł w 1984 r. w wieku 50 lat. To, co wynegocjowali polscy profesorowie, było wbrew logice. Przecież jeśli ktoś gorzej był traktowany przez barbarzyńców niemieckich, ten żył krócej. Przy pomocy takich twardych argumentów jako osoba prywatna ustaliłem z Niemcami, że ponoszą oni odpowiedzialność finansową za polskie straty w czasie drugiej wojny światowej.

Dokument, który pan wynegocjował z niemieckim ambasadorem, może być nadal podstawą prawną naszych roszczeń dotyczących reparacji?

Oczywiście, tylko nie używajmy słowa „wynegocjował”. Występowałem jako osoba prywatna i taką chcę koniecznie pozostać. Jest też świadectwo wspomnianego prof. Teltschika, doradcy Kohla. On żyje i z tego, co też ustaliłem, chce zeznawać na korzyść Polski.

Powtórzę pytanie: Dlaczego tak ciężko nam ruszyć z miejsca w sprawie reparacji?

To jakaś hucpa. Inna rzecz, że kwestia reparacji jest domeną prawa międzynarodowego publicznego. Ale jako obywatel Polski powinienem mieć prawo pójść do polskiego sądu i domagać się odszkodowania od Niemiec za krzywdy doznane przez moją rodzinę podczas drugiej wojny światowej. W sądzie niemieckim nie mogę złożyć pozwu. Wbrew elementarnej

praworządności tamtejszy Trybunał Konstytucyjny wyeliminował taką możliwość. A u nas Sąd Najwyższy wyinterpretował immunitet państwa niemieckiego! Namówiłem, jednak w sumie bezskutecznie, grupę posłów, żeby wnieśli do Trybunału Konstytucyjnego wniosek o wyrok interpretacyjny w sprawie tego haniebnego immunitetu. O tym, że niemiecka demokracja jest niepraworządna, mówię w pełnym osamotnieniu. Nie stoi za mną, jako obywatelem RP, np. polskie SN czy TK, milczą inni profesorowie... Wszystko kończy się więc tak jak w tym roku, kiedy zebrał się zarząd federalny stowarzyszenia sędziów niemieckich i wydał uchwałę potępiającą prof. Waldemara Gontarskiego. W ten sposób chcą najwyraźniej wyeliminować mnie z międzynarodowego obrotu naukowego. Wracając do reperacji, jeśli nie zinstytucjonalizujemy tej sprawy, czyli dopóty, dopóki nie powołamy pełnomocnika Rzeczypospolitej Polskiej

Powtarzane przez Niemcy stanowisko o rzekomym skutecznym polskim zrzeczeniu się reparacji nie ma sensu prawnego

ds. reparacji wojennych od Niemiec, nie powołamy komisji polsko-niemieckiej ds. reparacji wojennych od Niemiec, nawet gdy na początku z ich strony nikt nie wejdzie w jej skład – ale to ich problem – znowu nic z tego nie wyjdzie. Za kilka lat możemy powtórzyć ten wywiad. Tak jak dzisiaj można powtarzać moje wywiady na ten temat, udzielane prasie polskiej przed laty. Tygodnik „Der Spiegel” już klika lat temu obiecał mi publikację, ale jeszcze się jej nie doczekałem, chociaż temat jest wiecznie żywy – więc może kiedyś, skoro Niemcy tyle mówią o wolności słowa jako składniku koniecznym demokracji utrwalonej... Czas działa na niekorzyść Polski, odchodzą z tego świata naoczní świadkowie, nie ma też już wśród nas pana profesora Jana Santorskiego, a sam temat reparacji staje się dla wielu czymś anachronicznym.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

do zniemczenia. Mój ojciec jako »dziecko Zamojszczyzny« trafił przez obóz infiltracyjny w Zwierzyńcu do Niemiec na germanizację. Pozostali mieszkańcy z Jego miejscowości trafili do obozu koncentracyjnego na zakatowanie”.

Moja mama też była „dzieckiem Zamojszczyzny”. Wysiedlona w czerwcu 1943 r. z Luchowa Górnego, rodzinnej wsi koło Tarnobrodu, przez obóz przejściowy w Zamościu trafiła z rodziną na roboty przymusowe w Niemczech...

Mój ojciec pochodził ze wsi Zamch, poczta Obsza, gmina Łukowa. Wraz z innymi Polakami zostali przewiezieni w wagonach bydłowych do Kolonii. Po

Redakcja dysponuje kopią dokumentu otrzymanego przez prof. Waldemara Gontarskiego od ambasady Niemiec w Warszawie.



Łukasz Warzecha



Polska nie ma narzędzi prawnych pozwalających nam wymusić na Niemczech wypłatę jakichkolwiek pieniędzy

Gdyby Jarosław Kaczyński i PiS myśleli serio o uzyskaniu od Niemiec jakiejś formy odszkodowań za szkody poniesione przez Polskę w wyniku niemieckiej napaści, to już dawno działaliby w tej sprawie znacznie skuteczniej, niż robi to etatowy specjalista od reparacji w PiS poseł Arkadiusz Mularczyk. Jednak wszystko, co wokół tematu reparacji wydarzyło się w ciągu ostatnich siedmiu lat, wskazuje, że nie chodzi o to, by cokolwiek osiągnąć, a jedynie o to, żeby grać tematem. I to wyłącznie na użytek wewnętrzny, nawet nie w relacjach z Niemcami – co być może miałyby jakiś sens.

Niedawno poseł Mularczyk zapowiedział, że przedstawi raport na temat polskich szkód wojennych (ale oczywiście tylko tych poniesionych ze strony niemieckiej) 1 września. Niby termin jest konkretny, ale bardzo trudno w tę obietnicę uwierzyć, wzięwszy pod uwagę, że Mularczyk datę prezentacji rzekomo już gotowego raportu przesuwiał w przeszłości co najmniej kilkakrotnie. Z kolei Jarosław Kaczyński miał podnieść tę kwestię podczas spotkania z Friedrichem Merzem, szefem CDU, gdy ten niedawno odwiedził Polskę. Kierownictwo PiS skwapliwie poinformowało o tym, że prezes partii podkreślił konieczność uregulowania tej sprawy, ale niestety nie podało już, jaka była odpowiedź. Być może dlatego, że wcale jej nie było. Prawda jest bowiem taka, że Polska nie ma narzędzi prawnych pozwalających nam wymusić na Niemczech wypłatę jakichkolwiek pieniędzy.

ZWYCIĘŻENI ZWYCIĘZCOM

Rządzący od lat mają obywateli, używając tematu reparacji. Tymczasem reparacje to termin mający konkretne znaczenie w prawie międzynarodowym. Reparacje oznaczają rodzaj odszkodowania, jakie zwyciężony wypłaca zwycięzcom za poniesione przez nich straty. Reparacje właściwie zawsze były uzgadniane w ramach traktatów pokojowych lub odręb-



Uciekające reparacje

nych umów bezpośrednio albo wkrótce po zakończeniu wojny, nie zaś kilka dekad po tym fakcie. Na przykład nad reparacjami, które miały zapłacić Niemcy po pierwszej wojnie światowej, obradowała specjalna komisja, która ostatecznie zdecydowała o ich wysokości w 1921 r. Orzeczona suma była gigantyczna: 132 mld marek w złocie, z czego trochę ponad połowę miała otrzymać Francja. Niemcy ostatnią ratę reparacji spłaciły... w 2010 r. Przy czym nie regulowały oczywiście swoich zobowiązań cały czas. W 1933 r. spłaty zakończyła decyzja Hitlera o wypowiedzeniu traktatu wersalskiego. Niemcy ponownie zaczęły spłacać swoje zobowiązania za pierwszą wojnę światową dopiero w 1952 r.

Decyzja o niemieckich reparacjach za drugą wojnę światową zapadła również zaraz po wojnie, na konferencji w Poczdamie, i została w niej uwzględniona Polska. Ogólna kwota reparacji miała wynosić 20 miliardów ówczesnych dolarów (dziś, uwzględniając inflację, wartych blisko 300 mld dol.). Polskie roszczenia miały być zaspokojone z sowieckiej puli, określone

na ok. 10 mld dol. Mieliśmy z niej otrzymać 15 proc., czyli ok. 1,5 mld dol. (dzisiaj wartość 45 mld dol., a więc ok. 210 mld zł). Dla porównania: dochody polskiego budżetu (tego oficjalnego) w tym roku zgodnie z założeniami budżetu miały wynieść 491 mld zł. Mówimy zatem o sumie ponaddwukrotnie mniejszej.

CIĄGŁOŚĆ PRAWNA Z PRL

Tych pieniędzy w większości nie zobaczyliśmy na oczy w wyniku bardzo niekorzystnych ustaleń ze stroną sowiecką, która po prostu nie przekazywała nam tego, co się nam ze wspólnej puli należało. Ostatecznie – i to jest podstawowy argument Berlina – w 1953 r. Rada Ministrów rzekła się pozostałych do spłaty reparacji. Ślady po tej decyzji w postaci dokumentów są w archiwach kancelarii premiera, a także w wystąpieniach polskich przedstawicieli w Zgromadzeniu Ogólnym NZ. Mularczyk i inni zwolennicy tezy, że reparacje nam się wciąż należą, wskazują, że decyzja o zrzeczeniu się ich została podjęta pod sowieckim naciskiem i w wa-

runkach ograniczonej suwerenności. Mają oczywiście rację – tylko że nic z tego nie wynika dla sprawy.

III RP nie zerwała bowiem ciągłości prawnej z Polską Rzeczpospolitą Ludową – uznała się za jej kontynuatora. Miało to sens, ponieważ oznaczało, że pozostają w mocy liczne umowy, które zawierała PRL. Ale też pozostawały w mocy decyzje takie jak ta dotycząca zrzeczenia się reparacji od Niemiec. Państwo, które uznaje się za sukcesora prawnego innego państwa (takie sytuacje były bardzo liczne w warunkach przełomu, na początku lat 90.), nie może sobie dowolnie wybierać, jakie decyzje będzie chciało uznawać, a jakich nie. Albo bierze się wszystko z dobrodziejstwem inwentarza, albo nic. Gdybyśmy zaczęli dowodzić, że niektóre z decyzji podejmowanych przez władze PRL można wzruszyć, moglibyśmy otworzyć puszkę Pandory.

Na początku lat 90. Polska wykonała jeszcze jedno posunięcie istotne z punktu widzenia problemu z reparacjami: ograniczyła jurysdykcję Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości w Hadze względem spraw nas dotyczących do tych wynikłych po 1990 r. Mieliśmy prawo tak zrobić – podstawę do tego daje art. 36 Statutu MTS, który stwierdza, że trybunał może rozpatrywać jedynie te sprawy, które zechcą poddać pod jego osąd państwa. Polska podjęła decyzję wynikającą z ostrożności, ale tym samym wyłączyła możliwość postawienia kwestii reparacji przed tym międzynarodowym sądem. W owym czasie zresztą w ogóle o tym nie myślano.

GRECY TEŻ CHCĄ PIENIĘDZY

Poseł Mularczyk wielokrotnie wspominał o Grecji jako o przykładzie innego państwa, domagającego się stanowczo wypłacenia przez Niemcy odszkodowań. W kwietniu 2019 r. grecki parlament faktycznie zażądał od Niemiec wypłacenia niemal 340 mld dol. Rząd Niemiec stwierdził w odpowiedzi, że zaspokoił już greckie roszczenia, wypłacając na początku lat 60., na podstawie dwustronnego porozumienia, 115 mln marek. Wówczas było to niespełna 28 mln dol., dziś wartych ok. 250 mln dol., a więc suma o rząd wielkości mniejsza niż ta, której dziś domaga się Ateny. Grecy odpowiadali, że tamte pieniądze były tylko „zadatkiem”, a nie całością należnych reparacji. Niemieckie władze utrzymywały zaś, że kwestię reparacji dla Grecji zamknął ostatecznie

traktat „dwa plus cztery” z 1990 r., choć nie wspominał wprost o reparacjach.

Grecja swoje żądania ponowiła w kwietniu ubiegłego roku. Jakieś nadzieje Atenom może dawać raport Bundestagu z 2019 r., w którym eksperci niemieckiego parlamentu stwierdzili, że greckie żądania mają uzasadnienie, a niemieckie stanowisko jest prawnie spójne, ale nie jest jedynym możliwym.

Poseł Arkadiusz Mularczyk zdaje sobie oczywiście sprawę, że sytuacja Polski jest zasadniczo różna od sytuacji Grecji, która nigdy nie zrzekła się formalnie reparacji – Polska zaś tak. Dlatego próbuje szukać innej drogi. Wraz z grupą posłów złożył w grudniu 2020 r. wniosek do Trybunału Konstytucyjnego o uznanie za niezgodnego z ustawą zasadniczą zapisu w polskim Kodeksie cywilnym o immunitecie suwerennym. Immunitet suwerenny to pojęcie z prawa międzynarodowego, które oznacza, że przed sąd jednego państwa nie można pozywać innego państwa. Ta reguła wywodzi się z czasów rzymskich, z zasady *par in parem non habet imperium*, czyli „równy nie ma władzy nad równym”.

Gdyby TK obalił ten zapis polskiego Kodeksu cywilnego, polscy obywatele mogliby zacząć masowo pozywać RFN w polskich sądach, co – zdaniem posła PiS – mogłoby skłonić Niemcy do załatwienia sprawy reparacji lub jakiejś innej formy odszkodowania zbiorowo i w sposób satysfakcjonujący. Jednak igranie z immunitetem suwerennym to bardzo niebezpieczna taktyka, która może spowodować bolesny odwet. Można sobie wyobrazić, że jego podważenie przez polski TK spowoduje analogiczne posunięcie w Niemczech. I co wtedy?

Inna sprawa, że immunitet suwerenny nie jest już dzisiaj traktowany jako zasada absolutna. Pod koniec lat 90. do greckiego sądu o odszkodowania od Niemiec wystąpili spadkobiercy mieszkańców wioski Distomo, spacyfikowanej w czasie drugiej wojny światowej przez oddziały niemieckie. Grecki sąd najwyższy orzekł w 2000 r., że w razie rażącego złamania prawa międzynarodowego przez państwo immunitet suwerenny nie działa. W przypadku postępowania Niemiec wobec Polski w czasie drugiej wojny światowej nie ma zaś najmniejszych wątpliwości, że prawo międzynarodowe było łamane rażąco i wielokrotnie. Problem w tym, że nawet gdyby TK orzekł po myśli posła Mularczyka, Polacy faktycznie zaczęliby pozywać Niemcy przed polskimi sądami,

a te ferować wyroki przyznające odszkodowania – pozostaje kwestia ich wyegzekwowania. A tu państwo niemieckie mogłoby po prostu stwierdzić, że wyroki polskich sądów łamią regułę immunitetu suwerennego i w związku z tym nie mają znaczenia.

Na razie w sprawie wniosku grupy posłów z Arkadiuszem Mularczykiem na czele nie odbyła się przed TK ani jedna rozprawa i być może już do niej nie dojdzie, bo sam PiS wprowadził w 2016 r. do ustawy o TK zasadę dyskontynuacji wniosków posłów lub senatorów wraz z końcem kadencji parlamentu. Żeby było śmieszniej, w 2020 r. sama marszałek Elżbieta Witek skierowała do TK wnioski... o uznanie tego rozwiązania za niekonstytucyjne. Ale w tej sprawie również TK jeszcze nie zasiadał, więc i ten wniosek – paradoksalnie – może przepaść, gdy skończy się bieżąca kadencja.

NIE MAMY NAWET RAPORTU

Wszystko to są ważne kwestie prawne. Ale sprawa reparacji mogłaby przecież być dobrym narzędziem miękkiej polityki. Tyle że w tym celu Polska już dawno powinna dysponować rzetelnym raportem o polskich stratach – tym, który tyle razy obiecywał Arkadiusz Mularczyk. W przeciwnym wypadku polskie pohukiwania o reparacjach są odbierane jako awanturnicze gołosłowie, a Polska wygląda po prostu niepoważnie. Trzeba przypomnieć, że wysuwając swoje żądania, Grecy mieli już w ręku raport o rozmiarze poniesionych w czasie wojny strat.

Nie wygląda jednak, żeby w tej sprawie działania władzy były spójne. Dopiero w grudniu ubiegłego roku zarządzeniem premiera powołano Instytut Strat Wojennych, a wydaje się to ruchem dziwnym – tak jakby szło o stworzenie kolejnych synekur, a nie osiągnięcie czegośkolwiek. Przecież do oszacowania polskich strat nie jest potrzebny żaden instytut. Wystarczyło zaraz po 2015 r. stworzyć zespół kompetentnych fachowców, którym dano by rozsądne środki i przed którymi postawiono by zadanie opracowania w ciągu dwóch, trzech lat całościowego podsumowania polskich strat. Było to absolutnie do zrobienia mimo złożoności zadania. Mielibyśmy wtedy w ręku solidny argument do podjęcia z Berlinem rozmów dwustronnych, bo tak naprawdę jest to jedyna i wyłączna droga do uzyskania od Niemiec jakichkolwiek odszkodowań. Chyba że wcale nie o to rządzącym chodzi.

Pokutna pielgrzymka czy huczny triumf liberałów

Papież Franciszek odbył w dniach 24–29 lipca podróż do Kanady. Określił ją sam mianem „pielgrzymki pokutnej”. Pojechał tam przepraszać za udział katolików w systemie państwowej edukacji ludności rdzennej. Chodzi o tzw. szkoły rezydencjalne, które prowadziły przede wszystkim instytucje religijne, zwłaszcza katolickie, na zlecenie władz Kanady w XIX i XX w. Ich zadaniem było wdrożenie Indian do zachodniej kultury i przekazanie im wiary chrześcijańskiej. Od kilkudziesięciu lat wiadomo, że ich funkcjonowanie wiązało się z wieloma patologiami. Szkoły te były chronicznie niedofinansowane, co wpływało negatywnie na panujące w nich warunki sanitarne; indiańskich uczniów traktowano niekiedy z pewną wyższością, co mogło prowokować zachowania brutalne. Największym złem było wcielanie do szkół części dzieci pod przymusem, polegające na ścisłym separowaniu ich od rodzin. W tym ostatnim przypadku dochodziło do ewidentnego pogwałcenia prawa naturalnego, więc szczere przeprosiny są tu absolutnie konieczne.

Problem w tym, że papież Franciszek nie miał w Kanadzie w tej kwestii już nic do zrobienia. W latach 80. św. Jan Paweł II, podróżując do tego kraju, bardzo wyraźnie



Paweł Chmielewski

„Pielgrzymka pokutna” papieża Franciszka do Kanady to jedno z najsmutniejszych wydarzeń tego pontyfikatu. Papież wziął udział w historycznej i skrajnie niesprawiedliwej nagonce na Kościół, przy okazji uczestnicząc w pogańskich obrzędach religijnych. Jedynym zwycięzcą podróży biskupa Rzymu jest rząd Justina Trudeau i – szerzej – zajadłe antykatolickie siły liberalne świata zachodniego

podkreślał godność Indian i wskazywał na niegodziwość praktyk nakierowanych na siłowe wykorzenianie ich kultury. Na początku lat 90. Konferencja Episkopatu Kanady przeprosiła ludność rdzenną za swój udział w państwowym systemie edukacji. Biskupi zobowiązali się też do różnorodnych form pomocy przedstawicielom grup etnicznych, współcześnie określanych często jako „pierwsze narody”. Wreszcie w roku 2009 sam papież Benedykt XVI podczas spotkania z Indianami przeprosił za błędy popełniane przez katolików w szkołach rezydencjalnych.

Trudno wymagać, by Kościół zrobił coś jeszcze, zwłaszcza w sytuacji, w której ciężar odpowiedzialności spoczywa przede

wszystkim na kanadyjskim państwie jako organizatorze systemu asymilacji tubylców.

WIELKA MANIPULACJA

Sprawa została jednak w maju ubiegłego roku odkopana przez amerykańskie media. „The New York Times” opublikował artykuł informujący o rzekomym odkryciu przez Indian przyszkolonego „masowego grobu dzieci ludności rdzennej”. Od tego dnia liberalne media w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie zaczęły prześcigać się w opisywaniu domniemyanych zbrodni instytucji religijnych, które prowadziły szkoły; co chwila pojawiały się artykuły mówiące o kolejnych „masowych grobach”. Temat podchwycili szybko także inni

wrogowie Kościoła katolickiego; dziesiątki publikacji na ten temat ogłosili państwowi nadawcy w Chinach i Rosji. Prasowe doniesienia wywołały w Kanadzie potężne wrzenie społeczne, które doprowadziło do licznych ataków na kościoły, w tym do spalenia wielu z nich, a także do bezprecedensowej nagonki przedstawicieli rządu Justina Trudeau na Kościół i papieństwo.

Gniew byłby uzasadniony, gdyby chodziło o fakty. Jest jednak inaczej: jak wiadomo, żadnych „masowych grobów indiańskich dzieci” nie było. To, co odkryto, to głównie znane już wcześniej cmentarze, na których po prostu chowano zmarłych, nie tylko dzieci. Media dokonały bezprecedensowej manipulacji. Nie ma tu miejsca, by opisywać szczegółowo jej charakter: czytelnikom polecam znakomity tekst Terry’ego Glavina, opublikowany w maju tego roku na łamach kanadyjskiego portalu National Post, oraz poświęcone tej kłamliwej operacji medialnej artykuły Pawła Lisickiego na portalu DoRzeczy.pl. Kanadyjczycy urządzili sobie swoje własne Black Lives Matter, Murzynów zastępując Indianami, a ogół białych zawężając do katolików.

Nie jest żadną tajemnicą, dlaczego rozpętana została taka kampania – to najzwyczajniej w świecie dobrze przemyślana operacja zacieklých wrogów katolicyzmu; rewolucjonistów pragnących sprowadzić Kościół do roli rozsądka największego zła w historii i wymazać imię Jezusa Chrystusa z życia publicznego. Kanadyjski premier Justin Trudeau, formalnie katolik, który popiera zabijanie dzieci nienarodzonych i eutanazję oraz walczy z wolnością religijną, doskonale spełnił się w roli antykościelnego podżegacza. Fundamentalne pytanie w kontekście papieskiej pielgrzymki brzmi zatem: Dlaczego biskup Rzymu wziął udział w tym nieszczęsnym spektaklu?

DLACZEGO PAPIEŻ TO ZROBIŁ?

Oficjalna narracja mówi, że nie było innego wyjścia: sytuacja w Kanadzie doszła do takiego poziomu, że pomóc mógł wyłącznie papież. Tak przedstawia to część kanadyjskich biskupów, tak mówi o sprawie nuncjusz apostolski w tym kraju, abp Ivan Jurković. Według tej wersji wydarzeń rdzenna ludność i znaczna część kanadyjskiej opinii publicznej były tak rozsądzone „czynami Kościoła”, że żaden inny gest niż osobisty przyjazd papieża i publiczne przeprosiny w istotnych dla indiańskiej kultury miejscach nie byłby

w stanie załagodzić sytuacji. Papież byłby zatem ostatnią deską ratunku: gdyby nie przyjechał i nie przeprosił, katolicyzm w Kanadzie zostałby po prostu zniszczony.

Władze Watykanu musiały oczywiście wiedzieć, że przeproszać nie ma już za co. W związku z tym, jeżeli streszczona wyżej narracja wyczerpuje motywację Stolicy Apostolskiej, to mielibyśmy do czynienia z haniebnym poddaniem się prześladowcom. Ojciec Święty, wiedząc, że cała ta historia to wielki humbug, postanowiłby żyrować kłamstwem, byle tylko podjąć próbę uspokojenia wściekłych liberałów i ratować kanadyjski Kościół przed ich gniewem. Można przecież próbować jakoś to sobie tłumaczyć, ostatecznie coś przecież było na rzeczy; instytucje katolickie rzeczywiście partycypowały w państwowym systemie edukacji, a w jego ramach faktycznie dochodziło do poważnych nadużyć. Przeprosiny, nawet jeżeli na wyrost, uzasadniane „dobrym celem” budowania mostów między Kościołem a światem liberalnym, miałyby w tej kapitulanczkiej logice jakiś sens...

WALKA Z PRZESZŁOŚCIĄ

Nie sądzę jednak, by działania Franciszka można było sprowadzić tylko do pragnienia „uspokojenia” sytuacji w Kanadzie. Stawiam tezę, że sprawa ta została przez Stolicę Apostolską wykorzystana jako element budowania świadomej strategii odcinania się przez Kościół od swojej przeszłości po to, by tym łatwiej budować „nową” świątynię. Franciszek od początku pontyfikatu nie szczędzi trudów w walce z „przedsoborową” przeszłością Kościoła katolickiego. Bezprzykładnie atakuje liturgię trydencką, próbuje zmieniać nauczanie na temat małżeństwa, flirtuje z ideologią LGBT, nieustannie krytykuje przejawy tradycyjnej pobożności, rzuca cięń na prawdę o jedyności zbawczej Kościoła w imię braterstwa wszystkich religii: słowem, zwalcza wszystko, co nie jest zgodne z inspirowanym przez liberalny protestantyzm i postrewolucyjną niemiecką filozofię idealistyczną wizerunkiem płynnego i rozmywającego się w świecie Kościoła.

Sprawa Kanady, niezależnie od słuszności stawianych Kościołowi zarzutów, stanowiła doskonałą okazję do tego, by potępić dawne dzieje – papież, przepraszając ludność rdzenną za czyny katolików minionych dziesięcioleci, mógł manifestacyjnie odciąć się od przeszłości, wskazując, że dopiero dzisiaj, wraz z jego pontyfikatem, Kościół wchodzi dziarsko w nową epokę

odnowionego chrześcijaństwa, wolnego od pragnienia sprawowania dominacji, wywierania ucisku, używania przemocy... To pozwala pozyskać opinię publiczną dla wizji Kościoła „nowego paradygmatu”, gdzie specyficznie rozumiane miłosierdzie sprawuje bezwzględny prymat nad tradycją i prawem.

Przy tym Franciszek wykorzystał pielgrzymkę do promowania koncepcji miękkiego indyferentyzmu religijnego. Wraz z towarzyszącymi mu kardynałami wziął udział w pogańskiej ceremonii, w której indiański szaman przyzywał „wielką babkę Zachodu” (sic!) i wzywał pomocy jakichś duchów. Papież posunął się tu dalej niż w czasie Synodu Amazońskiego w Watykanie w roku 2019, kiedy analogicznym rytuałem jedynie biernie się przyglądał; teraz aktywnie w nich uczestniczył, wykonując zalecony przez szamana gest położenia ręki na piersi. Można próbować bronić papieża, twierdząc, że chciał jedynie wyrazić szacunek wobec indiańskiej kultury i dlatego mu do papieża Jana XII, który, grywając w kości, miał obyczaj przyzywać pomocy diabła i starożytnych pogańskich bożków. Nie da się jednak ukryć, że za papieskim udziałem w indiańskiej ceremonii stoi coś więcej niż „szacunek” wobec pierwotnej kultury: to przekonanie, że pogańskie religie mogą być drogą wiodącą do Boga. Pisałem już na łamach „Do Rzeczy”, jak Franciszek wypowiadał się kilkakrotnie w tym tonie. W Kanadzie wszedł na nowy poziom, uczestnicząc osobiście w takim rytuale.

POKUTA PAPIEŻA, TRIUMF LIBERAŁÓW

Po powrocie Franciszka z Kanady rewolucjoniści mogą zatem świętować. Biskup Rzymu pokazał, że wyznawanie pogańskich bożków można rzekomo gościć z wiarą w Jezusa Chrystusa; potępił przeszłość Kościoła, bijąc się w cudze piersi; wzmocnił antychrześcijańskie siły polityczne, które chętnie stawiają się dziś w roli recenzenta Kościoła katolickiego.

Mówiąc krótko, pozornie pielgrzymka pokutna okazała się w istocie wielkim triumfem przywódców liberalnej rewolucji w Kościele. Chrześcijańskiej cywilizacji Zachodu zadano kolejne dotkliwe ciosy, torując tym samym drogę do jej dalszego likwidowania i zastępowania zupełnie nowym „porządkiem”, w którym Kościół będzie już tylko cieniem lub zgoła karykaturą samego siebie. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Author jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl.

Kawaleria polska, bitwa nad Niemnem, wrzesień 1920 r. FOT. CENTRALNE ARCHIWUM WOJSKOWE/WIKIPEDIA

1920.

Jazda na karku bolszewika



Maciej Rosalak

Przypomnijmy echo przewag polskich ułanów nad najeźdźcami ze Wschodu

Przewagi jazdy podczas wojny polsko-bolszewickiej 1920 r. kojarzą się przede wszystkim z potężną, skuteczną i okrutną 1. Armią Konną Siemiona Budionnego. Jakby triumfy polskiej kawalerii się nie zdarzyły. Kto dziś pamięta i odróżnia zagony na Koziatyn i na Korosteń? Niemal nikt, a szkoda. Bowiem od końca kwietnia aż do początku października 1920 r. – czyli od pierwszych do ostatnich dni wojny – niemałe zgrupowania naszej jazdy biły Rosjan na głowę, z rozbiciem całej Pierwszej Konnej włącznie!

Na rozległym teatrze wojny 1920 r. walczyły siły stosunkowo niewielkie. Dywizje liczyły kilka tysięcy, armie kilkadziesiąt, a fronty (były po dwa z każdej strony) po sto kilkadziesiąt tysięcy szabel i bagnatów. Niewspółmierność sił

i przestrzeni powodowała, że wojna była ruchoma, właściwie bez stałych pozycji. Nie broniący się, ale atakujący zyskiwali przewagę; trochę na zasadzie inercji, bez władu masy i przyspieszenia (celnie ujął to marsz. Józef Piłsudski w „Roku 1920”). Tym większą rolę w tych warunkach potrafiły odgrywać zagony kawalerskie.

ŻYTOMIERZ. Charakter wojny błyskawicznej zyskały dwa zagony z początku ofensywy – na Żytomierz i Koziatyn. W pierwszym – pod wodzą ppłk. Stefana Dęba-Biernackiego – uczestniczyła wyborowa 1. Dywizja Piechoty Legionów, której 1. Brygada skorzystała z transportu samochodowego i ubezpieczenia kilku samochodów pancernych. Zaskoczenie się powiodło. Po szybkim przebyciu 80 km legioniści rozbili 58. Dywizję Strzelców, a żytomierski ważny węzeł kolejowy został zajęty w ciągu niespełna dwóch dni (25 i 26 kwietnia). Polacy stracili trzech poległych i 48 rannych, wzięli do niewoli kilkuset jeńców, zdobyli 10 dział, kilkadziesiąt ckm-ów, samochód pancerny, 12 samochodów i 280 wagonów ze sprzętem wojskowym.

KOZIATYN. 27 kwietnia zagon na Koziatyn wykonała 1. Dywizja Jazdy, dowodzona przez gen. Jana Romera (starszego brata

słynnego geografa), wiodącego pułki o wspaniałych tradycjach bitew pod Krechowcami, Jazłowcem i Rokitną. W czasie, gdy 15. Dywizja Piechoty zdobywała oddalony o 30 km na zachód Berdyczów, wiążąc tam siły bolszewików, kawalerzyści brańwrowo zdobyli Koziatyn wraz z ważnym węzłem kolejowym. W polskie ręce dostało się 8 tys. jeńców, 27 dział i 176 ckm-ów. W obecności Marszałka zwycięstwa gratulował gen. Romerowi szef francuskiej misji gen. Paul Henrys. Do Kijowa żołnierze polscy wkroczyli na początku maja. Kolosalna różnica skali dzieli zmagania w latach 1920 i 1941, ale mimo to wynik batalii koziałyńskiej przypomina „kocioł ukraiński” późniejszy o ponad 20 lat.

1. Armia Konna Siemiona Budionnego stanowiła 30-tysięczny taran czerwonego Frontu Południowo-Zachodniego. Kilka dywizji jazdy wspierały silną artyleria, pociągi pancerne i nawet tanki. 5 czerwca udało się jej po 10-dniowych atakach przerwać pod Samhorodkiem polski front na Ukrainie i zająć Żytomierz oraz Berdyczów, mordując, gwałcąc i grabiąc. Wyprowadzenie naszych wojsk ze śmiertelnego okrążenia zawdzięczamy m.in. artylerzystom konnym, dorównującym wspaniałej baterii Józefa Bema

z 1831 r. Rykoszety strzałów szrapnelami pod końskie kopyta podczas szarży Kozaków obalały konie w pierwszych szeregach i zamęt ogarniał cały oddział... Południowy front ocalał, ale oparł się dopiero na Dniestrze i pod Lwowem.

Z początkiem lipca ruszyła na Białorusi wielka ofensywa Michaiła Tuchaczewskiego. Na prawym skrzydle jego Frontu Zachodniego szalał 3. Korpus Kawalerii Gaj-Chana. Był to Ormianin z pochodzenia – Hajk Bożyszczian – którego kilkudziesięcny Kawkor był równie bandycką zgrają jak 1. Armia Konna. Także pod względem operacyjnym odgrywał taką samą rolę, bez przerwy oskrzydlaając prawą flankę wojsk polskich. Również dzięki niemu 12 lipca bolszewicy zajęli Wilno, 23 lipca – Pińsk, 29 lipca – Łomżę, Białystok i Bielsk Podlaski. Na Mazowszu ruszył w połowie sierpnia na Płock. Mostu przez Wisłę nie zdobył, ale zanim nasi żołnierze wyrzucili go z pomocą mieszkańców z miasta, wschodnia dżicz mordowała, rabowała i gwałciła. Jeńców wyrzynała.

Po historycznym zwrocie w wojnie bolszewicy, którzy w ciągu paru dni mieli zająć polską stolicę, w drugiej połowie sierpnia uciekali spod niej w popłochu.

WYRWANIE KŁÓW WILKA

CIECHANÓW. Znajdująca się na północnym Mazowszu większość sił Tuchaczewskiego nie wiedziała o klęskach sowieckich na południe od nich. Otóż zagon 203. Pułku Ułanów (ochotników z ziemi kaliskiej) zdobył 15 sierpnia w Ciechanowie radiostację 4. Armii bolszewickiej, jedyne wtedy połączenia ze sztabem głównodowodzącego. Trzy armie sowieckie nadal nacierały więc ku Wiśle, gdy dwie armie u podstawy frontu rozbijali Polacy. Ów kawalerski zagon przyczynił się więc do strategicznego zwrotu w całej wojnie. Za to ów ochotniczy pułk na stałe wejdzie w skład Wojska Polskiego jako 27. Pułk Ułanów im. Króla Stefana Batorego.

KOMARÓW. Odparty spod Lwowa Budionny po drodze na Warszawę oblegał od 29 do 31 sierpnia Zamość, broniony przez naszych strzelców kaniowskich oraz kilkuset żołnierzy ukraińskich. Dowódca 3. Armii gen. Władysław Sikorski planował osaczyć tu najeźdźców Grupą Pościgową gen. Stanisława Hallera, liczącą 7,5 tys. żołnierzy i 48 dział, złożoną z 13. Dywizji Piechoty oraz 1. Dywizji Jazdy dowodzonej przez płk./gen. Juliusza Rómmla i szefa jego sztabu płk. Aleksandra Prażmowskiego. Liczyła ona 1,5 tys.

kawalerzystów, wspieranych ogniem 16 dział i 70 ckm-ów.

Mobilna wroga kawaleria wymalowowała naszą piechotę, ale przed polskimi ułanami i szwoleżerami uciec nie zdołała. I tak od 30 do 31 sierpnia pod Komarowem doszło do największej kawalerskiej bitwy XX w. Armia Budionnego stanowiła po walkach na Wołyniu najwyżej czwartą część sił sprzed kwartału. A jednak przywiodła pod Komarów 6 tys. żołnierzy, miała ok. 50 dział, 350 ckm-ów i siedem samochodów pancernych.

Nasza dywizja kawalerii składała się z dwóch brygad. VI Brygadą Jazdy dowodził płk Konstanty Plisowski prowadzący przed rokiem szarżę pod Jazłowcem, która dała nam Małopolską Wschodnią. Brygadę tworzyły trzy pułki ułanów: 1. Pułk Ułanów Krechowieckich ze sławą walki ze wszystkimi zaborcami pod Krechowcami w 1917 r. (dowódca – płk Sergiusz Zahorski); 12. Pułk Ułanów Podolskich z tradycją sięgającą Księstwa Warszawskiego (rtm. Tadeusz Komorowski – późniejszy Komendant Główny AK – ciężko ranny, gdy prowadził pod Komarowem szarżę pułku); 14. Pułk Ułanów Jazłowieckich (kpt art. Michał Belina-Prażmowski, krewniak Władysława).

Zasłużony w tworzeniu jazdy krakowskiej lat 1918 i 1919 płk Henryk Brzezowski dowodził VII Brygadą Jazdy. Tworzyły ją 2. Pułk Szwoleżerów Rokitańskich ze sławą Somosierry roku 1915 (mjr Rudolf Rupp); 8. Pułk Ułanów Księcia J. Poniatowskiego (rtm. Kornel Krzczunowicz); 9. Pułk Ułanów Małopolskich (mjr Stefan Dembiński). Dywizję wspierały trzy baterie artylerii konnej oraz batalion szturmowy z karabinami maszynowymi na podwodach dowodzony przez 28-letniego wtedy kpt. Stanisława Maczka (tak, tego od Pierwszej Pancernej). Pierwszy zaatakował bolszewików, gdy Polacy zastąpili im drogę odwrotu.

11. Dywizja bolszewicka (ok. 1,5 tys. szabel) wyprowadziła główny atak na VII BJ, która stanęła jej na drodze w Wolicy Śniatyczej. 930 naszych kawalerzystów z 30 karabinami maszynowymi i wsparciem dział artylerii konnej w trzygodzinnej walce wytrzymało napór bolszewicki. Pułki brygadę kontratakowały w heroicznych szarżach. Zwycięski atak nastąpił po nadejściu VI BJ, a gen. Rómmel wykorzystał okazję do uderzenia całej jazdy na wroga. Kiedy zaś dowiedział się od zwiada

lotniczego o kierunku odwrotu Budionnego, nakazał poszczerebionym pułkom VI Brygady odciąć mu drogę na Hrubieszów.

Budionny podjął kontruderzenie przybyłą właśnie spod Zamościa 6. Dywizją, której dowódcą był Iosif Rodionowicz Apasienko – były pastuch z guberni stawropolskiej o fizjonomii i zwyczajach bandyty. Odpowiadał za najgorsze rzezie i gwałty, m.in. w berdyczowskim szpitalu (czerwiec 1920 r.) oraz pod Zadzórzem, gdzie kazał zarzynać jeńców. Pod Komarowem zaatakował najbardziej znużoną VII BJ.

Finał poprzedziły dramatyczne ataki i kontrataki mniej licznych, ale heroicznie nieugiętych Polaków, przeplatające się z kontruderzeniami zdesperowanego wroga. Był moment, gdy bolszewicy przepuścili naszych jeźdźców, aby nagle zawrócić i uderzyć z boków. Lecz oto wykrwawiony 8. Pułk Ułanów wbił się w szyk czerwonych i zdobył samochód samego Budionnego (ledwie ocalał). Szarża, według relacji płk. Brzezowskiego, wyglądała tak:

„Idzie kłusem, oszczędzając siły koni; nie rozwija pułku przedwcześnie [...]. Ale już pada jak grom komenda: »Rozwinięty, galopem. Hurra!«. Jadący w roli szperacza przed prawym skrzydłem pułku adiutant pułku ppor. Aleksander Krzczunowicz (brat Kornela) oddaje szereg strzałów z pistoletu, rtm. Krzczunowicz płazem szabli wprowadza swego przemęczonego deresza w cwał i już cały pułk z impetem rusza do szarży i w mgnieniu oka pokrywa odległość kilkudziesięciu zaledwie kroków, dzieląc go jeszcze od wroga. Tej niezwykle silnej szarży nie wytrzymał nieprzyjaciół. Przyjął ją salwą z pistoletów, ledwie dosłyszalną wśród naszych gromkich »hurra« i natychmiast podał tyły. Wzdłuż całej linii frontu nawróciły jego oddziały. W jednym miejscu przełamana, cała 6. dywizja bolszewicka galopem opuszczała pole bitwy [...]. Było to widowisko wspaniałe, którego nigdy w życiu nie zapomnę”.

Ta szarża poderwała do ostatniego – jak się okazało, zwycięskiego – ataku 1. Pułk Ułanów i następne. Tego już najeźdźcy nie wytrzymali i pierzchli.

Zwycięstwo zostało okupione stratą 300 poległych i rannych kawalerzystów oraz 500 koni. Straty Konarmii – łącznie z jeńcami – były przynajmniej 10-krotnie większe! Polacy zdobyli też ponad 20 dział, dziesiątki ckm-ów i transporty amunicji artyleryjskiej. I to był kres potęgi i chwały 1. Armii Konnej. Nie odrodziła

■ się już ona w wojnie z Polakami i rychło wycofano ją w głąb Rosji. Jazda Budionnego była dla Armii Czerwonej tym, czym kły są dla wilka. Pod Komarowem wyrwali je polscy ułani.

ZNÓW NA WSCHÓD!

KOWEL. Po pogromie Budionnego znów, jak wiosną, szliśmy na wschód, tym razem raczej bez widoków na utworzenie przyjaznego nam państwa ukraińskiego, ale aby wschodnia granica znów, jak za Kaczimierza Wielkiego, oparła się o Zbrucz. Ofensywę tę rozpoczął błyskotliwy zagon mobilnego ugrupowania, które tym razem nie posługiwało się końmi, ale motorami.

Była to grupa mjr. Włodzimierza Bochenka z 3. Armii, która 11 września z rejonu Brześcia skierowała się na Kowel, aby zdobyć ten ważny węzeł kolejowy na tyłach 12. Armii bolszewickiej. Składała się z dwóch batalionów 26. Pułku Piechoty, dwóch baterii artylerii, kolumny wozów pancernych – siedmiu fordów FT-B i dwóch white'ów. Piechota jechała na 54 ciężarówkach marki Packard, Berliet i Fiat.

Kolejne czerwone oddziały usiłowały zatrzymać kolumnę, ale osiem dział polowych niszczyło zapory, odporne na kule żołdatów tankietki torowały drogę, ogień ckm-ów i karabinów dziesiątkował obrońców, a szybkość oddziału uniemożliwiała bardziej skuteczne przeciwdziałanie. Bo grupa mjr. Bochenka – wliczając w to kilka potyczek po drodze – poruszała się dniem i nocą ze średnią szybkością 12 km/h, pokonując 130-kilometrowy dystans w niecałą dobę. 12 września po południu miasto wraz z dworcem zostało opanowane przez Polaków. Wojsko Polskie stanęło (20 września) nad Zbruczem. Włodzimierz Wołyński wrócił w polskie ręce 13 września, Łuck i Równe – 16 września, Husiatyn, Trembowla i Brody – 18 września, Dubno i Ołyka – 19 września.

NIEMEN. Dokończenie Bitwy Warszawskiej – bitwa nad Niemnem – rozpoczęło się 20 września. Trzy dywizje 2. Armii gen. Edwarda Śmigłego-Rydza nacierały na Grodno i przeprawy mostowe na Niemnie tam, gdzie Tuchaczewski zgromadził gros swych sił. Natomiast grupa manewrowa tej armii, złożona z dwóch brygad kawalerii oraz dwóch dywizji piechoty, ruszyła 22 września przez tereny okupowane od lipca przez Litwinów. Idąca na czele 4. Brygada Jazdy zmiatała ich oddziały osłonowe. Legioniści w sześciogodzinym boju rozbili dwa litewskie pułki piechoty i weszli do Sejn, a następnego dnia – do

W krytycznym momencie jak zwykle nie zawiodła artyleria konna, a wreszcie przybycie odsieczy 115. Pułku Ułanów

Druskiennik. Druga z naszych dywizji wraz z 2. Brygadą Jazdy rozbiła trzeci ze stojących na drodze pułków litewskich. Zaskoczony Tuchaczewski musiał wysłać przeciw zagonowi trzy dywizje z pięciu odpierających Polaków pod Grodnem, a siły pozostawione nad Niemnem nie sprostały wznowionemu atakowi grupy frontowej 2. Armii.

Grupa manewrowa uderzyła w decydującym momencie bitwy o Grodno od północy. 4. Armia zamykała sowieckie siły od zachodu i południa, a zdobywając do końca września Pińsk i Baranowicze, odcięła sowiecki front zachodni od południa. Odwrót wojsk Tuchaczewskiego znów zamienił się w paniczną ucieczkę i definitywnie przestały one zagrażać Polsce. W nasze ręce dostało się 40 tys. jeńców i 140 dział.

PIŃSK. Polskie prawe skrzydło wsparła na Polesiu Grupa gen. Krajowskiego, który poza swą 18. Dywizją Piechoty miał pod komendą 7. DP, zgrupowanie „kmicicowej” jazdy Stanisława Bułaka-Bałachowicza, pułk ułanów i brygadę kozaków dońskich. Nocą z 26 na 27 września Grupa przeprawiła się przez Prypeć, osiągnęła Janów, a 28 września zajęła Pińsk. Pochwycono tam prawie cały sztab sowieckiej 4. Armii, wzięto do niewoli 8 tys. jeńców i zdobyto 400 wagonów ze sprzętem wojskowym, amunicją oraz setką nowych karabinów maszynowych. 18. DP zwana była (i jest!) Żelazną Dywizją również za straty zadane Budionnemu na Wołyniu, a następnie Gaj-Chanowi na Mazowszu. Jej wybitny dowódca, Czech ożeniony z Polką, w 1918 r. wstąpił do Wojska Polskiego i zmienił nazwisko z František Králíček na Franciszek Krajowski.

KOROSTEŃ. Tak wielkiego zgrupowania ludzi i koni dotąd nie udało nam się utworzyć. Oto do znanej spod Komarowa 1. Dywizji Jazdy – z dowódcą płk. Juliuszem Rómmlem i z szefem sztabu płk. Aleksandrem Pragłowskim – dołączyła 2. Dywizja Jazdy pod dowództwem płk. Gustawa Orlicza-Dreszera z legionową sławą organizatora i pierwszego dowódcy 1. Pułku Szwoleżerów Józefa Piłsudskiego. Szefem

sztabu 2. Dywizji był rtm. Jan Karcz (zginie w KL Auschwitz jako bliski współpracownik rtm. Witolda Pileckiego), a w pięciu z sześciu pułków tej dywizji przeważali poborowi i ochotnicy z lata 1920 r.

VIII Brygadą Jazdy 2. Dywizji dowodził ppłk Stanisław Grzmot-Skotnicki z historycznego składu „siódemki” – pierwszego strzeleckiego patrolu ułańskiego w 1914 r. Zginie w brawurowej szarży pomorskich ułanów, przebijając się do Warszawy w 1939 r. Natomiast IX Brygada Jazdy pod dowództwem mjr. Jana Głogowskiego miała w składzie wspomniany 1. Pułk Szwoleżerów, który wielkich czynów dokonał m.in. podczas wyprawy kijowskiej, właśnie pod dowództwem mjr. Głogowskiego. Łącznie 1. Korpus Jazdy liczył kilka tysięcy jeźdźców – cztery brygady, każda po trzy pułki – łącznie 12 pułków.

Zagon na Korosteń ruszył spod Zwiahla, aby umocnić naszą granicę na zachodnim Wołyniu. Zamierzano też tak pobić 12. Armię bolszewicką, aby „ruski miesiąc popamiętała”. Zagon trwał dokładnie 102 godziny między 8 a 12 października 1920 r. Przez ten czas kawalerzyści przebyli do 250 km, rozbili doszczętnie 7. Dywizję Strzelców oraz brygadę strzelecką (XVII BS), wzięli do niewoli 4 tys. jeńców, zdobyli także 22 działa i do 100 karabinów maszynowych. Wyszadzili w powietrze trzy pociągi pancerne wroga, a także korosteńską stację kolejową i most na Uszy. Jeśli liczyć walki od 1 października nad Słuczą, to wysokość bolszewickich strat znacznie wzrosła. Na przykład liczba jeńców – do 7 tys.; więcej żołnierzy, niż liczył nasz Korpus.

Najgroźniejszy okazał się dla VIII Brygady desperacki atak sowieckiej 7. Dywizji Strzelców przebijającej się pod koniec wyprawy na wschód. W krytycznym momencie jak zwykle nie zawiodła artyleria konna, a wreszcie przybycie odsieczy 115. Pułku Ułanów. Zginął tam znakomity dowódca 8. Dywizjonu Artylerii Konnej ppłk Artur baron Buol, Węgier. A sowiecka 7. DS nareszcie kompletnie rozbita złożyła broń.

Na koniec zachwyt urodzonego kawalerzysty płk. Pragłowskiego wyrażony w takim oto fragmencie jego wspomnień: „... wszystkie oddziały posuwały się liche mi i piaszczystymi drogami i brały udział w ciężkich, kilkugodzinnych walkach przy niedoskonałym zaopatrzeniu. Mimo tych wysiłków nie było prawie strat marszowych w koniach!”

© Wszelkie prawa zastrzeżone

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

Wywiad z żołnierzem
US Army, który uratował
Polaka w Afganistanie!

Mikołaj Iwanow – Zbrodnia Stalina '44

Zbigniew S. Siemaszko – Operacja „Berling”

Maciej Rosalak – Jak powstańcy zdobywali czołgi

Zbigniew Rylski – Walczyłem w Warszawie

Jakub Ostromięcki – Tajemnica okrętu podwodnego S-363

Rafał A. Ziemkiewicz – Odbrać Piłsudskiego!

Sławomir Koper – Koniec świata Niemców bałtyckich

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: „Starałem się dokonać przewrotu kopernikańskiego w kopernikologii” – pisze pan w przedmowie do swojej najnowszej książki. Czyżby dotychczasowa wiedza o astronomie była aż tak bardzo zakłamaną?

PIOTR ŁOPUSZAŃSKI: Mikołaj Kopernik obalił astronomię, której uczono od dawien dawna, a która nie oddawała rzeczywistego stanu rzeczy, i opisał Kosmos bliższy prawdziwemu obrazowi naszego Układu Słonecznego. Podobnie postąpiłem w stosunku do jego biografii, ponieważ to, czego uczyliśmy się w szkole, to, co pisali autorzy prac naukowych i popularnych o Koperniku, nie zawsze opierało się na dokumentach i dowodach. Często były to spekulacje, dość swobodne. Wnikliwa analiza też głoszonych przez kopernikologów pokazuje, że wiedza o życiu astronoma była bardzo skromna, a publikacje zawierały informacje po prostu wyssane z palca. Nie udowodniono, że Kopernikowie pochodzili ze Śląska, że Mikołaja ochrzczono w kościele św. Jana w Toruniu (dziś katedrze) czy że kształcił się w Chełmnie. Nierzadko opisywano go w sposób daleki od prawdy.

Co zatem wiemy o jego genealogii – po mieczu i kądzieli?

Rodzina matki, Watzenrodowie, była pochodzenia niemieckiego. Mieszkając przez kilka pokoleń w krzyżackim Toruniu, poznała realia życia w państwie zakonnym. Wśród zasłużonych przedstawicieli klanu byli Lucas Watzenrode starszy, który walczył przeciwko Krzyżakom w wojnie trzynastoletniej, i jego syn, Łukasz, późniejszy biskup warmiński. Natomiast rodzina Koperników była, sądząc po nazwisku, rodziną polską. Historycy, nie znając przodków astronoma, twierdzili, że rodzina pochodziła ze Śląska. Wiemy jedynie, że ojciec (i prawdopodobnie dziad) astronoma mieszkali w Krakowie. Kopernikowie mogli pochodzić z Polski Centralnej lub z Małopolski. Nazwisko wzięło się od łacińskiej nazwy miedzi. W Polsce było kilka terenów, gdzie znajdowały się kopalnie miedzi, np. w okolicach Kielc jest Miedziana Góra. Przodkowie astronoma niekoniecznie musieli być ze Śląska.

Skąd wzięły się próby germanizacji Mikołaja Kopernika?

Niemieccy historycy pisali jego pierwsze „naukowe” biografie w XIX w., w okresie kulturkampf, gdy miasta kopernikowskie – Toruń, Frombork,



Z Piotrem Łopuszańskim, dziennikarzem i pisarzem rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Urodzony pod szczęśliwą gwiazdą



Astronom w pracowni na XIX-wiecznej grafice. FOT. WELLCOME COLLECTION

Olsztyn, Lidzbark – znajdowały się pod pruskim panowaniem. Pisano o Koperniku, że był Niemcem. Później twierdzono, że zmarł w... Prusach Wschodnich, co nie jest prawdą. Podobnie postąpiono w przypadku Erazma z Rotterdamu i Petera Paula Rubensa, z których na siłę starano się zrobić Niemców.

Warto wiedzieć, że astronom nigdy nie był w państewkach niemieckich. Niemiecy historycy ignorują wszelkie związki Kopernika z Polską i polskością. A przecież nigdy nie deklarował, że jest Niemcem, natomiast pisał o polskiej ojczyźnie. Warto także pamiętać, że po Powstaniu Warszawskim niemieccy żołnierze wysadzili piękny pomnik astronoma w Warszawie. Moim zdaniem ten czyn pozbawia Niemców prawa do nazywania Kopernika ich rodakiem.

Data oraz miejsca urodzin i chrztu przyszłego geniusza budzą wątpliwości?

Datę 19 lutego 1473 r. uznaje się za datę urodzin astronoma. Znamy ją z horoskopu sporządzonego przez niechętnego Kopernikowi autora, a więc jest to źródło mało wiarygodne. Do tego zapis jest według kalendarza juliańskiego. W kalendarzu gregoriańskim, którego używamy, byłaby to data 1 marca. Co ciekawe, różni biografowie z XVI i XVII w. podawali inne daty, nawet rok (1472). Książę chrztu w tym okresie w Toruniu nie prowadzono.

Jego wykształcenie także nosi w sobie zagadki?

Zagadkowe jest to, że studiów na wydziale sztuk wyzwolonych w Krakowie nie ukończył. Różnie to tłumaczono, ale to fakt. Studia prawnicze w Bolonii musiał przerwać, bo został wezwany na Warmię, i prosić o zgodę na kontynuację studiów. A przecież mógł to zrobić listownie. W ten sposób stracił na jawę do Fromborka i z powrotem do Italii pół roku. Pojechał zaś do Padwy, gdzie miał studiować medycynę. Studia takie trwały pięć lat, tymczasem kapituła dała mu tylko dwa lata. To tak, jakby kanonikom nie zależało na tym, żeby Kopernik zdobył gruntowne wykształcenie. Ostatecznie otrzymał tytuł doktora prawa kanonicznego. Dyplom uzyskał w Ferrarze, co też jest zagadkowe. Mieszkańcy Warmii nazywali Kopernika doktorem Mikołajem, sądząc, że jest doktorem medycyny.

Spór dotyczący święceń kapłańskich Kopernika toczył się przez dekady...



Kopernik w rozmowie z Arystotelesem i Ptolemeuszem. Rycina z „Dialogus de systemate mundi” z 1663 r. FOT. WELLCOME COLLECTION

Wynikał z błędnie odczytanego dokumentu z okresu jego włoskich studiów. Nie napisano tam „prezbiter”, lecz „personaliter”, czyli że stawiał się osobiście, a nie że miał tytuł kościelny. Natomiast istnieje inny dokument. W latach 30., a więc, gdy doktor Mikołaj był już po sześćdziesiątce, bp Ferber nakazał wszystkim kanonikom fromborskim, zatem i jemu, przyjąć święcenia kapłańskie pod groźbą utraty dochodów z prebendy. Kopernik nie został pozbawiony dochodów, zatem można uznać, że został księdzem. Zresztą zwykle był posłuszny władzy kościelnej. Co więcej, jego nazwisko figurowało wśród kandydatów na biskupa Warmii (trochę dla dekoracji, bo kandydatem króla był Jan

zwany Dantyszkiem). Historycy pominieli także tytułaturę, której użył przyjaciel Kopernika, Bernard Wapowski. Pisząc do Mikołaja, użył słowa „wielebny”. Można chyba zatem uznać, że w ostatnim dziesięcioleciu życia Kopernik był wyświęconym księdzem.

Romans uczonego w jesieni życia, wyeksponowany w filmie i serialu Ewy i Czesława Petelskich, to wymysł?

Faktem jest, że Kopernika oskarżono o romans z gospodynią i daleką krewną. Zarzucał mu to bp Dantyszek, który oparł się na donosach prepozyta kapituły, Pawła Płotowskiego. Co ciekawe, kanonicy we Fromborku nie zauważyli niczego gorszącego. Donosić chciał wcześniej otrzymać dochody z kanonii fromborskiej, lecz Kopernik odpisał mu, że w myśl przepisów prawa Płotowskiemu dochody się nie należały. Niebawem prepozyt oskarżył swoich przeciwników w kapitule, w tym Kopernika. Jeden z oskarżonych rzeczywiście miał kochankę (po przejściu na protestantyzm ją poślubił) i został usunięty z kapituły. Nic takiego nie spotkało doktora Mikołaja. Po jego śmierci bp Tiedemann Giese wspominał Kopernika jako „nieskazitelnego” człowieka. Tak nie pisze się o księdzu, który miał romans.

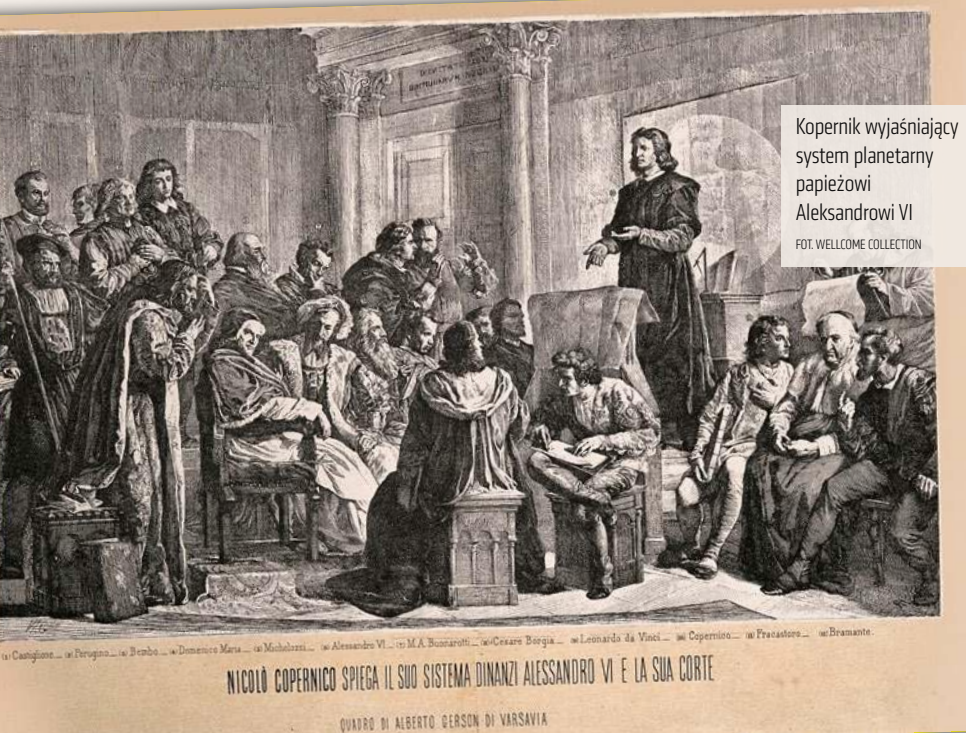
Nad życiem uczuciowym doktora Mikołaja już w międzywojniu zastanawiał się Tadeusz Boy-Żeleński...

Marzył, aby opisano całe życie Kopernika, nie wyłącznie naukowe. Różni autorzy uchwycili się więc wątku domniemanego, późnego romansu. Ja



Książka „O obrotach sfer niebieskich”

FOT. J. DONVIL/WIKIMEDIA COMMONS



Kopernik wyjaśniający system planetarny papieżowi Aleksandrowi VI
FOT. WELLCOME COLLECTION

uważam, że Mikołaj mógł przeżyć miłości w okresie studiów w Krakowie czy w miastach włoskich. Nie mamy jednak żadnych przekazów.

Ekranowy Kopernik – Andrzej Kopiczyński – przypominał rzeczywistego? Zachowały się jakieś wiarygodne portrety naukowca?

Najbardziej znany, a zarazem jeden z najwcześniejszych portretów Kopernika to konterfekt z muzeum w toruńskim ratuszu. Na nim i na kilku innych wzorowali się później plastycy. Niektórzy tworzyli wizerunki imaginacyjne. Dodawano astronomowi wąsy, brodę. Andrzej Kopiczyński bardzo wiarygodnie zagrał Kopernika. Niemniej ten aktor bardziej kojarzy się nam z „Czterdziestolatkiem”.

Kopernik doczekał druku swego opus magnum?

Nad swoim dziełem pracował ponad 30 lat! Niektórzy autorzy twierdzili, że zwlekał z publikacją, obawiając się inkwizycji. Nie mógł się jej jednak bać, ponieważ w Polsce tej instytucji nie było. Papież powołał ją dopiero miesiąc po tym, jak astronom wysłał mu list dedykacyjny. Kopernik chciał jeszcze zweryfikować dane, by jego rewolucyjna koncepcja nie została odrzucona i wyśmiana z powodu jakiegoś błędu rachunkowego. Astronom na pół roku przed ukazaniem się drukiem „De revolutionibus orbium coelestium” doznał udaru i był sparaliżowany, a potem nieprzytomny.

Kopernik zawsze podkreślał, że pochodzi z Torunia.

Studia odbył w Krakowie i zaznaczał, jak wiele zawdzięcza uniwersytetowi

Ale wiemy, że nawet ludzie w śpiączce czasem odbierają wrażenia ze świata zewnętrznego. Może więc Kopernik dowiedział się, że jego dzieło przywieziono do Fromborka. Nie mógł go jednak przeczytać i zauważyć fałszerstwa, jakiego dokonał protestancki teolog, Andreas Osiander, który zmienił tytuł i dołożył swoją przedmowę.

Praca nie została objęta anatema?

W 1616 r., po odkryciach Johanna Keplera i Galileusza, dzieło trafiło na indeks ksiąg zakazanych przez Kościół. Nie zostało potępione, lecz uznane za wymagające poprawek. Oczywiście autor, który nie żył od 73 lat, nie mógł wprowadzić zmian. We Włoszech są egzemplarze, w których zostały one wprowadzone. W Polsce mamy taki jeden, pozostałe zawierają treść niezmienną.

Bohater pańskiej publikacji zapisał się też na polu marsowym.

Okazał się świetnym administratorem dóbr kapituły i przywódcą na czas zagro-

żenia przez wojska zakonne. W listach zrugął bp. Fabiana Tetteringa za bezczynność. Zakupił broń i żywność, wezwał konfratrów do przysłania mu armat do obrony olsztyńskiego zamku. Krzyżacy wezwali załogę do poddania się. Dowódca wojskowy i Kopernik odmówili. O tym nie chcą pisać autorzy niemieckich biografii, jak i o tym, że Kopernik prosił polskiego króla o pomoc. Krzyżacy odstąpili od ataku, ponieważ ich drabiny okazały się za niskie w stosunku do wysokości murów.

Kopernik stał się emblematyczną postacią Torunia, Lidzbarka Warmińskiego, Olsztyna oraz Fromborka. Z którym z tych miast związany był najsilniej?

Urodził się w Toruniu, tu miał rodzinę. W mieście wskazywano cztery adresy tzw. domu Kopernika. Napoleonowi pokazywano inny, za naszych czasów były to kamieniczki przy ul. Kopernika 15 i 17, a ostatnio mówi się o domu przy Rynku Staromiejskim. W Toruniu pobierał też pierwsze nauki. Zawsze podkreślał, że pochodzi z Torunia. Studia odbył w Krakowie i zaznaczał, jak wiele zawdzięcza uniwersytetowi krakowskiemu. Lidzbark to stolica ówczesnego biskupstwa warmińskiego. Gdy biskupem był jego wuj Łukasz, Kopernik pełnił u jego boku funkcję sekretarza, a także lekarza. Później leczył innych biskupów. Frombork to miasteczko, gdzie astronom miał kanonię, wieżę, prowadził obserwacje i pisał swoje dzieło. Podobnie w Olsztynie. Zachowała się tam wykonana przez astronoma tablica z zakreślonymi dniami równonocy wiosennej i jesiennej. We Wrocławiu miał scholasterię. A jeszcze były Grudziądz, gdzie wygłosił swoją teorię monetarną, i Lubawa, gdzie rezydował bp Giese i gdzie Kopernik zgodził się na publikację swego dzieła. Pamiętajmy jeszcze o Bolonii, Padwie i Ferrarze. Każde z tych miast może szcycić się Kopernikiem.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Piotr Łopuszański – dziennikarz i pisarz, absolwent UW, autor kilkunastu książek, m.in. „Marzyciel nad przepaścią” i „Bywalec zieleni” – o Bolesławie Leśmianie, „Pan Samochodzik i jego autor”, „Gustaw Holoubek – filozof bycia” i najnowszej „Mikołaj Kopernik. Nowe oblicze geniusza”.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Francuski
bohater

Działania zbrojne w powietrzu podczas drugiej wojny światowej miały dwa oblicza: bombowe i myśliwskie. To pierwsze – w epoce nalotów dywanowych na cele cywilne – można porównać do pracy rzeźnika. To drugie – do pasji łowieckiej. A czasami, gdy dochodziło do pojedynków asów przestworzy, do sztuki rycerskiej.

Dlatego nigdy specjalnie nie pasjonowałem się wspomnieniami lotników z bombowców. Jako nastolatek pożerałem natomiast książki pisane przez pilotów myśliwców. Polskich, brytyjskich, niemieckich i amerykańskich. Teraz po raz pierwszy sięgnąłem po wspomnienia lotnika francuskiego – Pierre’a Clostermanna.

To jedna z najciekawszych, najlepiej napisanych książek tego gatunku. Clostermann był pilotem sił powietrznych Wolnych Francuzów i RAF. Brał udział w przeszło 400 misjach bojowych, w trakcie których dopisywało mu niesamowite szczęście. Zestrzelił mnóstwo wrogich maszyn, a sam – często cudem – uniknął śmierci.

Oto próba talentu literackiego Clostermanna. Poniższy fragment dotyczy walki powietrznej, która

miała miejsce w stratosferze! Przy oszałamiającej prędkości 850 km na godzinę.

„Tylko jedna krótka seria – pisze autor. – Niemiecki Bf 109 rozrywa się jak naciągnięty jedwabny papier i pęka jak owoc granatu. Jedno ze skrzydeł odrywa się, trzepocąc. Silnik i części kadłuba lecą dalej jak torpeda, a tylne usterzenie i rozmaite szczątki fruwią na wszystkie strony. Jeden z zapasowych zbiorników mknie spiralą w otchłań, pozostawiając za sobą warkocz z oparów płonącej benzyny.

Musimy wyjść z nurkowania! Daję pełny obrót dźwigni wysokości. W jednej chwili spada mi na oczy czerwona zasłona. Czuję, jak chrupoczą mi kości i kręgosłup, niemal rozrywa mi bebechy. Mięśnie policzków chcą mi wyrwać nerwy wzrokowe. Mam wrażenie, że ktoś grzebie mi palcami w oczodołach. Nagle robi się ciemno.”

To tylko jeden z niesamowitych opisów walk powietrznych, od których roi się na kartach „Wielkiego cyrku”. Aż trudno uwierzyć, że Clostermann – doświadczywszy tylu przeciążeń i ran – dożył spokojnej starości. Zmarł w 2006 r. jako szanowany przemysłowiec. Prawdziwy francuski bohater! ©



★★★★★
PIERRE
CLOSTERMANN
„WIELKI CYRK”
BELLONA



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Prawda
i legenda
o flocie II RP

Propaganda jest ważnym elementem prowadzenia polityki, a szczególne miejsce zawsze zajmowała krytyka błędów poprzedników. A jeżeli nawet nie popełniali specjalnych uchybień, to zawsze można było odpowiednio zinterpretować przebieg wydarzeń. Po upadku II RP krytykę sanacji zajmowały się emigracyjne władze londyńskie, a potem temat przejął rząd PRL. W obu przypadkach cel był jasny – wykazać, że odpowiedzialność za kraj ponosiła banda karierowiczów i dyletantów, która doprowadziła do jego upadku.

Szczególnie łatwym celem wydawały się siły zbrojne, gdyż katastrofa militarna we wrześniu 1939 r. nie znajdowała analogii w dotychczasowej historii Europy. Tym bardziej że poniosło ją państwo dysponujące czwartą armią na kontynencie i mające ambicje prowadzenia niezależnej polityki. Nie zwracano uwagi na to, że klęska nastąpiła po skoordynowanym ataku znacznie liczniejszych sił niemieckich i sowieckich, a w takiej sytuacji nawet Napoleon Bonaparte nie miałby wiele do powiedzenia.

Dużo nieporozumień narodziło się wokół wyposażenia polskich sił zbrojnych, a szczególnie floty. Zarzucano, że z powodu mocarstwowych ambicji niszczyciele i okręty podwodne były zbyt potężne jak na warunki bałtyckie. Specyfika akwenu miała bowiem

promować jednostki lekkie i zwrotne, a największe polskie okręty miały nie być kompletnie nie przystosowane do działań na obszarze stosunkowo niewielkiego i płytkiego morza.

Krytycy jednak z rozmysłem pomijali to, że polska marynarka wojenna była tworzona z myślą o wojnie z Sowietami. Warto bowiem pamiętać, że jedynym portem ZSRS w tych latach był Leninogród (obecnie Petersburg), a właściwie baza Kronsztad na wyspie Kotlin. Wybrzeże na południe od Leningradu należało natomiast do państw bałtyckich i III Rzeszy.

Pod tym kątem rozbudowywano właśnie polską flotę od początku lat 30. Niszczyciele „Wicher” i „Burza” (podniesienie bandery 10 sierpnia 1932 r.), a szczególnie „Grom” i „Błyskawica” były nie tylko potężniejsze od swoich bolszewickich odpowiedników, lecz także znacznie szybsze od sowieckich krążowników. Posiadając silne uzbrojenie torpedowe, mogły przeprowadzić szybki atak, a następnie wycofać się poza zasięg ciężkich dział. Natomiast trzy okręty podwodne typu Wilk miały za zadanie zaminować wyjście z Zatoki Fińskiej, a dwa największe – „Orzeł” i „Sęp” – storpedować duże sowieckie okręty. Wszystko to jednak runęło, gdy okazało się, że przeciwnikiem polskiej floty będą okręty niemieckie. Ale to już temat na inny felieton. ©



Dominika Ćosić

Dzięki destabilizowaniu sytuacji na Bałkanach, w tym także w Kosowie, Rosja chce odwrócić uwagę od wojny na Ukrainie

Kosowo nie od dziś jest potencjalnym punktem zapalnym. Wraz z Republiką Serbską to dwa najbardziej wrażliwe regiony na Bałkanach. Wystarczy byle iskra, a raczej inspiracja ze strony krajów ościennych, by doszło do wybuchu.

Dla Serbów Kosowo to ich historyczna kolebka, z której wywodzi się pierwsza serbska dynastia królewska; kolebka, która została im odebrana z pogwałceniem prawa międzynarodowego. Dla Albańczyków to teren, w którym od kilkudziesięciu lat stanowią większość i do którego roszczą sobie prawo.

Jeszcze na początku XX w. Serbowie w Kosowie stanowili większość mieszkańców. W czasie drugiej wojny światowej wielu z nich jednak opuściło Kosowo, ustępując miejsca Albańczykom. Po wojnie przez jakiś czas Tito pozostawiał granicę między Kosowem (będącym częścią Jugosławii) a Albanią otwartą, by mogli ją przekroczyć ci, którym doskwierał reżim Envera Hodży.

Na zmianę proporcji wpłynęła także kwestia demografii – według statystyk Albańczycy mają co najmniej trzykrotnie wyższy przyrost naturalny niż Serbowie. Kobiety albańskie uważane są już po Palestynkach za najbardziej płodne, ze współczynnikami dzietności powyżej pięciorga dzieci na kobietę. Arafat powtarzał: „Nasze kobiety są naszą bronią biologiczną” i tą bronią także posługiwali się przez lata Albańczycy. W efekcie w latach 90. Albańczycy stanowili już prawie 90 proc. populacji Kosowa. Tuż po nich plasowali się oczywiście Serbowie, a także Romowie.

Albańczycy z Kosowa byli większością, ale nie przekładało się to na ich pozycję społeczną. W porównaniu z Serbami zarabiali o wiele mniej, byli gorzej wykształceni i byli w większości zatrudniani do najprostszych prac fizycznych. Pogłębiało to ich frustrację. Na to nakładała się także kwestia religii – prawosławni Serbowie kontra muzułmańscy Albańczycy, z czasem coraz bardziej się radykalizują.



Siły bezpieczeństwa blokujące drogę na granicy kosowsko-serbskiej, Mitrowica, 31 lipca. Na zdjęciu widoczny specjalny oddział włoskich karabinierów, który pełni na świecie misje pokojowe. FOT. ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

ją. Notabene, w latach 90. przyjeżdżał tam Osama bin Laden, by zakładać obozy szkoleniowe.

DAŻENIE DO SECESJI

Pod koniec lat 80. Slobodan Milošević radykalnie zmniejszył autonomię Kosowa, które podobnie jak Wojwodina cieszyło się statusem okręgu autonomicznego. W odpowiedzi Albańczycy zaczęli budować swoje niezależne od oficjalnych struktur państwo, m.in. z alternatywnym systemem edukacji. Wtedy powstała także Wyzwolenie Armia Kosowa. Serbowie mieli władzę, ale byli mniejszością i czuli się coraz bardziej fizycznie zagrożeni. Albańczycy byli biedną większością, dążącą coraz silniej do secesji. Zaczęło dochodzić do napadów na mieszkających w Kosowie Serbów oraz do walki między jednostkami serbskimi i albańskimi. Kiedy Serbia wysłała do Kosowa swoje wojsko i policję, zaczęło dochodzić już do regularnych walk pomiędzy oddziałami serbskimi a partyzantką albańską.

Pod koniec lat 90. sytuacja była już bardzo napięta. Nie było tygodnia bez walk i ofiar śmiertelnych. Albańczycy oskarżali Serbów o mordowanie ludności cywilnej. I to stało się oficjalnym pretekstem do nalotów NATO na Serbię. Drugim powodem nalotów była chęć odsunięcia Miloševića od władzy. Politycy międzynarodowi mieli nadzieję, że Serbowie pod wpływem nalotów sami doprowadzą do jego obalenia. Stało się inaczej. Nawet ci Serbowie, którzy do tej pory działali w opozycji, w obliczu

zagrożenia zewnętrznego zjednoczyli się i stanęli za Miloševićem. Serbowie do dziś nie potrafią wybaczyć NATO tych nalotów. I tak jak wcześniej już mieli bliskie z Rosją, jeszcze je zacieśnili.

Decyzja o bombardowaniu suwerennego kraju, niezagrażającego bezpośrednio żadnemu z krajów członkowskich NATO, podjęta z naruszeniem wszelkich procedur, wbrew rezolucji ONZ i niezgodnie z prawem międzynarodowym, była jednym z największych błędów w historii paktu północnoatlantyckiego. Konsekwencją bezpośrednią było rozpoczęcie kosowskiej drogi ku niezależności. Tę niepodległość Kosowo proklamowało w lutym 2008 r. Pięć krajów unijnych do tej pory jej nie uznało: Rumunia, Cypr, Grecja, Hiszpania oraz Słowacja. Kraje te nie kierowały się sympatią do Serbii, ale obawą przed prawem precedensu. Każde z nich ma bowiem regiony, które mają tendencje separatystyczne, tak jak chociażby hiszpańskie Katalonia czy Kraj Basków.

Ówczesny prezydent RP Lech Kaczyński zdawał sobie sprawę z negatywnych konsekwencji uznania niezależności Kosowa. Wiedział, że Rosja będzie się później mogła powoływać na precedens w prawie międzynarodowym i będzie go mogła wykorzystać do destabilizowania innych krajów. Zatem tak długo, jak mógł, zwlekał z podpisaniem polskiej zgody na niezależność Kosowa. Z kolei ówczesny premier Donald Tusk był jednym z tych polityków, który jako jeden z pierwszych deklarował poparcie dla niezależności Kosowa.

niezgody



O tym, że to Lech Kaczyński miał rację, można się było przekonać zaledwie kilka miesięcy później, kiedy to w sierpniu 2008 r. doszło do wojny w Gruzji i w efekcie secesji Osetii i Abchazji. Zgodnie z przewidywaniami także autorki tego tekstu Rosja powołała się wówczas na casus Kosowa. Podobnie uczyniła kilka lat później w przypadku aneksji Krymu.

ZACHÓD TRACI SERBIĘ

Od 2008 r. Serbia zaczęła jeszcze bardziej zbliżać się do Rosji. A ta, m.in. za pomocą filmów i mediów, konsekwentnie umacnia swój wizerunek kraju, który jest jedynym sprzymierzeńcem i przyjacielem Serbii – jedynym krajem, który się sprzeciwiał nalotom NATO na Serbię w 1999 r., oraz jedynym krajem, który sprzeciwiał się także niezależności Kosowa w 2008 r. To półprawdy, ale konsekwentnie i uporczywie powtarzane przynoszą efekt w postaci odwracania się Serbów od wspólnoty transatlantycznej. Zachód traci Serbię.

W samym Kosowie już od zakończenia nalotów w 1999 r. zaczęło dochodzić do czystek etnicznych dokonywanych na ludności serbskiej oraz romskiej przez Albańczyków. Zaczęło także dochodzić do systemowego niszczenia serbskiej obecności materialnej w przestrzeni publicznej, do niszczenia serbskich zabytków.

Obecnie kraj de facto podzielony jest na dwie części. Północne Kosowo zamieszkane jest większości przez

Serbów, a południowe – przez Albańczyków. Sytuacja cały czas jest napięta. W ubiegłym roku Serbów zbulwersowała decyzja władz Kosowa dotycząca zakazu wjazdu na terytorium pojazdów o serbskich tablicach rejestracyjnych. Niedługo później oliwy do ognia dolał także sposób organizowania wyborów. Do tej pory przyjęło się, że Serbowie, którzy mieszkali w Kosowie, głosowali w wyborach ogłaszanych w Serbii i wówczas głosy oddawali w specjalnie organizowanych dla nich punktach wyborczych na terenie Kosowa, które były nadzorowane przez OBWE. Teraz władze kosowskie chciały tego zabronić.

Kilka dni temu to właśnie decyzja dotycząca tablic rejestracyjnych ponownie sprawiła, że Serbowie zbudowali barykady przy granicy między Serbią a Kosowem. Zaczęła się wojna informacyjna i propagandowa. Serbowie oskarżają Albańczyków o to, że ci podejmą próbę zaatakowania granic Serbii. Albańczycy oskarżają Serbów o próby wywołania zamieszek i wprowadzenia anarchii oraz strzelaniny. Albańczycy mówią o agresywnym serbskim nacjonalizmie. A Serbowie o tym, że Albańczycy krok po kroku próbują urzeczywistnić wizję wielkiej Albanii – czyli połączenia Kosowa, Albanii i części Macedonii w jedno państwo. Tu wodą na młyn są wypowiedzi polityków i z Prisztiny, i z Tirany.

NIEMCY, USA I ROSJA

Na terenie Kosowa, podobnie zresztą jak na terenie Republiki Serbskiej,

bardzo aktywni są wielcy międzynarodowi gracze. Największą aktywnością wykazują się Niemcy, Stany Zjednoczone i Rosja. Trzeba wspomnieć o tym, że to Donaldowi Trumpowi udało się doprowadzić do porozumienia między Serbami i Albańczykami z Kosowa. Było to przynajmniej chwilowe polityczne zawieszenie broni.

W ciągu ostatnich miesięcy do Kosowa, podobnie jak i do Republiki Serbskiej, jeździli czołowi niemieccy politycy, w tym kanclerz. W tym samym czasie do Belgradu podróżowali intensywnie politycy rosyjscy.

I Rosji, i Niemcom, i Stanom Zjednoczonym chodzi oczywiście o zwiększenie swojej strefy wpływów. W przypadku Rosji jest jeszcze dodatkowy cel – dzięki destabilizowaniu sytuacji na Bałkanach, w tym także w Kosowie, Rosja chce odwrócić uwagę od wojny, którą toczy na Ukrainie. Gwoli uczciwości trzeba stwierdzić, że Rosja w przypadku Bałkanów nie tyle tworzy nowy problem, ile wykorzystuje problem już istniejący.

Czy jest jakieś rozwiązanie tego problemu? Teoretycznie najlepszym sposobem byłoby podzielenie Kosowa wzdłuż granic etnicznych tudzież wymiana terytoriów. W myśl tej koncepcji północne Kosowo stałoby się ponownie serbskie, natomiast Albańczycy z Kosowa otrzymaliby w zamian południowy region Serbii, rejon miast Preševo i Bujanovac, który jest w większości zamieszkanym przez ludność albańską. Pomysł teoretycznie dobry. Niestety, w przypadku przede wszystkim Bałkanów każda dyskusja i rozmowa na temat potencjalnej zmiany granic grozi wybuchem nowego konfliktu. I zarówno w przypadku Kosowa, jak i Republiki Serbskiej oraz Bośni i Hercegowiny właściwie każde rozwiązanie jest złe. Niczym w słynnym bośniackim filmie „Ziemia niczyja” – złe i ryzykowne są zarówno próby rozwiązania konfliktu, jak i pozostawanie bezczynnym. Bałkany nieraz już w historii okazywały się beczką prochu. A konflikty tu zapoczątkowane miały moc przetwarzania się w konflikty światowe. Jedynym sensownym pomysłem byłoby w tym momencie po prostu zwiększenie oddziaływań międzynarodowych sił pokojowych zarówno na terenie Kosowa, jak i Bośni i Hercegowiny.



Maciej Pieczyński

Litwa znalazła sposób, by pomimo ustępliwej wobec Rosji polityki Brukseli zablokować jednak częściowo obwód kaliningradzki. Wbrew pozorom to przemysłowa i ostrożna polityka

Pod koniec czerwca Litwa wstrzymała tranzyt około połowy towarów, które drogą lądową są transportowane do i z obwodu kaliningradzkiego. Moskwa zareagowała histerycznie. Wprowadzone ograniczenia nazwano „blokadą” Kaliningradu. Termin ten pojawiał się również w polskich mediach, jednak może wprowadzać w błąd. Po pierwsze, Litwa dalej przepuszczała przez swoje terytorium drugą połowę towarów. Po drugie, ograniczenia nie dotyczyły drogi morskiej (przestrzeń powietrzną dla Rosji Litwa zamknęła już w lutym). Po trzecie, rosyjska propaganda nieprzypadkowo użyła takiego, a nie innego terminu. Kojarzyć się ma on z blokadą Leningradu przez Niemców w czasie drugiej wojny światowej. Rzecznik Kremla Dmitrij Pieskow nazwał działania Wilna „niezgodnymi z prawem” i zapowiedział, że nie pozostaną one bez odpowiedzi ze strony Moskwy.

REALIZACJA POLITYKI BRUKSELI

Tymczasem ograniczenia wynikały z czwartego pakietu sankcji unijnych nałożonych na Rosję. Zawarto w nim zakaz importu i tranzytu materiałów budowlanych, stali, węgla i niektórych innych towarów. Ponadto normalnie funkcjonował drogowy i kolejowy transport pasażerów. Litwa zapowiedziała też, że nie wprowadzi żadnych dodatkowych ograniczeń poza tymi unijnymi. Tak naprawdę Wilno realizowało więc politykę Brukseli. Inna sprawa, że w tym momencie zgodna z własną linią. To bowiem Litwa, tradycyjnie już, obok pozostałych państw bałtyckich czy Polski, stoi w pierwszym szeregu zachodniego nacisku na Rosję, a nawet przed ten szereg wychodzi. Co jednak istotne, niemal za każdym razem swoje zdecydowane działania przedstawia jako wynikające ze wspólnego stanowiska tak czy inaczej (Unia, NATO) rozumianego Zachodu.

Wilno się Moskwie nie kłania



Ciężarówki na międzynarodowym posterunku celnym Czernyszewskie na granicy rosyjsko-litewskiej w obwodzie kaliningradzkim w Rosji, 22 czerwca 2022 r. FOT. AP/EAST NEWS

W połowie lipca Komisja Europejska ogłosiła nowe wytyczne w sprawie sankcji. „Tranzyt drogowy towarów objętych sankcjami przez rosyjskich operatorów nie jest dozwolony na mocy środków ograniczających UE. Podobny zakaz nie istnieje w przypadku transportu kolejowego, o ile odbywa się on bez uszczerbku dla obowiązku przeprowadzania przez państwa członkowskie skutecznych kontroli” – czytamy w oficjalnym komunikacie KE. Bruksela złądziła nacisk na Rosję. Konieczność podporządkowania się decyzjom KE premier Ingrida Šimonytė nazwała „szacunkiem dla jedności transatlantyckiej i dla naszych partnerów”. Jednak pod koniec lipca okazało się,

że Litwa najprawdopodobniej znalazła sposób, aby uderzyć w Kaliningrad bez wyłamywania się z „euroatlantyckiej solidarności”. Šiaulių Bankas, czyli jedyny bank obsługujący tranzyt, zapowiedział, że od września wstrzyma wszelkie transakcje z Rosją. De facto może to oznaczać blokadę, bo przecież transport nie ruszy, jeśli nie będzie możliwości opłacenia go. Moskwa znów zaprotestowała. Przy czym znów samo Wilno do pewnego stopnia umywa ręce. Šiaulių Bankas to bank prywatny. Teoretycznie więc władze nie mają z tym nic wspólnego. Taka też jest narracja litewskiego MSZ. – Banki na Litwie mają daleko idącą autonomię. Jak dokładnie będzie z rozliczeniami,

okaże się we wrześniu. Na razie tranzyt się odbywa. Jest ograniczony, ale nie w takim stopniu, jak chciała tego Litwa – studzi emocje politolog litewski prof. Andrzej Puksztó.

Wcześniej z obsługi płatności za tranzyt rosyjskich towarów wycofały się dwa inne litewskie banki. Šiaulių Bankas był ostatnim, który jeszcze nie włączył się do finansowej „blokady Kaliningradu”. – Narracja oficjalna jest taka, że to była decyzja samego banku. Nic nie wskazuje na to, by została wymuszona naciskami ze strony rządu – mówi „Do Rzeczy” dr Aleksandra Kuczyńska-Zonik z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, kierownik Zespołu Bałtyckiego Instytutu Europy Środkowej. – Z drugiej strony, żadna presja polityczna nie była potrzebna. Na Litwie również sektor prywatny rozumie konieczność ograniczania relacji gospodarczych z Rosją. Ponadto, również z ekonomicznego punktu widzenia, to była decyzja racjonalna. Obsługując płatności za transport tych czy innych towarów do Rosji, banki litewskie narażają się na potencjalne restrykcje wynikające z sankcji. To się nie opłaca – dodaje.

Tak czy inaczej, nawet jeśli rzeczywiście litewski sektor bankowy nie będzie obsługiwać transakcji za tranzyt, Rosja prędzej czy później zapewne i tak znajdzie inny bank, który te transakcje zrealizuje. Niemniej działania Litwy (czy to prywatnego sektora, czy to władz) niewątpliwie uprzykrzają życie Moskwie.

BEZ KOMPROMISU

Litwa konsekwentnie prowadzi bezkompromisową politykę zarówno wobec Moskwy, jak i Mińska. To właśnie w Wilnie znalazła schronienie Swiatłana Cichanouska. Litwa od razu po sfałszowanych przez Łukaszenkę wyborach wspólnie z Polską stanęła po stronie białoruskiej opozycji. Co też, podobnie jak Polska, przypląciła atakiem hybrydowym na swoje granice. To jednak na razie jedyna poważna konsekwencja twardego kursu na powstrzymywanie Putina i Łukaszenki. Po 24 lutego 2022 r. Litwa nieustannie wzywa Unię do wprowadzania coraz to nowszych sankcji na Rosję. Patriarcha moskiewski Cyryl otrzymał zakaz wjazdu do tego kraju. Wstrzymało wydawanie wiz dla Rosjan. W maju Seimas jednogłośnie przyjął rezolucję uznającą inwazję na Ukrainę za ludobójstwo, a Rosję – za państwo terrorystyczne. Rzeczniczka rosyjskiego MSZ Maria

Zacharowa nazwała tę decyzję „elementem prowokacji, ekstremizmu i politycznej hipokryzji”. W pewnym momencie deputowany Jednej Rosji zgłosił projekt ustawy kwestionującej litewską niepodległość. A jednak Wilno wciąż nie składa dyplomatycznej broni. Małe państwo na wschodnich rubieżach Zachodu versus agresywne mocarstwo atomowe – czy to odwaga, rozsądek czy szaleństwo?

Gospodarczo Rosja nie bardzo może Litwie zagrozić. – Całe szczęście mamy terminal LNG w Kłajpedzie. Z kolei rafineria w Możejkach jest w rękach Orlenu, choć było ryzyko, że zostanie przejęta przez rosyjski Łukoil. Jesteśmy niezależni energetycznie od Moskwy – mówi prof. Puksztó. Wilno ustawowo zakazało importu gazu z Rosji. Władze deklarują, że są również przygotowane na ewentualne odłączenie od wspólnej sieci elektrycznej przez Moskwę. Od 2025 r. również w tym aspekcie Litwa uniezależni się od Rosji – wtedy ma bowiem zostać podłączona do sieci unijnej. Również mniejszość rosyjska na Litwie nie jest argumentem w rękach Kremla, ponieważ, jak wskazuje prof. Puksztó, zachowuje się lojalnie wobec władz w Wilnie i nic nie wskazuje na to, by miało się to zmienić.

NIE ZASZKODZIĆ SOBIE

Nie jest jednak tak, że Litwa całkowicie odcięła się gospodarczo od Rosji. Trudno z dnia na dzień zerwać wszelkie relacje handlowe. Zwłaszcza że przed inwazją na Ukrainę Rosja była pierwszym partnerem eksportowym Litwy. – Pojawiały się pomysły, by zupełnie uniemożliwić Rosjanom możliwość inwestowania. Myślę, że nie dojdzie do wprowadzenia takich rozwiązań, gdyż byłyby zbyt szkodliwe dla gospodarki litewskiej. Niemniej tamtejsi przedsiębiorcy szukają nowych partnerów handlowych, nowych rynków zbytu – mówi dr Kuczyńska-Zonik. – Z kolei opozycyjne ugrupowania, takie jak partia Zielonych Chłopów czy socjaldemokraci, co jakiś czas proponują, by jednak zastanowić się nad powrotem – może nie w obecnej sytuacji, ale w przyszłości – do handlu z Rosją – dodaje. Jak widać, najmniej „antyrosyjską” postawę prezentuje lewica. Jednak głosy te są bardzo ostrożne i dotyczą jedynie spraw gospodarczych. Generalnie bowiem na scenie politycznej panuje konsensus w sprawie stosunku do Rosji.

– Litwa wspiera dziś Ukrainę w jej prozachodnim kursie, tak jak na przełomie lat 80. i 90. Polska wspierała Litwę.

Gdyby nie takie solidarnościowe działania, nigdy nie byłoby rozszerzenia NATO i UE na wschód, co z kolei poprawia bezpieczeństwo wszystkich w regionie. Ponadto doświadczenie historyczne nauczyło Litwinów, że z Rosją nie można się układać – mówi „Do Rzeczy” dr Barbara Jundo-Kaliszewska, historyk i politolog z Katedry Teorii Polityki i Myśli Politycznej Uniwersytetu Łódzkiego. Jak dodaje, choć Rosja nieustannie wygraża Litwie, to mizerne postępy na froncie ukraińskim pokazują, że Moskwa nie jest jeszcze gotowa, by zagrozić krajom bałtyckim.

– Polityka UE wobec Rosji najbardziej dotyczy państw z nią graniczących, stąd też nic dziwnego, że Litwa stara się ją kreować. I kierować na tory sankcji, bo to leży w jej interesie. Te zaś wprowadzać może tylko UE, bez której Litwa nie miałaby żadnej siły przebicia – mówi dr Kuczyńska-Zonik. Zdaniem prof. Puksztó Litwa prowadzi twardą politykę wobec Rosji, ponieważ nie ma nic do stracenia. – Putin od dawna mówi otwartym tekstem, że jego cel to odtworzenie granic dawnego ZSRS. W jego planach nie ma miejsca na niepodległą Litwę. Co i rusz pojawiają się pomysły, by „odblokować” terytorialnie obwód kaliningradzki. Dlatego uległość wobec Rosji nie ma sensu – przekonuje politolog. Przyznaje jednak, że Litwa, jako małe państwo, w ewentualnej konfrontacji z wciąż potężnym mocarstwem atomowym nie miałaby szans. – I właśnie dlatego strategia Wilna to trzymać się mocno parasola – czy to w postaci NATO, czy to w postaci Unii Europejskiej. Litwa wychodzi przed szereg, ale robi jeden, nie dwa kroki. Ostatecznie utrzymuje bardzo dobre relacje z całym Zachodem. Stara się kierować politykę UE i NATO na twardy kurs wobec Rosji, ale kiedy te starania nie przynoszą skutku, podporządkowuje się wspólnej linii sojuszników. Stara się dbać o dobre relacje z Brukselą, bo to jedyny gwarant jej bezpieczeństwa. Litwa miała ogromne szczęście, że zdążyła wejść do NATO w 2004 r., czyli w czasach, gdy Putin jeszcze nie był tak silny jak obecnie i nie był w stanie zatrzymać prozachodniego kursu byłej republiki sowieckiej – mówi prof. Puksztó. Czy jednak nie byłoby bezpieczniejsze, gdyby Litwa, pozostając w zachodnich sojuszach, prowadziła „wielowektorową” politykę w stylu np. Węgier? Zdaniem prof. Puksztó, wówczas skończyłaby jak Białoruś.



Witold Repetowicz

Rodowitych Szwedów jest w Szwecji coraz mniej, co ma już odzwierciedlenie w polityce. Jedną z najbardziej aktywnych politycznie grup etnicznych są tam Kurdowie, to jest istotne w kontekście starań Szwecji o członkostwo w NATO. Tymczasem szwedzkie władze są coraz mocniej krytykowane za to, że doprowadziły do segregacji etnicznej i utrwalania patologicznych zjawisk takich jak „kultura honoru”

Szwecja, podobnie jak cała Europa, cierpi na kryzys demograficzny i starzenie się społeczeństwa. Pięćdziesiąt lat temu współczynnik dzietności (czyli liczba dzieci przypadająca na kobietę w wieku rozrodczym) spadł tam poniżej poziomu zastępowalności pokoleń (tj. 2,1). Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie to, że równocześnie liczba ludności wzrosła o 25 proc. (z 8 do 10 mln). Dla porównania: w Polsce, od kiedy współczynnik dzietności spadł poniżej poziomu zastępowalności pokoleń, populacja spadła o kilkaset tysięcy w ciągu 25 lat. Szwecja w tym czasie otworzyła swoje podwoje na oścież dla imigrantów i uchodźców.

Obecnie ocenia się, że 25–30 proc. populacji Szwecji stanowią osoby urodzone poza jej granicami lub których oboje rodzice urodzili się za granicą, w większości poza Europą. Największą liczbę, jeśli chodzi o kraj pochodzenia, stanowią przybysze z Syrii (ponad 200 tys.) oraz Iraku (ponad 150 tys.). Sporo jest też osób, które urodziły się w Iranie, Somalii, Afganistanie i Turcji. Jednak żeby mieć pełny obraz pochodzenia etnicznego, trzeba uwzględnić znaczne populacje narodów bez państwa – chrześcijańskich Asyryjczyków (ok. 150 tys.) i Kurdów (również ok. 150 tys.). Ma to określone konsekwencje polityczne, zwłaszcza w kontekście groźb Turcji dotyczących zablokowania szwedzkiego członkostwa w NATO. Wprawdzie na szczycie NATO



Nowa Szwecja

Osiedle Herrgården w Malmö jest w większości zamieszkane przez imigrantów
FOT. PAUL EDWARDS/NEWS LICENSING/FORUM



w Madrycie Turcja cofnęła swój sprzeciw po podpisaniu Memorandum ze Szwecją i Finlandią, ale szybko się okazało, że strony inaczej je interpretują, a akcesję tych dwóch krajów do NATO musi jeszcze ratyfikować turecki parlament.

WSPÓLNI WROGOWIE SZWECJI I KURDÓW

Prezydent Turcji Recep Tayyip Erdoğan zarzucił Szwecji „wspieranie PKK” (tj. Partii Pracujących Kurdystanu, z którą Turcja prowadzi od 40 lat wojnę). Żądał też dymisji szwedzkiego ministra obrony Petera Hultqvista za rzekome spotkanie z „terrorystami PKK”, a ambasador Turcji w Sztokholmie oświadczył, że kraj ten domaga się „ekstradycji” kurdyskiej deputowanej do Riksdagu Amineh Kakabaveh (w ramach listy kiludziesięciu „terrorystów”, których Turcja domaga się wydania). Oczywiście trudno się spodziewać, by Szwedzi, tak przywiązani do bardzo szeroko rozumianych praw człowieka i demokracji, zareagowali na takie oczekiwania autorytarnego reżimu, znanego ze stosowania tortur w więzieniach i gwarancji niesprawiedliwego procesu, inaczej niż oburzeniem.

Ponadto Szwecja nigdy nie wspierała PKK i jako jedno z pierwszych państw w Europie wpisała ją na listę organizacji terrorystycznych. Problem w tym, że Turcja od kilku lat próbuje narzucić interpretację, że syryjskie oddziały YPG/SDF, które wstąpiły się walką z Państwem Islamskim (w sojuszu z USA), to „terroryści PKK”. Fakt, że nie tylko Hultqvist, lecz także szefowa szwedzkiej dyplomacji Ann Linde spotykali się z dowódcami YPG, wynika z tego, że dżihadysty Państwa Islamskiego są wspólnym wrogiem Szwecji i Kurdów (a także bliskowschodnich chrześcijan, w szczególności Asyryjczyków), ale już niekoniecznie Turcji. Do walki dla „kalifatu” wyjechało wielu muzułmanów ze szwedzkim obywatelstwem, a niektórzy z nich znajdują się wciąż w niewoli YPG i Szwecja wcale nie jest zainteresowana ich powrotem, bo i tak ma już dosyć problemów z „integracją”.

Memorandum podpisane w Madrycie wywołało krytykę ze strony partii lewicowych, w szczególności Lewicy i Zielonych. Problem w tym, że rządzący socjaldemokraci potrzebują wsparcia tych partii, gdyż bez nich nie mają większości. To jednak nie wszystko. Kurdowie, obok Asyryjczyków (którzy

również nie mają powodów, by kochać Turcję i islamistów), a także lewicowych, liberalnych i ateistycznych Irańczyków, są jedną z trzech pozaeuropejskich grup etnicznych mających największą reprezentację w Riksdagu.

W 2018 r. do 349-osobowego szwedzkiego parlamentu dostało się ok. 29 deputowanych pochodzących z rodzin przybyłych do Szwecji spoza Europy, w tym sześć Kordów, dziewięć Irańczyków i siedem chrześcijan bliskowschodnich. Natomiast Turków w Riksdagu jest tylko dwoje, w tym jedna deputowana powiązana z Szarymi Wilkami, tj. tureckimi ekstremistami. Również muzułmanów w Riksdagu nie ma zbyt wielu, gdyż Kurdowie i Irańczycy to przeważnie ateści lub chrześcijanie. Somalijczycy, których w Szwecji jest niemal tyle co Irańczyków i dwa razy mniej niż Kurdów lub Asyryjczyków, mają w Riksdagu tylko jedną deputowaną – stale ubraną w hidżab Leilę Ali-Elmi z partii Zielonych.

Szwedzką partię Zielonych próbowali opanować Turcy, co skończyło się groźnym skandalem

Warto przy tym nadmienić, że tę właśnie partię próbowali opanować Turcy, co skończyło się głośnym skandalem dotyczącym Mehmeta Kaplana. Ten pochodzący z Turcji i reprezentujący Zielonych minister mieszkalnictwa i urbanistyki w latach 2014–2016, a zarazem były szef organizacji młodych muzułmanów, miał powiązania z Szarymi Wilkami i turecką organizacją islamskich ekstremistów Milli Gorus. Zanim doszło do jego dymisji, przez wiele miesięcy doniesienia o tym były kontrowane oskarżeniami o rasizm, a on sam wysyłał pogróżki do aktywistów krytykujących aranżowane małżeństwa nieletnich muzułmanek w Szwecji.

Nie była to zresztą jedyna afera z muzułmańskimi politykami w Szwecji. W 2010 r. do Riksdagu, z ramienia konserwatywnej Moderaty, dostał się Somalijczyk Abdirizak Waberi, szef organizacji islamskiej z Göteborga, prowadzącej tam trzy szkoły muzułmańskie, na które zresztą dostawał obfite dotacje ze

Strony szwedzkiego państwa, mimo że promowały one zupełnie nieszwedzkie wartości: szariat, segregację płciową czy cztery żony dla muzułmanina. Znacznie gorsze było jednak to, że ów deputowany miał powiązania z dżihadystycznymi organizacjami w Somalii. Szwecja to tolerowała, bo przecież krytyka muzułmanów to rasizm. W 2021 r. wyszło na jaw, że Waberi zdefraudował 1,5 mln dol. rządowych dotacji, które przysyłał stworzonej przez siebie partii w Somalii. Zgodnie z jej programem islam miał być jedyną dozwoloną religią, a Koran źródłem prawa. Waberi planował wystartować z jej ramienia na prezydenta Somalii, ale zamiast tego trafił do więzienia w Szwecji, skazany w kwietniu 2022 r. na cztery i pół roku więzienia.

Krytycznym rokiem, jeśli chodzi o migrację do Szwecji, był rok 2015, gdy do tego skandynawskiego kraju przybyło ponad 160 tys. osób, głównie z Syrii, choć również z Iraku i Afganistanu. Przez kolejne pięć lat imigracja ta utrzymywała się na takim wysokim poziomie, a od 2010 r. do Szwecji przybyło co najmniej 850 tys. osób, czyli jakieś 8,5 proc. obecnej populacji. Przytłaczająca większość z nich pochodzi spoza Europy. Tymczasem otrzymanie obywatelstwa szwedzkiego jest banalnie proste i nie wymaga dobrej znajomości języka, a tym bardziej akceptacji wartości, jakimi kieruje się to państwo. Już za miesiąc odbędą się nowe wybory parlamentarne i większość partii dba o to, by nie urazić tych nowych wyborców, bo chce ich głosów. Trzeba jednak pamiętać, że całe środowisko migrantów nie jest monolitem. Dotąd większość głosowała na lewicę, socjaldemokratów lub zielonych, ale w ostatnich latach coraz więcej antyislamsko nastawionych ateistów, głównie Irańczyków, a także chrześcijańskich Asyryjczyków, zaczęło popierać „skrajnie prawicowych” Szwedzkich Demokratów. Z drugiej strony nowa migracja z ostatniej dekady spowodowała wzrost liczby słabo zintegrowanych muzułmanów, z którymi Szwecja ma ogromny problem.

Nie chodzi przy tym wyłącznie o aktywność gangów czy zagrożenie terrorystyczne. Znacznie mniejsze zainteresowanie wywołują problemy wewnętrzne środowisk migrantów, zwłaszcza dotyczące „kultury honoru”. Dwadzieścia lat temu Szwecją wstrząsnęło głośne zabójstwo honorowe 27-letniej Fadime Sahindal, pochodzącej z rodziny

przybyłych z Turcji Kurdów. Fadime nie tylko sprzeciwiła się planom aranzowanego małżeństwa z jakimś kuzynem w Turcji, lecz także związała się ze Szwedem, a następnie zaczęła walkę o to, by dziewczyny z migrantkich rodzin miały takie same prawa co rodowite Szwedki. Dlatego zastrzelił ją ojciec. Władze zapowiedziały wówczas, że nigdy więcej nie dopuszczą do takich patologicznych zjawisk, ale rzeczywistość negatywnie to zweryfikowała. Szwedzcy politycy bronili się jak mogli przed łączeniem kolejnych zabójstw i samobójstw (np. wylatujących z okien dziewczyn zwanych „balcony girls”, których samobójstwa budzą wątpliwości) z pochodzeniem kulturowo-etnicznym. Tymczasem muzułmańscy przywódcy religijni głośno mówili, że nie obchodzą ich żadne prawa, które są sprzeczne z islamem.

Po nadchodzących wyborach parlamentarnych w Szwecji liczba deputowanych pochodzenia migranckiego zapewne wzrośnie

Szwecja zaczęła tworzyć „bezpieczne domy” dla dziewczyn (a czasem również chłopców) z rodzin pochodzenia migranckiego, dla których ich rodziny stanowiły zagrożenie. Jednocześnie jednak odrzuciła pomysły, by przybywający do Szwecji migranci podpisali „kontrakt społeczny” zobowiązujący ich do przestrzegania zasad obowiązujących w Szwecji pod rygorem pozbawienia przyznanego obywatelstwa i nakazu opuszczenia kraju. Bo byłoby to „rasistowskie”. Odrzuciła też sugestie, by migrantów z krajów, w których powszechne jest FGM (wycinanie kobietom łechtaczek), informować, że jest to surowo zakazane w Szwecji. Bo to też byłoby rasistowskie. W rezultacie ocenia się, że ok. 40 tys. kobiet w Szwecji ma wycięte łechtaczki. I tylko trzy przypadki z tym związane trafiły do sądu.

Temat „kultury honoru” pozostaje w Szwecji tematem niewygodnym, którego jak ognia unika większość polityków i mediów. Powodem jest obawa przed oskarżeniem o rasizm. Dlatego najgłośniej o zmiany polityki w tej sprawie walczą lewicowe aktywistki pochodzenia migranckiego, które coraz częściej oskarżają rodowicie

szwedzkie feministki o zdradę. Absurdalność tej sytuacji dopełnia to, że same muszą się liczyć z oskarżeniami o... rasizm. Spotkało to urodzoną w Burundi Nyamko Sabuni, w latach 2007–2013 minister ds. równości płci, po tym, jak zaczęła zwalczać zbrodnie honorowe, FGM i chciała wprowadzić zakaz hidżabów w szkołach.

Wielu Kurdów mieszkających w Szwecji od kilku dekad zintegrowało się jednak ze szwedzkim społeczeństwem. Niektórzy tłumaczą, że problemy z kulturą honoru, aranzowanymi małżeństwami i innymi patologiami wynikały z tego, że ówczesni przybysze byli przeważnie ludźmi niewykształconymi, osadzonymi głęboko w islamie i tradycjach plemiennych oraz naznaczonymi doświadczeniami wojny i dyktatury. Tyle że nawet jeśli Szwecja jakoś zaczynała pokonywać ten problem, to rok 2015 doprowadził do załamania tego procesu. Nowi przybysze zaczęli osiedlać się tam, gdzie już mieszkali ich krewni, a rodowici Szwedzi oraz zintegrowane rodziny migrantkie uciekali z takich miejsc, nie znajdując wspólnego języka ze skrajnie nietolerancyjnymi sąsiadami, których było coraz więcej. Tak doszło do wytworzenia się gett, takich jak podsztokholmskie Rinkeby, a krytycy działań rządu mówią o tym, że zamiast integracji doszło do segregacji. Szwedzcy nauczyciele, mimo oferowanych im dodatków, nie chcieli uczyć w takich dzielnicach, bo się bali. W rezultacie w tamtejszych szkołach i przedszkolach panują nieszwedzkie zasady, w tym segregacja płciowa, a mieszkańcy mówią łamanym szwedzkim, tzw. rinkeby-swedish, co na starcie ogranicza ich szanse zawodowe, pogłębiając tym samym problem braku integracji, narastania przestępczości i zagrożeń ekstremizmem i terroryzmem.

„Nowi Szwedzi” z takich dzielnic jak Rinkeby to jednak również wyborcy, więc wielu szwedzkich polityków wciąż woli upierać się, że jedynym problemem jest „rasizm”. Po nadchodzących wyborach liczba deputowanych pochodzenia migranckiego zapewne wzrośnie. Znacznie ważniejsze może się okazać jednak to, czy będą to islamiści i adwokaci „kultury honoru”. Rok temu powstała też otwarcie islamistyczna partia Nyanset, na której czele stoi Mikail Yuksel, wykluczony w 2018 r. z partii Centrum za związki z terrorystycznymi Szarymi Wilkami. Na razie niewiele wskazuje na to, by osiągnęła ona sukces, ale niektórzy pesymiści uważają, że to kwestia czasu.



NIEMCY CHCĄ ATOMU I GO ZAMKNĄ?

Jak wynika z sondażu „Bild am Sonntag”, 7 na 10 Niemców chce, by elektrownie atomowe w ich kraju dalej działały. Chce tego nawet większość wyborców partii Zielonych (54 proc.). Tymczasem politycy reprezentujący Niemców zarządzili coś zupełnie odwrotnego. Oficjalne plany zakładają wyłączenie do końca roku ostatnich trzech pracujących w Niemczech elektrowni jądrowych.

FOT. ADAM STOK

WYROKI Z WIKIPEDII

Naukowcy z Laboratorium Informatyki i Sztucznej Inteligencji przy amerykańskim Institute of Technology w Massachusetts poprosili studentów prawa o napisanie ponad 150 artykułów dotyczących orzeczeń irlandzkiego Sądu Najwyższego. Potem sprawdzili, jak często sędziowie wydający wyroki w USA powoływali się na te sprawy w swoich orzeczeniach. Doszli do przerażającego wniosku: sędziowie, jak studenci, bardzo często szukają wiadomości w encyklopedii tworzonej przez anonimowych internautów i używają informacji w niej zawartych w wyrokach.

ZEGAREK HITLERA WART MILION

Anonimowy kupiec wyłożył 1,1 mln dol. za zegarek, który – zdaniem części ekspertów – był własnością Adolfa Hitlera. Przedmiot wystawił na licytację dom aukcyjny Alexander Historical Auctions w Maryland w USA. Zorganizowanie takiej aukcji potępiły środowiska żydowskie. Ten sam dom sprzedawał m.in. sukienkę Ewy Braun czy fotografie esesmanów z autografami.

ZA KRÓTKA SPÓDNICA NA EGZEKUCJĘ

Ivana Hrynkiv Shatara, amerykańska dziennikarka pracująca dla serwisu AL.com, przyjechała do zakładu karnego w Alabamie, by relacjonować egzekucję więźnia. Została jednak wyproszona z centrum medialnego. Władze więzienia uznały, że ma za krótką spódniczkę oraz za dużo także odsłaniają jej buty z odkrytymi czubkami. Aby móc wykonać relację, musiała pożyczyć spodnie od jednego z fotografów i założyć trampki.

BARDZO DROGIE KANAPKI

Pewien mężczyzna przyleciał do Australii z indonezyjskiej wyspy Bali. Na miejscu, w Darwin, służby odkryły – a dokładniej pies używany przez służby celne – że miał w bagażu dwie kanapki z międzynarodowej sieci fast food. Po przeszukaniu walizki okazało się, że wiozł także rogala z szynką. Ponieważ nie zgłosił tego przy odprawie celnej, nałożono na niego karę w wysokości 2,6 tys. dol. © © **Łukasz Zboralski**



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Słodka niewiedza

Najwyżsi rangą urzędnicy coraz częściej w zakulisowych rozmowach mocno narzekają na prezydenta Ukrainy – donosi „New York Times”. Według portalu National Review może to oznaczać, że Biały Dom chciałby jak najszybszego zakończenia wojny na Ukrainie, tymczasem Wołodymyr Zełenski nie jest gotowy do współpracy (czytaj: oficjalnego oddania sporej części kraju w zamian za święty spokój i wygrane wybory zachodnich polityków). Drugi wariant: Biały Dom wie już, że wojna rosyjsko-ukraińska idzie źle, więc przygotowuje grunt pod użycie Zełenskiego w charakterze

kozła ofiarnego i ogłoszenie, że USA zrobiły wszystko, aby pomóc Ukraincom, ale władze w Kijowie były „zbyt niekompetentne, zbyt skorumpowane i za bardzo pogrążone we frakcyjnych walkach”, aby odnieść sukces. Prezydent Joe Biden chce bowiem „stabilnych i przewidywalnych relacji” z Rosją, czemu dał dowód, mówiąc w styczniu o „drobnym wtargnięciu”. Również Donald Trump, komplementując „świetnego negocjatora” Putina, zasugerował wprost, że Ukraina powinna była zawrzeć umowę z prezydentem Putinem i zapobiec inwazji Rosji na swój kraj, np. rezygnując z Krymu lub/i marzeń o NATO.

Niedawna wizyta spikerki Izby Reprezentantów na Tajwanie zdaje się potwierdzać tezę, że los Ukrainy jest już przesądzony. Wizyta Pelosi może sprawić, że Pekin zacznie udzielać Moskwie solidnego wsparcia w zastępczej wojnie z Zachodem. Z kolei chiński atak na Tajwan zmusiłby USA do wyniszczającej walki na dwóch frontach.

Czytając te doniesienia, łatwiej zrozumieć wyniki sondażu YouGov, według którego 47 proc. Amerykanów uważa, że gdyby przez miesiąc nie czytali gazet ani nie oglądali telewizji informacyjnych, to byłoby szczęśliwi. Brak świeżych newsów unieszczęśliwiłby tylko 14 proc. © ©

Ivana Trump zmarła w lipcu w Nowym Jorku. Miała 73 lata FOT. JOE MCNALLY/GETTY IMAGES

Jak poślubić milionera

Donald Trump 14 lipca na swoim portalu społecznościowym Truth Social zawiadomił, że jego była żona Ivana Trump zmarła w swoim nowojorskim mieszkaniu. Miała 73 lata. Tydzień później, po katolickim pogrzebie, pochowano ją w miejscowości Bedminster w stanie New Jersey. Jak ujawnił portal Biznes Insider, grób Ivany znajduje się na polu golfowym należącym do Donalda Trumpa. „To sposób na potrójne unikanie podatków. Uniknął podatku od nieruchomości, dochodów i sprzedaży” – skomentowała te informacje na Twitterze ekspertka od podatków, Brooke Harrington z Dartmouth College.

PAN ZELNICEK CHCIAŁ SYNA

Mimo że od wielu lat Ivana nie była żoną byłego prezydenta, wciąż łączyły ją z nim więzy biznesowe oraz – jak twierdziła rodzina – także przyjaźń.

Jej historia to wcielenie american dream. Skromne początki w komunistycznej Czechosłowacji, emigracja, wreszcie glamour pozłacanych salonów nowojorskiej elity. Miała wiele ról: była mistrzynią narciarstwa, modelką, dekoratorką wnętrz, uczestniczką reality show, ikoną nowojorskiej high society. Miała bogate życie, w dosłownym i przenośnym sensie słowa. Pracowita i energiczna pozycję zawdzięczała



Joanna Bojańczyk

Czeska imigrantka stała się symbolem Ameryki lat 80. Była modelką, bizneswoman, bohaterką programów telewizyjnych show, autorką książek. Jej wielobarwne życie rodzinne, przygody erotyczne przez cztery dekady rozgrywały się na publicznej scenie

mężowi. Mieli troje dzieci: Donalda Juniora, Erica i Ivanę.

Historia rozpoczyna się na Morawach, w przemysłowym mieście Gottwaldov, dzisiaj Zlin. Pan Milos Zelnicek chciał mieć syna, ale ponieważ urodziła się dziewczynka, postanowił przynajmniej wychować ją na mistrzynię sportu. – Jak dopłyniesz do tego miejsca, to dam ci pięć dolarów – zachęcał jedynaczkę i wyznaczał jej spory dystans. – Więc dopływałam – wyznała po latach pani Trump portalowi Fashion Week Daily. Jako 15-latką jest już członkiem narodowej reprezentacji i bierze udział w zagranicznych zawodach. Fascynuje ją bogaty Zachód, wówczas trudno dostępny dla obywateli Czechosłowacji. Postanawia, że prędzej czy później tam zamieszka. W 1967 r. przeprowadza się do Pragi, zapisuje na Wydział Kultury Fizycznej Uniwersytetu Karola (uzyska na nim tytuł magistra wychowania fizyczne-

go), zarabia jako modelka. Ma jasne włosy, 182 cm wzrostu i niekończące się nogi.

W 1968 r. nadchodzi Praska Wiosna i kleszcze komuny zaciskają się na narodzię, który ośmielił się rzucić na sowieckie czołgi. Jedynym sposobem legalnej ucieczki jest małżeństwo z cudzoziemcem. W roku 1971 Ivana zawiera więc sfingowany związek z austriackim narciarzem Alfredem Winklmaye'em i wyjeżdża do Kanady, do wujostwa. Tam odnawia znajomość z przyjacielem z dzieciństwa Georgem Syrovatką, właścicielem firmy futrzarskiej. Jako modelka pozuje do jego futer. Jednak związek nie trwa długo – w życiu Ivany pojawia się Iuri Steidal, poeta, kompozytor, playboy. Romans jest krótki: Iuri ginie w wypadku samochodowym.

W połowie lat 70. młoda Czeska przyjeżdża do Nowego Jorku jako uczestniczka kampanii promującej letnie igrzyska

olimpijskie w Montrealu. Razem z przyjaciółkami czekają na stolik w eleganckiej restauracji Maxwell's Plum. Zjawia się tam przystojny blondyn, który szepnąwszy do ucha menedżerowi, natychmiast załatwia stolik. „Mam dobrą wiadomość – mówi koleżankom Ivana. – Mamy stolik. Zła wiadomość jest taka, że ten typ siądzie z nami”.

„Typ” to Donald Trump, który przedstawia się jako biznesmen rynku nieruchomości. Odwozi Ivanę do domu srebrnym cadillakiem i romans się zaczyna. Razem wybierają się do eleganckiego kurortu narciarskiego w Aspen. Donaldowi imponują umiejętności narciarskie dziewczyny, podziwia jej zapał i po paru miesiącach prosi ją o rękę. Ślub odbywa się 7 kwietnia 1977 r. w Marble Collegiate Church na Manhattanie.

Imigrantka z Czech sprowadza się do loftu na Piątej Alei. W roku 1977 rodzi się Donald Junior, a młoda mama rozwija talenty dekoratorskie z takim sukcesem, że mąż mianuje ją wiceprezes działu dekoracji wnętrz Trump Organization. W 1981 r. na świat przychodzi Ivanka. Wkrótce potem Trumpowie wznoszą budynek, który stanie się ich symbolem: Trump Tower. Zajmują w nim apartament na trzech najwyższych piętrach. Dekoracja jest godna Wersalu: złoto, kryształ, marmurowe komody. Hall wejściowy Ivana pokrywa fontannami. „Ludwik XVI tak właśnie by to urządził, gdyby miał pieniądze” – wyznaje skromnie autorka.

Ivana nie jest tylko trophy wife, lecz także working girl, długo wcześniej, zanim córka Ivanka proklamuje się feministką. Jako konsultantka i projektantka pracuje przy przedsięwzięciach biznesowych męża: renowacja hotelu Grand Hyatt, inwestycja w kasyna w Atlantic City: Trump Plaza i Trump Taj Mahal. Zostaje kierowniczką kasyna Trump Castle w zakupionym przez Donalda Trumpa w 1988 r. Hotelu Plaza. W roku 1988 otrzymuje amerykańskie obywatelstwo.

W latach 80. państwo Trumpowie stają się najbardziej rozpoznawalnymi uczestnikami życia towarzyskiego nowojorskich elit. Gale charytatywne, koncerty, bale, kolacje. Nie sposób ich nie zauważyć: on z zaciśniętymi ustami i wystylizowaną fryzurą, ona z piętrowym kokiem, przyklejonym do ust uśmiechem, w dopasowanych, wydekolowanych sukniach. Ivana Trump staje się klonem bohaterek serialu „Dynastia”, który właśnie święci triumfy na świecie. Bezbłędnie manipuluje bulwarową opinią publiczną. Jej attaché prasowi

rozdają nawet książeczki ze złotymi myślami cesarzowej Manhattanu.

Gdy na świat przychodzi trzecie dziecko, Eric, wydaje się, że szczęście wyjątkowo sprzyja parze. Ale właśnie wtedy coś zaczyna się psuć. Donald z trudem znosi sytuację, w której to żona jest bohaterką pierwszego planu. „Kiedy wracasz do domu, chcesz zastać tam żonę, a nie tło” – powie kanałowi ABC News. Potem doda: „To nie jest dobry pomysł, kiedy żona pracuje w twojej firmie. To był główny powód mego rozwodu z Ivaną”.

Pod koniec lat 80. imperium Trumpa zaczyna słabnąć. W miarę, jak Donald się oddala, Ivana inwestuje w operacje plastyczne, lansuje własne perfumy. Ale jest za późno. W 1989 r. pojawia się kochanka – pseudoaktorka Marla Maples – i żąda Donalda tylko dla siebie. On proponuje żonie układ: niech zgodzi się na obecność „tej trzeciej” i pozostaną małżeństwem. Ivana dumnie odrzuca propozycję i żeby zemścić się na niewiernym mężu, rozdmuchuje aferę w mediach. Była przewidywana: w kontrakcie ślubnym zastrzegła sobie od niego 25 mln dol., 46-pokojowy dom w Connecticut, apartament w Trump Plaza i roczne alimenty w wysokości 650 tys. dol. na kształcenie dzieci. Rozpoczyna się tornado medialno-prawnicze, w którym para licytuje się warunkami finansowymi i szczegółami zdrady.

Jak później powie Ivana, cała sprawa rozwodowa miała cel PR. Donald od dawna miał ambicje polityczne związane z Białym Domem.

Gdy w październiku roku 1990 umiera ojciec Ivany, rodzina się konsoliduje. Donald towarzyszy byłej żonie na pogrzebie ojca. W grudniu 1990 r. porozumienie rozwodowe zostaje zawarte. Jak podały media plotkarskie, zdradzona żona otrzymała 10 mln dol. plus alimenty co roku w wysokości 473 tys. dol. Otrzymuje także opiekę nad dziećmi aż do ich pełnoletności. „Kiedy skończyły studia, pokazałam je Donaldowi i powiedziałam: oto produkt końcowy, reszta należy do ciebie” – opowiadała.

WESOŁA ROZWÓDKA

Ivana nie zamierza się frustrować. Przyszedł czas na zdyskontowanie doświadczeń życiowych. Wchodzi teraz w nową rolę: pisarki. Od 1992 r. publikuje książki: „Tyłko miłość” inspirowana własną historią, „Free to love”, „The best is yet to come”. W wydanej w 2017 r. „Raising Trump” przedstawia siebie jako matriarchinię,

której mąż zawdzięcza swoje sukcesy. Rad życiowych udziela w magazynie „Globe”, w radiu, na wykładach (za które inkasuje 20 tys. za godzinę). Twierdzi, że jedyni mężczyźni, którzy mogliby ją zainteresować, są w więzieniu, są homoseksualistami albo są żonaci. A mimo to w roku 1995 wychodzi za włoskiego miliardera Riccardo Mazzucchello, włoskiego biznesmena. Łączą ich narty i jachty. Rozwiódą się dwa lata później. Następny jest arystokrata i playboy Roffredo Gaetani d'Aragona, również Włoch, szef marki Ferrari w Stanach. W prezencie ślubnym ofiarowuje narzeczonej czerwone ferrari.

Ivana kolekcjonuje operacje plastyczne i występy telewizyjne. „Celebrity Big Brother”, angielski program „Loft story”, włoski „Lato celebrytów”. Kręci reklamę Pizzy Hut... z byłym mężem Donaldem. Teraz między byłymi małżonkami panuje przyjaźń. Donald przedstawia jej aktualną partnerkę – Melanię.

W roku 2018 Ivana występuje we włoskiej edycji „Tańca z gwiazdami”. Jej partnerem i mężem numer cztery jest o 20 lat młodszy Rossano Rubicondi, młody efeb i model. Na ślub Donald użyczy im swoją rezydencję na Florydzie. Małżonek nie jest wierny, ona jednak opiekuje się nim w czasie choroby, na którą 49-latek umiera w roku 2021. To cios dla Ivany.

Teraz nie będzie już mężów, tylko kochankowie: Antonio Zequila, Marcantonio Rota, John-David Dery. Zimą pani Trump spędza w Miami, jesień w Nowym Jorku, lato w Saint-Tropez, imprezy urządza na Sardinii z projektantem mody Roberto Cavallim. Kostiumy bikini kupuje na wyspie Saint-Barthélemy. Twierdzi, że nie kładzie się przed pierwszą w nocy, pije dziennie dwa kieliszki wina. Będąc dobrze po sześćdziesiątce, jeśli nie tańczy w nocnym klubie, to poświęca czas wnukom. „Dla mnie śpiewają i tańczą. Bawią się, jedzą cukierki” – mówi francuskiemu tygodnikowi „Paris Match”. Kiedy w roku 2016 eksmąż kandyduje na stanowisko prezydenta, ona włącza się w kampanię wyborczą. Popiera go na swój sposób: „Potrzebujemy imigrantów, jeśli przyjeżdżają tutaj legalnie, do pracy. Kto będzie odkurzał nasze salony, sprzątał po nas? Amerykanie nie lubią tego robić”.

W mowie pogrzebowej 38-letni syn Eric powiedział, że jego matka była wcieleniem amerykańskiego marzenia. Miała umysł, urodę, odwagę, żelazną pięść i złote serce.

Któż zaprzeczy?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Po wybuchu paniki wiele sieci handlowych zaczęło reglamentować sprzedaż cukru FOT. PIOTR KAMIONKA/REPORTER

Lato spekulantów



Jacek Przybylski

Panika zakupowa w Polsce trwa w najlepsze. Po paliwach, które po wybuchu wojny na Ukrainie niektórzy kupowali nawet za 10 zł za litr – oraz cukrze, który zniknął z półek mimo nadwyżki produkcji – przyszedł czas na ocet i nie tylko

Aż 99,79 zł (106,49 zł z dostawą) trzeba było zapłacić za 10 kg cukru białego u jednego ze sprzedawców na Allegro. I chociaż kilogram zwykłego tradycyjnego białego cukru kosztuje w tej ofercie aż 10,64 zł, to i tak na stronie widnieje informacja, że 94 osoby zdecydowały się skorzystać z tej oferty. „Jeżeli ktoś kupuje cukier w cenie 9 zł za kilogram, to przepłacił. Za jakiś czas na pewno będzie tańszy” – tak to spekulacyjne szaleństwo skomentował w wywiadzie dla „Super Expressu” wicepremier i minister rolnictwa Henryk Kowalczyk. Na „obniżki” nie trzeba wcale czekać. Po krótkim okresie, gdy rzeczywiście wielu sprzedających żądało od klientów 9 czy 10 zł na paczkę

cukru, w ubiegłym tygodniu w serwisach aukcyjnych bez trudu można było znaleźć cukier po 6,99 zł czy 7,49 zł.

CUKIER WAGI PAŃSTWOWEJ

Ceny wywindowała panika w mediach, która była tak duża, że według sondażu przeprowadzonego przez UCE RESEARCH i SYNO Poland o brakach tego produktu na sklepowych półkach słyszało już aż 89,9 proc. Polaków. Historia szybko więc urosła do sprawy wagi państwowej.

„W Polsce nie zabraknie cukru, jesteśmy trzecim producentem cukru w UE, więc naprawdę mamy go bardzo dużo” – zaznaczył w opublikowanym 21 lipca tego roku wpisie na Twitterze szef resortu

rolnictwa Henryk Kowalczyk. Zarówno wicepremier Kowalczyk, jak i wicepremier i minister aktywów państwowych Jacek Sasin radzili publicznie, aby cukier kupować w państwowej Krajowej Grupie Spożywczej. Jeden kilogram cukru białego w internetowym sklepie KGS (polskie-smaki.pl) kosztuje zaledwie 4,99 zł (stan na czwartek 4 sierpnia). Maksymalnie można zamówić tylko 10 paczek. Za dostawę trzeba zaś zapłacić aż 18,45 zł. W przeliczeniu jeden kilogram kosztuje więc 6,83 zł. To sporo taniej niż u handlowców szukających jeleni na Allegro, ale wciąż istotnie drożej niż w wielu lokalnych hurtowniach czy w dyskontach, w których ceny wahają się od 4,98 zł do 5,58 zł, ale na jeden paragon można kupić (w zależności od tego, czy kupuje się w Biedronce, Stokrotce, Aldi, Netto czy w sklepie innych dużych sieci) od trzech do 10 kg cukru.

Polska rzeczywiście jest trzecim producentem cukru w Unii Europejskiej z roczną produkcją na poziomie ok. 2 mln ton. Kampania cukrownicza 2021/2022 była zaś wyjątkowo dobra i zakończyła się produkcją na poziomie 2,3 mln ton, czyli wynikiem najlepszym od wielu lat. Przy krajowej konsumpcji na poziomie ok. 1,6–1,7 mln ton nie trzeba być zwolennikiem obecnego rządu, aby uwierzyć w argumenty, że „nie ma zagrożenia, że cukru w Polsce zabraknie” i że obecny „kryzys” związany z brakiem cukru na półkach wynika głównie z chęci zysku różnego rodzaju cwaniaków i spekulantów oraz sztucznie nakręconej paniki w sezonie letnim, podczas którego cukier tradycyjnie zużywa się więcej, bo potrzebują go zarówno rodziny robiące tradycyjne przetwory, jak i duże przedsiębiorstwa przetwórcze.

Jest też spora nadzieja na to, że ceny cukru unormują się już zimą, bo kampania buraczana trwa od początku września do połowy stycznia, a producenci chętnie rzucą na rynek dużo świeżego towaru, zamiast płacić za jego magazynowanie. Zwłaszcza że w innych krajach Europy cukier nadal kosztuje w przeliczeniu ok. 4 zł. Z drugiej strony koszty produkcji rosną – drożeje nie tylko energia, rosną też oczekiwania płacowe plantatorów i pracowników, ceny nawozów, opakowań czy uprawnień do emisji CO₂ – więc niestety prawdopodobnie do ceny 3,5 zł za kilogram już raczej nie wrócimy. Dziesięć złotych za kilogram mogą jednak teraz płacić tylko naprawdę zdesperowani.

Na szczęście z sondażu UCE RESEARCH i SYNO Poland wynika, że większość

Polaków nie dała się handlowcom zrobić w trąbę i nie uległa cukrowej histerii. Ale i tak w związku z doniesieniami o braku cukru w sklepach nadmiarowe zakupy tego produktu zrobiło aż 12,9 proc. ankietowanych. Najczęściej z województwa pomorskiego, dolnośląskiego oraz łódzkiego.

„KRYZYS” OCTOWY

Cukier nie jest jednak jedynym towarem, który nagle zniknął ze sklepowych półek. Na przełomie lipca i sierpnia nagle okazało się, że brakuje również... octu, a w mediach zaczęły królować czarno-białe zdjęcia ze świecących pustkami PRL-owskich sklepów z informacją, że w PRL chociaż octu nie brakowało. Handlowcy znów przecierają oczy ze zdumienia, bo choć w sezonie letnim tradycyjnie rośnie zapotrzebowanie na ocet, używany przy robieniu przetworów z ogórków, to znów popyt jest nieporównywalnie większy, niż był w ostatnich latach. I chociaż producenci i hurtownicy zapewniają, że problemy powinny być przejściowe, to rzeczywiście w niektórych sklepach zniknął z półek najtańszy ocet (kosztuje 3,50–4 zł za litr), choć i w tym przypadku produkcja w tym roku jest wyższa niż w ubiegłych la-

tach. Im więcej mówi się jednak o brakach, tym bardziej wśród konsumentów rośnie strach, że czegoś zabraknie, a gdy klienci zamiast ilości detalicznych zaczynają przez dłuższy czas kupować ilości hurtowe, to żaden łańcuch logistyczny nie jest w stanie tego wytrzymać.

MASŁO DOBREM LUKSUSOWYM

W niektórych sklepach – podobnie jak na początku pandemii COVID-19 – handlowcy obserwują również wzmożony popyt na masło, mąkę oraz papier toaletowy i papierowe ręczniki. Na szczęście tych produktów na półkach na razie nie brakuje. Masło od kilku lat jest na szczycie listy produktów, które drożeją najszybciej. Tylko w czerwcu obecnego roku jego cena była niemal o 50 proc. wyższa niż przed rokiem. Polscy producenci chętnie eksportują bowiem ten produkt do Europy Zachodniej i państw arabskich, gdzie sprzedają je drożej, co podnosi ceny również w sklepach nad Wisłą. Ceny jednej kostki coraz bardziej zbliżają się do 10 zł, co sprawia, że masło staje się już niemal towarem luksusowym.

Ceny mąki windują wojna na Ukrainie oraz susze w amerykańskich stanach:

Teksas, Oklahoma oraz Kansas. Wydarzenia te sprawiły, że na światowych giełdach znacząco wzrosły cen takich zbóż jak pszenica czy żyto, a to przecież z nich powstają najpopularniejsze wśród konsumentów typy mąk. Mąka pszenna kosztuje ok. 3,50 zł za kilogram, choć w niektórych sklepach jej cena poszybowała nawet do 4,50 zł. Tymczasem niektórzy analitycy ostrzegają, że mąka pod koniec obecnego roku może kosztować już ponad 10 zł za kilogram. Kupując mąkę na zapas, warto pamiętać, że wymaga ona odpowiedniego przechowywania i zabezpieczenia przed światłem, wilgocią i powietrzem. Na zbyt dużych zakupach można więc wyjść jak Złobki na mydle, bo gdy rozwiną się w niej mole spożywcze, to wyrzucić ze spiżarni trzeba będzie nie tylko mąkę.

W czasach dwucyfrowej inflacji, wojny za miedzą i strachu przed kryzysem wielu klientów uznało, że niektóre produkty warto kupować na zapas. W pierwszym półroczu wzrosła więc sprzedaż ryżu, kaszy czy oleju. Trzeba jednak dokładnie sprawdzać, za ile co się kupuje – może się bowiem okazać, że gdy sztucznie wywołana panika już się skończy, ceny znacząco spadną.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



LECZENIE I REHABILITACJA

POBYTY: Zdrowy Kręgosłup, Dla Aktywnych, Antystresowy, Kardiologiczny z diagnostyką.

Szwedzki stół, 15 albo 20 zabiegów na 7 dni pobytu

- Wstęp na basen z atrakcjami do 90 minut dziennie
- Diagnostyka fizjoterapeutyczna i laboratoryjna*
- Specjalistyczne konsultacje lekarskie*

*możliwa dopłata



tel. 54 416 70 00

Pobyty: 07.08 - 25.09 oraz 25.09 - 23.10.2022r.

www.podtezniami.pl

Klinika Uzdrowiskowa „Pod Tężniami” im. Jana Pawła II, ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Obniżyć pensje politykom?

Uposażenia polityków, zwłaszcza sprawujących najważniejsze urzędy w państwie, powinny być – co do zasady – dość wysokie. Po to, by zachęcać do zajmowania się polityką ludzi zdolnych i dobrze wykształconych i by zniechęcać do korupcji.

Czy po niedawnych, ubiegłorocznych, wysokich podwyżkach uposażeń polskich polityków, już takie – dość wysokie – są? Dyskusjom o tym zwykle nie ma końca, a debatującym nigdy nie brakuje argumentów na obronę nawet krańcowo odmiennych poglądów.

Z pewnością jednak jest złym sygnałem dla Polaków nękanych przez galopującą inflację, najwyższą od 25 lat – inflację w niemałym mierze wywołaną i wciąż podsycaną decyzjami właśnie polityków, zwłaszcza rządzących – forsowanie dla nich ekstraordynaryjnych podwyżek pensji. Tymczasem Ministerstwo Finansów zamierzało – do czasu ostrego sprzeciwu Jarosława Kaczyńskiego – o 7,8 proc. zwiększyć kwotę bazową, na podstawie której wyliczane są uposażenia urzędników służby cywilnej, posłów i senatorów, prezydenta, premiera, ministrów i wiceministrów, prezesa i członków zarządu NBP, członków Rady Polityki Pieniężnej, prezesa NIK itd.

Dzięki tej, utraconej przez szefa PiS w stosunku do polityków podwyżce, pensje tych polityków – mających przemożny wpływ na nasze życie, w tym na poziom inflacji – znacząco by urosły.

Po to, by ułatwić im radzenie sobie w życiu prywatnym z inflacją, którą sami – swymi decyzjami podejmowanymi w życiu publicznym – wciąż podbijają i podbijają.

A czyż nie powinno być zgoła odwrotnie?

To znaczy – po pierwsze – czy także ich uposażenia nie powinny dziś – tak jak pensje większości Polaków – w zaskakującym tempie topnieć? Błyskawicznie traci na swej realnej wartości?

A może nawet – po drugie – w tym przypadku należałoby pójść krok dalej? Może w przypadku polityków – czyli tych ludzi, którzy jako jedyni z nas mają naprawdę realny wpływ na poziom inflacji w Polsce – ich uposażenia powinny tracić na wartości także nominalnie, czyli być obniżane? Na przykład do chwili, gdy inflacja wróci do celu inflacyjnego NBP, a zatem – przypomnijmy – do poziomu „2,5 proc. z symetrycznym przedziałem odchylenia o szerokości +/- 1 punktu procentowego”, czyli – innymi słowy – do pasma między 1,5 proc. a 3,5 proc.?

Może do tego czasu ich uposażenia powinny być co roku obniżane o wskaźnik średniorocznej inflacji w Polsce, pomniejszany o wysokość celu inflacyjnego NBP, czyli o owe 2,5 proc.? A zatem np. w roku 2022, przy inflacji CPI w Polsce w 2021 r. na poziomie 5,1 proc., zostałyby obcięte o 2,6 proc. (bo 5,1 proc. minus 2,5 proc.)? No i ciekawe, o ile procent zostałyby obniżone w 2023 r. – po szoku inflacyjnym roku 2022? ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Umyślny zbieg okoliczności

Wubiegłym tygodniu miał miejsce ciekawy zbieg okoliczności. O ile był takim faktycznie, w co właściwie można wątpić. 29 lipca pan prezydent Andrzej Duda odbył godzinną rozmowę telefoniczną z przewodniczącym Chin Xi Jinpingiem. 2 sierpnia z kolei samolot z panią marszałek Izby Reprezentantów USA Nancy Pelosi wylądował na Tajwanie (czyli formalnie – w Republice Chińskiej).

Jeśli gdzieś mamy realizować politykę własnego interesu, to właśnie w relacjach z Chinami

Andrzej Duda zakomunikował publicznie, że tematem jego rozmowy z chińskim przywódcą była wojna na Ukrainie, jednak komunikat strony chińskiej wspomina o niej tylko marginalnie. Skąd ta rozbieżność? Powody mogą być dwa. Pierwszy to oczywista niechęć asekuracyjnie nastawionych Chińczyków do wspominania o konflikcie, na którym zyskują i któremu się szczególnie nie przeciwstawiają. Drugi – już z polskiej strony – to chęć przedstawienia przez Pałac Prezydencki tej rozmowy jako dotyczącej

głównego tematu zagranicznego, którym zajmuje się Polska, żeby nie wywoływać wrażenia, że była to rozmowa przede wszystkim o współpracy, a o Ukrainie jedynie przy okazji. A już zwłaszcza – żeby nie wywoływać takiego wrażenia w amerykańskiej ambasadzie.

Tu pora wspomnieć o wizycie pani Pelosi, która miała jawnie antychiński (skierowany przeciwko Chinom Ludowym) wymiar. Jasne jest, że celem było podkreślenie woli obrony Tajwanu i jego strategicznego znaczenia dla USA – stąd zresztą gwałtowne reakcje Pekinu, z zapowiedzią dużych manewrów morskich włącznie. Antychiński kierunek definiuje amerykańską politykę zagraniczną znacznie wyraźniej niż kierunek antyrosyjski. I tak również trzeba czytać działania Amerykanów w sprawie Ukrainy.

Dlaczego zestawiam te dwa wydarzenia? Rozmowę z polskim prezydentem zainicjowała strona chińska i naprawdę trudno sądzić, żeby kontekst w postaci wyprawy azjatyckiej pani Pelosi był przypadkowy. Polska zaś, jakkolwiek z naszym amerykańskim sojusznikiem łączy nas wiele interesów strategicznych, nie może być ich niewolnikiem. I jeśli gdzieś mamy realizować politykę własnego interesu, to właśnie w relacjach z Chinami. Dlatego godzinna rozmowa między Andrzejem Dudą a Xi Jinpingiem to bardzo dobry sygnał. ©©

Poznań



HORYZONT

NARAMOWICE

RODZINNA INWESTYCJA

www.horyzont-naramowice.pl



PRESTIŻOWA INWESTYCJA

www.wilda-corner.pl



NOVA ŁACINA

NIEMENA 6

MIESZKANIA INWESTYCYJNE

www.nova-lacina.pl



www.grupainwest.pl +48 882 818 848

eprasa.pl 9738c0d8ed

TEST „DO RZECZY”: HUAWEI MATEPAD PAPER

Minimalistyczne wzornictwo, elegancka okładka, praktyczny rysik, dobra bateria oraz zaskakująco dobrze grające głośniczki – to największe zalety nowej hybrydy chińskiej firmy Huawei, czyli produktu będącego połączeniem tabletu oraz tradycyjnego czytnika książek.

Model MatePad Paper jest stosunkowo duży. Ekran E-Ink o przekątnej 10,3 cala sprawia, że całe urządzenie mierzy 22,5 x 18,2 cm. Całość trzyma się jednak wygodnie i wielkość wcale nie przeszkadza. Gorzej jest z wagą: chińska hybryda waży 360 g, ale z dostarczoną w zestawie eleganckim, przypominającym nieco okładkę książki etui waga rośnie już do 547 g. Na tym polu Huawei przegrywa więc z czytnikami à la Kindle, ale nie jest to wielki problem, bo przecież większość tradycyjnych książek jest mimo wszystko cięższa.

Pierwszy tablet chińskiego producenta z wyświetlaczem E-Ink umożliwia jednak nie tylko wygodne czytanie e-booków. Na Huawei MatePad Paper można też pisać e-maile, uzupełniać kalendarz, robić notatki (nawet wątpliwej urody bazgroły to urządzenie potrafi wyjątkowo sprawnie rozpoznać i zamienić pismo odręczne na tekst), a nawet słuchać internetowego radia lub hitów z sieci ze stosunkowo niezłe grających głośniczków stereo (choć oczywiście nie jest to urządzenie stworzone z myślą o odtwarzaniu muzyki). Jest nawet dyktafon.

Pisać po ekranie można za pomocą wygodnego rysika, który ładuje się bezprzewodowo, a z urządzeniem komunikuje się za pośrednic-



twem Bluetooth. Ewentualnie można skorzystać z ekranowej klawiatury, ale trzeba pamiętać, że wyświetlacz E-Ink ma większe opóźnienie niż np. typowo tabletowy OLED, przez co opóźnienie w ukazywaniu się liter jest widoczne i może być mocno irytujące.

Duży ekran wygląda bardzo dobrze, a dzięki zastosowaniu technologii E-Ink oczy wyraźnie mniej się męczą, zwłaszcza po wielu godzinach przeglądania e-booków. Wyświetlacz ma wysoką rozdzielczość (1872 x 1404 piksele, 227 ppi) i podświetlenie, które przydać się może podczas czytania książek pod namiotem (lub gdy żona/mąż chce już spać). Książek do pamięci można wrzucić tysiące (w formacie PDF lub ePub), bo producent w testowanej hybrydzie zainstalował aż 64 GB pamięci na dane (a oprócz tego 4 GB pamięci RAM). Można też wgrać audiobooki.

Bateria o pojemności 3625 mAh wystarcza na pięć–siedem dni pracy. Całkiem niezłe.

Wady? Niestety, mimo że model Huawei MatePad Paper w wielu kategoriach jest rewelacyjny, to ma jednak kilka dość poważnych wad. Pierwsza to wspomniana szybkość odświeżania ekranu, która sprawia, że tabletczytnik nadaje się do wykorzystania głównie w roli tego drugiego. Kolejne to brak wodoszczelności (trzeba uważać z czytaniem w wannie), nie zawsze dobrze działający czytnik linii papilarnych oraz brak dostępu do usług Google. Oczywiście system HarmonyOS jest już niezłe dopracowany, a w AppGallery jest mnóstwo aplikacji, ale jednak wciąż trudno uznać, że w sklepie Huawei jest wszystko to, co w sklepie Google. Na szczęście – co ważne nie tylko dla miłośników – na testowanym urządzeniu bez trudu można korzystać z takich aplikacji jak Legimi, Storytel czy Empik Go.

Huawei MatePad Paper to fajne, innowacyjne i ciekawe urządzenie, ale poza studentami, dziennikarzami lub prezesami – zwłaszcza dla nich przydatna może być funkcja blokowania dostępu do notatek za pomocą odcisku palca – trudno wyobrazić mi sobie przeciętnego użytkownika tej hybrydy. Dla osób szukających tabletu lepszy będzie bowiem tradycyjny tablet. Miłośnicy czytników mogą wahać się dłużej, ale przed zakupem warto dłużej pobawić się tym urządzeniem w sklepie. Cena: 2299 zł. ©©

Jacek Przybylski



OKULARY Z APARATEM I WBUDOWANYM EKRANEM

Mijia Glasses Camera. Tak nazywa się model nowych inteligentnych okularów od chińskiej firmy Xiaomi, które wyposażone są m.in. w aparat fotograficzny z matrycą 50 MP, teleobiektyw ze stabilizacją oraz wyświetlacz micro-OLED o jasności aż 3000 nitów produkcji japońskiego giganta Sony. Sercem okularów ma być procesor Qualcomm Snapdragon z serii 8 wspierany przez 3 GB pamięci RAM oraz 32 GB pamięci wbudowanej. Najważniejsza

dla użytkowników będzie jednak zapewne możliwość nagrywania filmów z poziomu wzroku. Urządzenie na jednym ładowaniu ma działać nawet przez 100 minut. Cena w przedsprzedaży na platformie crowdfundingowej wynosi ok. 1,8 tys. zł.

INTELENTNE SZALIKI DLA KIBICA

Manchester City, jeden z czołowych angielskich klubów piłkarskich, zlecił amerykańskiej firmie Cisco opracowanie inteligentnych szalików dla kibiców. Gadżet został wyposażony w biocznubnik EmotiBit, który na bieżąco zbiera informacje o temperaturze ciała, tętnie oraz potliwości użytkowników. Zebrane dane o emocjach tłumów zasiadających na trybunach mają pozwolić szefom klubu lepiej zrozumieć „naturę kibica” i sprawić, by kolejne mecze były jeszcze bardziej emocjonujące. Oficjalną premierę gadżetu zaplanowano już na sierpień. Gdy zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy”, nie wiadomo było jednak, ile będzie kosztował. ©©

Jacek Przybylski





JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Najpiękniejszy klasztor w Wigrach

Dawny klasztor leżący na półwyspie nad jeziorem Wigry na Suwalszczyźnie to jedno z najpiękniejszych miejsc w Polsce. Balsamem dla oczu jest zwłaszcza jego kolorystyka – delikatny, biały kościół i zespół budynków z czerwonymi dachami, otoczony zielenią, obłany błękitnymi wodami jeziora, pod równie błękitnym niebem. Widok, którego nie sposób zapomnieć.

Historia tego miejsca jest ciekawa. W średniowieczu były to tereny plemienia Jaćwingów, zniszczone i rozproszone przez Krzyżaków pod koniec XIII w. Kiedyś jezioro zwano

Wygry, Wikgry, prawdopodobnie od jaćwieskiego słowa „wingris”, co znaczy kręty. Już w XV w. było tu uroczysko, gdzie polował Jagiełło, a kronikarz Marcin Kromer podaje, że w 1418 r. o mało nie

wpadł w ręce Krzyżaków. Zasadzkę prawdopodobnie zastawił na niego prokurator rastenburski – Hans von Behnhusen. Kolejni królowie polscy upodabiali sobie tę puszcę. W XVI w. polował tutaj Zygmunt August. „W puszczy perełomskiej, jezioro gospodarskie Wikgry, nad tym jeziorem dwór Jego Królewskiej Mości” – czytamy w „Rewizji puszczy Wielkiego Księstwa Litewskiego”. Zapewne już w tamtych czasach w tym dzikim, urokliwym miejscu mieszkali pustelnicy. Być może to właśnie sprawiło, że w latach 40. XVII w. Wigrami zainteresowali się kamedulami i uzyskawszy przywilej od króla Władysława IV, zbudowali tutaj pierwszy drewniany kościół i pustelnię, tworząc niesamowity klimat tego miejsca. Ich przywileje

potwierdził król Jan Kazimierz dokumentem z 6 stycznia 1667 r. Erem Wigierski powstawał w trudnych czasach rozlicznych wojen, buntów i najazdów: szwedzkich, kozackich i moskiewskich, być może dlatego w akcie lokacyjnym znalazł się passus, że król nadaje zakonnikom posiadłości w rejonie jeziora, aby modlili się do Boga w celu odwrócenia ciągłych klęsk, które spadały na Rzeczpospolitą. Tak czy owak, nadanie było ogromne. Kameduli otrzymali wyspę na jeziorze, którą połączyli groblą z lądem, tworząc dzisiejszy półwysp klasztorny, leśnictwa perstuńskie i przełomskie razem z folwarkami, wsiami i lasami. Pierwotnie osadzono tutaj 12 zakonników, na których nałożono obowiązek odprawiania modłów za pierwotnych fundatorów – królową Marię Ludwikę i królewicza Karola Ferdynanda Wazę, brata Jana Kazimierza.

Założenie klasztoru oznaczało powstanie osady Wigry, gdyż zakonnicy rozwijali przemysł, zakładając kopalnie rudy i huty. Rozpoczęło się wycinanie i wypalanie puszczy, tworzenie folwarków i osad leśnych w szybko rozrastających się posiadłościach klasztornych. Przy eremie urządzono piękne ogródki i zwierzyńiec. Ogromny rozwój włości kamedułów oznaczał też konflikty ze strażnikami okolicznych puszczy, podłowczymi i ich pomocnikami, gdyż granice dóbr nie były jasno wytyczone i zakonnicy zagarniali całe połacie lasów królewskich. W 1715 r. bawił tutaj na łowach król August II Sas, który obdarował kamedułów nowymi nadaniami w ekonomii grodzieńskiej, zwolnił też ich od hiberny, przechodów

i lokacji żołnierskich. Po pożarze w klasztorze, kiedy spłonęły liczne dokumenty, w tym stary akt lokacyjny, potwierdził go nowym

w 1725 r. z zastrzeżeniem książęcego prawa polowania w puszczy.

W roku 1745 ukończony został ostateczny kształt klasztoru w Wigrach, taki, jaki podziwiać możemy dzisiaj. Znalazł się tam piękny kościół z dwoma wieżami – pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny, który budowany był przez 51 lat, od 1694 r., według projektu Pietra Putinięgo. A także erem, czyli pustelnia z 12 domków, przy każdym z nich dodatkowo urządzono ogródek. Całość ogrodzona została murem. Poza tym wszystkim w klasztorze wzniesiono murowany dom dla gości. Była to stolica ogromnych dóbr, które pod koniec XVIII w. liczyły 1,2 tys. chłopów i dawały 30 tys. talarów rocznego dochodu, co równało się 240 tys. złotych polskich; był to dochód z przeciętnych dóbr ówczesnego magnata. W tych czasach włości klasztorne były tak rozległe, że wręcz otaczały dzisiejsze miasto Suwałki.

Niestety, kameduli niedługo cieszyli się wreszcie ukończonym klasztorami. Ich chwała zaczęła przemijać razem z Rzeczpospolitą. Niemal natychmiast po ostatnim rozbiórce w 1795 r. wszystkie dobra przejął rząd pruski. Zakonnikom nie zostawiono nawet klasztoru – pięć lat później przesiedlono ich na warszawskie Bielany, kościół stał się najpierw katedrą biskupstwa wigierskiego, potem zaś – od 1818 r. – zwykłym kościołem parafialnym, którym pozostaje do dziś. © ©



FOT. DOMENICA PUBLICZNA



I RZECZYPOSPOLITA

RYS. QBA



ANNA POPEK Z D. CHRUIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Smaczna strona Sycylii

Błękitne morze, złote plaże, urokliwe miasteczka z zachwycającymi zabytkami, przepyszna różnorodna kuchnia o naleciałościach arabskich, francuskich, greckich, hiszpańskich, wspaniałe słodkości, kawa i lokalne wino. Tak w skrócie możemy opisać największą wyspę na Morzu Śródziemnym. Podróżując po Sycylii, łatwiej nam będzie poznać i zrozumieć lokalnych mieszkańców, kosztując tradycyjnych potraw. Na Sycylii ludzie żyją dla siebie i ze sobą, a nie obok siebie, celebrytują posiłki, biesiadują, spędzają razem czas.

Mieszanka kulturowa, szczególnie wpływy arabskie, a dokładnie koczownicze plemiona Saracenów zamieszkujących północno-zachodnie obszary Arabii, sprawiła, że wyspa ta nazywana jest „słodką wyspą”.

Właściwie nie ma w żadnej części Włoch tylu słodkich przysmaków co na Sycylii. To Arabowie przywieźli na Sycylię pistacje, migdały, pomarańcze i cytryny oraz przepis na lody i pierwsze receptury sorbetów wytwarzane z lodu zbieranego z wysokich partii Etny. Przechowywano go w specjalnych dołach w ziemi i mieszano z sokiem z owoców. Taką granitę miałyśmy okazję zrobić na warsztatach kuchni sycylijskiej dzięki zaproszeniu pani Agnieszki Sawickiej, która w Warszawie prowadzi uroczyste sklepy z sycylijskimi smakołykami.

Na Sycylii panuje powszechne powiedzenie określające sposób spędzania czasu „dolce far niente”, czyli sztuka wypoczyniania bez wyrzutów sumienia, zamierzone lenistwo, które się celebrytuje. Tu ze względu na potworne upały (latem nawet do ponad 40 st. C) sjeść trwa od godz. 13 do 17.

Sycylijczycy jedzą posiłki regularnie, zawsze o tych samych określonych porach. Zaczynają od śniadania, na które zazwyczaj piją kawę lub jedzą słodkie rogaliki, w ciągu dnia popijają się mrożoną herbatą, kawę i zjadają chłodzącą granitę cytrynową.

Kuchnia sycylijska jest prosta, tania, oparta głównie na pszenicy durum, z której wyrabiane są makarony z dodatkiem oliwy, bakłażana, pomidorów i ricotty – tradycyjnego owczego sera. Jada się tu sporo owoców morza i specyficzne pizze, która dla niektórych jest nieudaną wersją tradycyjnej pizzy włoskiej. Ser ricotta wykorzystuje się również do słodkości, szczególnie do nadziewania słynnego na Sycylii deseru cannoli nadziewanego właśnie serem i w zależności od regionu z dodatkiem czekolady, wiśni lub pistacji. Arbuzy na Sycylii są okrągłe, soczyste i bardzo słodkie – ponoć najlepsze na świecie. Z soku z arbuza jada się deser przypominający kisiel z arbuza, czyli gelo di anguria. Podawany schłodzony z dodatkiem świeżych owoców.



Gelo di anguria:

- 1 litr soku z arbuza (uzyskamy, przecierając arbuza przez sito)
 - 90 g cukru
 - 90 g skrobi kukurydzianej
 - pistacje do ozdoby
- Do dużego garnka przelewamy sok z arbuza i cukier, do małej miseczki przelewamy trochę soku i mieszamy ze skrobią, podgrzewamy i wlewamy rozrobioną skrobię. Mieszamy, doprowadzamy do wrzenia. Odstawiamy i przelewamy do małych pojemniczków, schładzamy. Podajemy ozdobione pistacjami albo świeżymi owocami. ©©



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Wpadnijcie do nas

Konieczniamusicie do nas wpaść! – mówimy, spotykając przypadkowo dawno niewidzianych znajomych. Kiedy wpaść? Gdzie? Po co? Tego już nie precyzujemy, opuszczając miejsce spotkania z błogą nadzieją, że zaproszenie nie zostanie potraktowane dosłownie. Zresztą jakżeby mogli nas odwiedzić, skoro nie podaliśmy adresu ani nie powiedzieliśmy, kiedy wizyta ma się odbyć?

Sakramentalne „musicie do nas wpaść” oznacza przecież nie tyle zaproszenie, ile równie wymowną i nic nieznaczącą chęć odnowienia kontaktów. Bo wiadomo – dzisiaj się nie wpada. Dzisiaj przychodzi się do znajomych w sobotę o godzinie siódmej wieczorem, jeśli otrzymało się takie zaproszenie. Bo mieszka się daleko jeden od drugiego, z pracy wraca się późno w stanie padnięcia na twarz, w weekend nadrabia się zaległości z tygodnia. A jeszcze gdyby tych przypadkowych gości trzeba było także nakarmić, pojawia się osobny problem.

Wpadało się w PRL, każda pora dnia i nocy była dobra i nikogo niespodziewane odwiedziny nie dziwiły. Wpadało się z wiadomościami ważnymi lub mniej ważnymi, kiedy zdobyło się żółty ser, lepsze wino czy kawałek chabaniny. Wpadający nie oczekiwał przyjęcia, zadowalał się kanapką z jajkiem na twardo i ogórkiem. Dzisiaj prezenty w postaci chabaniny nie są potrzebne, wystarczy kontakty ze znajomymi prowadzić on-line. W mediach społecznościowych, na What-



sAppie, Messengerze. Po co się widywać? Po co gadać? Tracić czas na dojazdy, pieniądze na kwiaty. Wystarczy napisać SMS. Opowiadać o urlopie na Mazurach już całkiem nie ma sensu, skoro zdjęcie z pobytu obleciało cały Facebook.

Zalóżmy, że jednak ostał się dinozaur, który dosłownie potraktował „musicie wpaść”. Mało prawdopodobne, ale może się zdarzyć. Co z nim zrobić, kiedy pojawi się niespodziewanie o godzinie, która jest świętym czasem ulubionego serialu, godziną odrabiania matematyki z dzieckiem lub godziną farbowania włosów? Tylko nieprzyjemna sytuacja.

Wpadanie było specjalnością krajów Europy Wschodniej. W Anglii czy we Francji nikt nie ośmieliłby się złożyć komuś niezapowiedzianej wizyty. Może osobie bardzo bliskiej – tak, ale o takich tu nie mówimy. Jeżeli ktoś z dalszych znajomych chciał się spotkać, to proponował restaurację lub kawiarnię, rzadko – lub prawie nigdy – dom. Być zaproszonym do angielskiego domu, jeśli jesteś dalszym znajomym, tym bardziej cudzoziemcem? Never.

Teraz mamy to samo. Spotkajmy się w knajpie! Konieczniamusicie! Nie trzeba gotować, sprzątać, zmywać. A w ogóle to napiszę do was na WhatsAppie. ©©



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Profesor wyklęty

Ostatnio w trakcie pewnego wywiadu w telewizji internetowej wspomniałem o pewnym naukowcu wyklętym, który niedawno zmarł. Zostawił on po sobie przesłanie, do którego warto wracać. Mowa o prof. Lucu Montagnierze. To trudny przypadek, bo naukowiec był bezwzględny wobec pewników covidowych, a trudność polega na tym, że mówimy o laureacie Nagrody Nobla za odkrycie wirusa HIV, a więc o człowieku, który coś tam o wirusologii wie. Trudno więc było wrzucić go do jednego worka z płaskoziemcami i foliarzami, bo jednak to pewien autorytet. Oczywiście, gdyby chwalił wszystkie wygibasy covidowe, to nie schodziłby z ekranów. A że było inaczej, popadł w medialną niełaskę, a notatki o jego działalności kończą się zdaniem, że pod koniec życia nagle zdziwaczał, bo nie przyłączył się do covidowego chóru.

Acoby mówił zmarły w lutym naukowiec? Ano w sumie dwie rzeczy, które powoli się potwierdzają. Montagnier utrzymywał, że akcja szczepienna to zbrodnia na ludzkości. Chodzi o to, że to właśnie szczepionka ma się przyczynić do gwałtownego i różnorodnego „wariantowania” się wirusa. Goniony szczepionkami wirus szuka obejścia takiej opresji, namnaża inne warianty; logiczne, że utrzymuje te, które nie poddają się szczepionkom. W związku z tym mamy sami sobie prokurować kolejne fale kolejnych wariantów, które by nie zaistniały, gdyby wirus został pokonany naturalną

drogą, czyli odpornością zbiorową.

Drużga teza też się powoli potwierdza. Specjalista od HIV mówił, żebyśmy się pobadali na AIDS i żebyśmy nie byli zdziwieni, że niedługo wyniki nas mogą zaskoczyć. Chodzi o to, i potwierdzają to liczne badania, że szczepionki nie tylko nie powstrzymują transmisji, lecz także osłabiają naturalny układ odpornościowy, ten sprząda szczepienia. Ma to skutkować efektem zmniejszania się odporności, czyli syndromami podobnymi do AIDS. Wirus ma tu być... szczepionka, która tylko zastępuje HIV w sekwencji utraty zdolności immunologicznych organizmu. Widać to obecnie po dziwnych falach zachorowań, wielokrotnych reinfekcjach COVID osób zaszczepionych. Te tłumaczą się, że bez szczepionki przeszłyby COVID-19 znacznie ciężiej, ale teza Montagniera sugeruje, że bez szczepionki... by nie zachorowały, bo ich naturalny, a po szczepionce osłabiony system odpornościowy poradziłby sobie z infekcją.

Amiętajmy, że na AIDS się nie umierało. Umierało się na to, że osłabiony system odpornościowy otwierał się na różne choroby i to one kładły do łóżek, a czasami do trumny. Umierało się na „inne” choroby, te, które nasz zdrowy organizm by przezwyciężył. I Montagnier przed tym ostrzegał. Przed tym, co teraz widzimy: dziwnie grypy w środku lata, wysyp w szpitalach chorób do tej pory pomijalnych. Ale co tam laureat Nobla wiedział o wirusach... ©



JAN POSPESZALSKI

#WARTO

Oswajanie

Na stronie Centrum Pieniądza NBP czytamy: „Kolekcja Centrum powiększyła się o nowy nabytek – płatniczy implant podskórny”, a NBP prezentując ów czip, chce zachęcić do dyskusji i przyszłości pieniądza. Autorzy zaznaczają, że implant został wykonany z biopolimeru używanego do produkcji wyrobów medycznych, więc „nasze tkanki w naturalnym procesie taki biopolimer zabudowują”. Dalej czytamy, że czip nie emituje fal ani promieniowania i służy wyłącznie do dokonywania płatności.

W tekście wprowadzie wspomniano, że w Apokalipsie św. Jana jest odwołanie do znaku bestii, bez znamiona której nie będzie można ani kupować, ani sprzedawać, ale przecież podobne implanty używane są m.in. w medycynie i są całkowicie bezpieczne. Potem następuje wyliczenie korzyści i mimo starań wielu nie znaleziono. Zaletą urządzenia jest, że zawsze jest z nami, że można korzystać z basenu, pójść na plażę lub koncert, wszędzie tam, gdzie lepiej nie zabierać karty płatniczej. Jest pewna zdumiewająca zgodność tonu w mediach (użyję wyświechtanego określenia) głównego nurtu, gdy zabierają się za temat czipów. Choć w tekście pojawiają się określenia typu „rozwiązanie kontrowersyjne” lub „etyczne wątpliwości”, to całość ma zawsze wymowę pozytywną, reklamowo-perswazyjną.

Dokładnie rok temu dr Dominika Kaczorowska-Spychalska z Uniwersytetu Łódzkiego

i prof. Łukasz Sułkowski z Uniwersytetu Jagiellońskiego przeprowadzili badania w ramach projektu oceniającego postrzeganie elektroniki noszonej na ciele (AI Wearables) na reprezentatywnej próbie 1054 dorosłych użytkowników Internetu. Wyniki pokazują zdecydowaną niechęć i obawy Polaków. Aż 75 proc. respondentów jako groźną wskazuje utratę swojej cyfrowej tożsamości, 73 proc. rozpoznaje możliwość inwigilacji. Polacy zdają sobie sprawę, że ta technologia może być użyta jako narzędzie potencjalnego przymusu i choć o implantach mówi się w kontekście czipów płatniczych, to ankietowani obawiają się, że tak jak w przypadku certyfikatów szczepionkowych, tak tu może nastąpić segregacja obywateli. Ponadto implant może być nośnikiem również innych informacji, na których ujawnianie nikto o zgodę nas nie pyta.

W prasowych omówieniach badań widać – z jednej strony, by podkreślić pozytywy, np. „umożliwią poprawę dotychczasowych zdolności człowieka, kontrolę zdrowia, pomoc przy codziennych czynnościach, eksperci oceniają, że prędzej czy później czipy płatnicze jednak staną się standardem”, z drugiej zaś sugestie, że nieufność i brak akceptacji spowodowane są niewiedzą. Konkluzja: Polacy jeszcze nie dorośli, potrzeba więc intensywnych działań, by budować świadomość. Za kilka lat... Kto wie?

I znów wygląda na to, że foliarze mieli rację. ©

SŁAWOMIR
JĄSTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Elotofjuro

Dwa są triki, które wymyśla właściwie każdy początkujący dziennikarz i kontent jest wielce, że unikalnie wymyślił. Pierwszy: młodziak opisuje jakąś mrozącą krew w naczyniach sytuację, nadzwyczajnie niebezpieczną, w której służby ratunkowe ryzykują życie wielokrotnie, a jakże. Tryglawowi dzięki, nadludzkie poświęcenie, podjęcie ekstremalnego ryzyka i herosowa sprawność naszych bohaterów pozwala zakończyć akcję happy endem. I wtedy wkracza ów koncept: „Na szczęście były to tylko ćwiczenia!”. Prawda, że zgrabnie? Ależ nas wszystkich trzymał Hitchcockiem! No kto by się spodziewał! Prawie wszyscy młodzi tak piszą i prawie wszyscy młodzi są przekonani, że nieziemską jest ich kreacja.

Drugi trik młodziaków występuje raczej na początku relacji. Brzmi mniej więcej tak: „Cała sprawa to gotowy scenariusz filmu sensacyjnego”. Następnie czytamy różne nieprawdopodobne fabuły. A to babuśka znalazła czterolistną koniczynekę, a to drogówka odmówiła przyjęcia gotówki, a to straż miejska nie chciała nałożyć mandatu na dziadka handlującego śliwkami i inne szokujące historie. Zdarzają się jednak osobliwości. Po takim wstępie: „Cała sprawa to gotowy scenariusz filmu sensacyjnego” mógłby na przykład nastąpić opis sprawy handlarza respiratorami. Tu podam wersję skróconą. Andrzej I. sprzedaje polskiemu Ministerstwu Zdrowia re-

spiratory. Inkasuje grubaśne miliony, zanim jakiegokolwiek służby sprawdzą, czy cwaniaczek w ogóle ma dostęp do tego sprzętu. Się okazuje, że nie ma. Sprzedał, a nie miał. Przysyła trochę złomu. Złom czy tam prawie złom się nie nadaje do respiratorowania, ale pieniądze w większości cwaniaczek zachowuje, pewnie z roztargnienia, a może jest sentymentalny.

Wybucho afera, wszyscy komentują we wszystkich mediach społecznościowych i nie tylko, i naśmiewają się z polskich służb, że gamonie zawodnika wielomilionowego nie sprawdzili. No to może go teraz wytropią i sprowadzą do Polski, i sprawiedliwie osądzą, i pieniądze odzyskają? Ale gdzie tam! Przecież mówimy o naszych służbach specjalnych. Wtedy okazuje się, że nasz główny respirator, główny bohater, przepraszam, wziął i umarł w Albanii. Piękny kraj, byłem raz, chyba już nie pojedę, bo otoczyły mnie miliony ludzi, chyba mnie z kimś myśląc, i wołając na mnie: „Łanjuro, łanjuro”, wyciągali przy tym rękę do powitania w specyficzny sposób, ale to inny wątek. Wracamy do naszego respiratora, przepraszam, do handlarza. Wziął i umarł. Podobno. Można by po DNA sprawdzić, czy na pewno on, ale go skremowali i nie się nie da. Tymczasem w polskich służbach znalazł się już ktoś, kto przyjął rolę kozła ofiarnego. Kocham ten kraj. ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA
WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Żywioły ognia i siarki

Małgośka – mówią mi – i ciebie ktoś wpuścił do opactwa benedyktynów?

W naszej Hiszpanii? No ba, „nie wiadomo, komu z nas po śmierci wytoczą proces beatyfikacyjny!” – odpowiadam za S. Lecem. Tyle że sytuacja nie nastrajała do żartów, bo rozmowa zeszła na pożar, który podchodził pod jedno z najstarszych opactw w Europie – Santo Domingo de Silos.

Kto pamięta postać Jorge de Burgos z „Imienia róży”, niech wie, że ten przerażający ślepiec miał przywieźć ze sobą do powieściowej biblioteki najpiękniejsze manuskrypty: reprodukcje „Komentarza do Apokalipsy” Beato z Liébany i egzemplarz „Poetyki” Arystotelesa właśnie z opactwa w Silos. Patrzenie na przekazy TV o ewakuacji ponad 20 mnichów i pożar zbliżający się do jednego z najpiękniejszych i najspokojniejszych miejsc, jakie na oczy widziałam, przypomniało mi o nerwicy. Ogień podchodził do dziedzictwa całego naszego Christianitas.

Opactwo datowane na X w. nieraz już stawało czoła żywiołom. Gdy wojska napoleońskie pacyfikowały Hiszpanię na początku XIX w. (zresztą, hm, wsparte też oddziałami polskimi), mnisi przerażeni francuską taktyką spalonych ziem wpadli na pomysł, aby część manuskryptów spakować i rozdać okolicznym wieśniakom do zakopania lub ukrycia

w chlewniach. Jest zresztą jakiś genius loci w tych mnichach, bo to właśnie tam, w Silos, powstał pierwszy w dziejach album „Chant” z chorałem gregoriańskim, który w latach 90. podbił listy przebojów na świecie. To wtedy Madonnie i U2 wyrosła nagle konkurencja z klasztoru w Hiszpanii. Mnisi zresztą szybko porzucili komercję, wietrząc w niej pułapkę dla duszy. Widziałam te ich pamiątkowe złote płyty w jednej z gablotek, czekając na Mszę z ich krótkim koncertem. Oddychało się tam jakimś rajskim powietrzem, choć aby nie było zbyt pięknie na tej ziemi, na Mszę przyplątali się też turyści, z których jeden kaszłał, drugi dobitnie smarkał, a trzeci za moimi plecami chciał udowodnić całemu światu, że umie śpiewać z wielowiekowej partytury. Darł się wniebogłosy tak, że aż dziw wzbierał momentami, że żaden z obecnych benedyktynów nie miał pokusy wyeliminowania przeciwnika, tak jak braciszek Jorge z kart powieści.

Na koniec udało mi się nawet pogawędzić chwilę z kilkoma mnichami, bo hasło „Polska” zawsze otwiera serca w duchowych enklawach Europy. Tak było 10 lat temu w Silos. Dziś wokół opactwa unosi się dym spalenizny, choć żywioł na szczęście nie tknął klasztoru, jego ludzi i skarbów. Szkoda jednak, że nie sposób ugasić żywiołów trawiących Stolicę Piotrową. ©©

Z INNEJ PERSPEKTYWY

„Złoty miliard”: od Putina do Stalina



ANDRZEJ NOWAK

Co to jest „złoty miliard”? To termin, którego użył niedawno Władimir Putin do nazwania wroga i zarazem określenia własnej ideologii. Na konferencji „Silne idee na nowe czasy”, zorganizowanej w Moskwie 20 lipca, prezydent Rosji stwierdził, że te dwa słowa najcelniej podsumowują stan obecnej geopolityki.

„Złoty miliard” to mieszkańcy Europy, Ameryki Północnej, zapewne jeszcze Japonii, Australii i Nowej Zelandii – wspólnota drapieżnych kolonizatorów i rasistów, którzy pod przewodnictwem Waszyngtonu chcą nadal eksploatować pozostałe siedem miliardów ludzi, tak jak przez wieki grabili ludy Afryki i Azji.

„Spójrzcie, jak splądrowane zostały Indie” – poprosił retorycznie słuchaczy prezydent Rosji. Owymi słuchaczami nie byli tylko zgromadzeni na sali Domu Kultury przy Błotnej nabieżkiej 15, gdzie Putin wygłaszał swoją mowę. Poprzedniego dnia prezydent Rosji gościł w Teheranie, gdzie starał się stworzyć wrażenie spójności antyzachodniej osi Rosja – Iran – Turcja. Przywódców Indii akurat tam nie było ani Chin, ale to te kraje, a także dwa jeszcze „prawie mocarstwa” grupy BRICS, czyli Brazylia oraz Afryka Południowa, a właściwie cała niemal Azja, Afryka i Ameryka Łacińska pozostają adresatami tego apelu do zemsty za wiekowe krzywdy. Rosja ogłasza ustami Putina swoje ambicje, by stworzyć koalicję „skrzywdzonych i poniżonych” (przez Zachód), a nawet stanąć na jej czele i zniszczyć „totalitarną dominację złotego miliarda” nad ludzkością.

No, to jest program. Nie jakieś tam drobiazgi, jak kwestia opamowania Donbasu, Ługańska czy nawet całej Ukrainy. Tu chodzi o cały „ziemny szar”.

Idea nie jest nowa. Dosłownie sformułował ją jako pierwszy rosyjski dziennikarz Anatolij Cikunow w roku 1994, powtórzyli za nim inni antyzachodni prorocy, m.in. Siergiej Kara-Murza i Andriej Parszew. W ich ujęciu „złoty miliard” oznacza tajny plan Zachodu ograniczenia dobrobytu, a ostatecznie prawa do godnego życia tylko do tej liczby mieszkańców Ziemi, oczywiście tych z Zachodu. Najpełniej rozwinął jednak tę koncepcję inny autor, w którego książkach z lat 1996–2002 można wyczytać cały program strategiczny, który Władimir Putin realizuje obecnie. To nie Aleksandr Dugin, zdecydowanie przereklamowany (przy pomocy jego macierzystej służby – GRU). Chodzi o Aleksandra Panarina (1940–2003), laureata prestiżowej Nagrody Sołżenicyna, a wcześniej profesora w katedrze naukowego komunizmu Uniwersytetu Moskiewskiego. On właśnie, reagując na odrzucenie przez Zachód (czyli przez Amerykę) szansy podzielenia się odpowiedzialnością za świat z Rosją, odnowił ideę zemsty Rosji na Zachodzie i poprowadzenia pod sztandarem tej zemsty uciśnionych 7 mld przeciw „złotemu miliardowi” – w imię dziejowej sprawiedliwości. Kto ciekaw, może poczytać kilka analiz twórczości tego płodnego ideologa, które zawarłem m.in. w tomie „Putin. Źródła imperialnej agresji”, a jeszcze lepiej sięgnąć do książki samego Panarina z 1997 r.: „Riewansz historii”. Tam wyłożona jest koncepcja, którą wypełnia Putin.

Naturalnie są jeszcze jej głębsze korzenie. To najpierw Mikołaj Daniłowski (1822–1885), który ku zachwytowi swego przyjaciela Dostojewskiego już w roku 1871 wyłożył „naukową teorię” wielości cywilizacji gnębionych przez Zachód (cywilizację „ger-

mano-romańską”) i konieczność ich odwetu, którym pokieruje Rosja. Po nim m.in. Aleksandr Błok, poeta miłości i zemsty. Jego poemat „Scytowie” ze stycznia 1918 r. przepojony jest tą właśnie emocją, skierowaną do Zachodu: „Przez setki lat patrzyliście na Wschód, / Gromadząc nasze perły, złoto; / Drwiąc, czekaliście, by do naszych wrót / Przystawić waszych dział wyloty [...] / Nie wińcie nas, gdy szkielet waszych ciał / Zachrząści w ciężkich, czułych łapach...”. Te same marzenia bardziej konkretnym językiem wyraził rychło sam Józef Stalin. Zmuszony przez Wojsko Polskie do rejtowania spod Lwowa, kiedy Armii Czerwonej nie udało się przejść „przez trupa białej Polski” na Berlin, Stalin przedstawił we Władysławce i Baku nowy plan pokonania Zachodu. Wzmocniona Armia Czerwona miała „poprzeć ze wszystkich sił, wszystkimi sposobami kraje Wschodu, walczące przeciwko Entencie [tj. Europie Zachodniej i Ameryce] o swoje wyzwolenie”. Z dumą deklarował w rocznicę przewrotu bolszewickiego, 6 listopada 1920 r., iż wreszcie „zaczęto obawiać się Rosji, czując, że w postaci Rosji rośnie ogromne państwo ludowe, które nie pozwoli się skrzywdzić”. Mówił to już w Baku, punkcie wypadowym do bliskiego już „wyzwolenia” Armenii, Gruzji i Iranu. Tam właśnie, znad brzegu Morza Kaspijskiego, z geopolitycznej perspektywy Serca Łądu, z centrum Eurazji, rewolucyjnego imperium Rosji rzucał Stalin pyszne słowa, parafrazę Lutera: „Tu stoję, na granicy między starym światem a nowym – tu, na tej granicy, jednoczę wysiłki proletariatu Zachodu z wysiłkami chłopstwa Wschodu w celu zburzenia starego świata. Tak mi dopomóż, boże historii”. Dziś Putin mówi to samo. I nie tylko mówi. ©©

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Rosja ograniczyła przepustowość Nord Stream 1 do 20 proc.”
To informacja radosna czy niedobra?

Cieszymy się, bo Putin mniej eksportuje i mniej zarabia? Cieszymy, bo Putin sam na siebie nałożył embargo, o które apelowała Unia? Czy może martwimy się, bo brakuje paliw i Europa od tego zdechnie? Czy może mimo wszystko cieszymy się, bo Putin zakręcając kurek, osłabia Niemców, a Niemcy i Rosja to nasze największe zagrożenie, gdy są w sojuszu, więc lepiej, żeby byli pokłóceni?

„Najwięcej aut elektrycznych jest w Kalifornii”. To informacja radosna czy nie? „Kalifornia ma najwyższy na świecie udział energii produkowanej ze źródeł czystych, czyli z wiatraków i paneli”. Cieszymy się!

Ale... Najwięcej wyłączeń prądu jest w Kalifornii i jest to związane z tym, że system oparty na wiatrakach i panelach nie wyrabia, więc nie masz gdzie naładować twojego elektrycznego samochodu. Dlatego każdy aktor hollywoodzki lub inny bogacz, którego stać było na kupienie elektrycznego auta (kosztującego dziesięć razy tyle co normalny benzyniak), ma też drugie auto – na benzynę – i trzecie na ropę. Natomiast zwyczajni obywatele dostali polecenie od gubernatora Kalifornii, że mają ograniczyć stosowanie klimatyzacji, bo ona żre za dużo prądu i zawala system. Panele słoneczne nie wyrabiają z produkcją prądu wtedy, gdy jest lato i dużo słońca – trzeba więc zmniejszyć zużycie energii ze źródeł czystych i przestać żyć w komfortowej temperaturze 21 st. C, a zacząć żyć w temperaturze 25 st. C i więcej. Bogacze mają własne generatory prądu na ropę – kopczą, pierdzą i hała-



suja – ale za to mogą się chłodzić do woli i podładować elektryczną limuzynę. Cieszymy się!

Jarosław Kaczyński (na spotkaniu w Warszawie!) powiedział do szefa CDU: „Zniszczenie Warszawy to jedna trzecia wszystkich strat drugiej wojny światowej spowodowanych przez Niemcy. Musimy domagać się odszkodowania!”

Szef CDU Friedrich Merz odpowiedział Kaczyńskiemu: „Nie znajdziecie takiego rządu, który uznałby prawo Polski do reparacji”. Cieszymy się, że mamy takiego sojusznika w NATO? Czy to w ogóle jest sojusznik?

(Ja bym go wywalił za drzwi i odwiózł na dworzec towarowy – niech wraca do Berlina w bydlęcym wagonie i zapozna się z warunkami, w jakich oni wozili naszych. Może wtedy zrozumie. A ponieważ nas obowiązuje zasada „Zło dobrem zwyciężaj”, dałbym mu na drogę butelkę wody, której oni naszym nie dawali.) Powtórzę: Cieszymy się, że mamy takiego sojusznika? Mogliby odkupić część win za pomocą pieniędzy i nawet tego nie chcą zrobić? Mogliby zamknąć stare sprawy za pomocą przelewu i nawet tego nie chcą zrobić? Kim oni są? Zachowują się jak Ruscy.

TVP podaje: Zakontraktowano import węgla na 17 statkach. Pierwszy statek już w Świnoujściu. Węgiel będzie można kupić w dowolnych ilościach.

Cieszymy się? Za komuny różne rzeczy też można było kupić w dowolnych ilościach – na czarnym rynku lub w Pewexie, czyli DROGO. A obecnie węgiel można już

teraz kupić w dowolnych ilościach, gdy się człowiek zgodzi na dowolnie wysoką cenę.

Komisja Europejska planuje redukcję stosowania pestycydów o 50 proc. Pestycydy są trujące, więc... Cieszymy się?

Mnie to niepokoi, bo gdy UE coś planuje, to to jest zawsze niedobre dla Polski. I proszę mi podać przykłady przeciwnie, jeżeli ktoś potrafi znaleźć.

Mam gospodarstwo rolne w Polsce i uprawiam ziemię bez nawozów, oprysków, pestycydów, ale... mam przez to znacząco niższe plony. Produkuję zdrowe ziarno, ale o wiele mniej z hektara niż sąsiad za miedzą. Sąsiad sypie, przyska i leje wszystko, co tylko istnieje, i ma plony kilka razy wyższe od moich. Produkuję zboże trujące, ale tanie. Mojego jest dużo mniej, czyli moje jest drogie, a do tego ja mam zdrowe, czyli dodatkowo droższe z powodu tego, że zdrowe.

Gdy UE wprowadzi zakaz stosowania pestycydów, zboża u sąsiada też wyrosną mniej – to, które u niego wyrosną bez oprysków, będzie droższe od tego, które on produkuje teraz. Mniejsza wydajność z hektara znaczy drożej. Pestycydy to opryski na szkodniki. Pole sąsiada (po ograniczeniu pestycydów) wypełni się szkodnikami, które on teraz skutecznie zabija chemią. Na jego polu – przyzwyczajonym do pestycydów – wyrosną bardzo mało. Ja sieję ziarno odporne – takie, jakie siało się 50 i 100 lat temu. Sąsiad i ogólnie Europa stosują tzw. hybrydy, czyli zboże z próbki – nowoczesne nasiona produkowane przez koncerny i... WYMAGAJĄCE oprysków.

Hybrydy nie są odporne na nic, więc bez pestycydów nowoczesne zboże sobie nie poradzi. Moje tradycyjne, „przestarzałe”, staroświeckie poradzi sobie lepiej. Powstało, zanim wymyślono pestycydy, i uodporniło się w sposób naturalny na ataki szkodników. Hybryda bez oprysków padnie.

Czy w tej sytuacji cieszymy się czy martwimy, gdy Komisja Europejska chce wprowadzić redukcję stosowania pestycydów o 50 proc.?

Wybitny malarz – nazwijmy go Mistrzem – przysłał mi notkę prasową plus dwie mapy: mapę Europy z roku 1914 (gdy Polska była jeszcze pod zaborem) oraz najnowszą mapę rozmieszczenia wojsk NATO.

Notka prasowa była z kategorii „cieszymy się”: Prezydent USA zapowiedział wzmocnienie amerykańskiej obecności wojskowej w Europie, w Polsce ma powstać stała kwatera główna V Korpusu Armii USA „Camp Kosciuszko”.

Mistrz napisał: „Gdy zobaczyłem mapę rozlokowania wojsk NATO w Polsce, zamurowało mnie! Nałożyłem na siebie te dwie mapy: NATO-wską opublikowaną dzisiaj z mapą Europy 1914 r., gdy Polski nie było. Moje spostrzeżenie jest takie, że przygotowane jest ponownie pole bitwy na tych samych terenach co kiedyś. Ewentualny podział w nowej Europie jest już określony według starej mapy z 1914 r. Wojska NATO (w tym niemieckie) będą pilnowały dawnych terenów niemieckich. Na wschód od Warszawy nie przewidziano nic – całe wojsko sojusznicze stacjonuje na zachodzie. A ten jedyny ośrodek w Łasku – niepasujący do mapy z czasu zaborów – ma obecność rotacyjną, czyli niestałą i też znajduje się na zachód, a nie na wschód od Warszawy”.

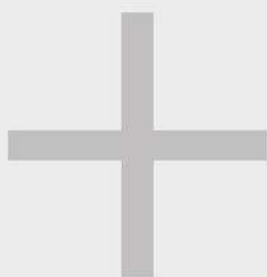
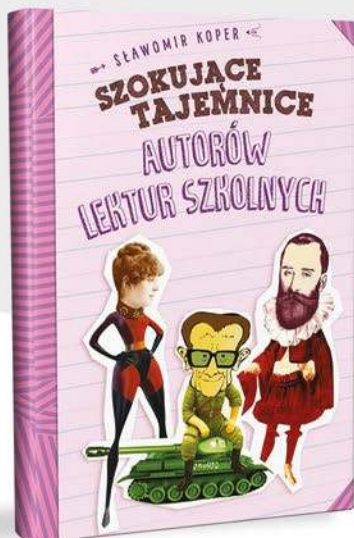
Na czym więc polega „flanka wschodnia”? ©©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

**TYGODNIKA „DO RZECZY”
I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”**



~~599~~ zł

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

**SŁAWOMIR KOPER
„SZOKUJĄCE Tajemnice
AUTORÓW LEKTUR SZKOLNYCH”
ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA**

230,00 zł

OSZCZĘDNOŚĆ 369 zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI | E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl | TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) | INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 9738c0d8ed



ROAMER

OF SWITZERLAND

7 YEAR
WARRANTY

